

Mikkjel Fenhus, ur. w 1894 r., należy do cenionych i bardzo popularnych pisarzy norweskich. Na jego bogatą twórczość składa się czterdzieści powieści i cztery tomy opowiadań, w których maluje on pejzaż Norwegii, jej przyrodę i ludzi.

Mikkjel F0nhus jest pisarzem podróżnikiem, jednym z ostatnich wielkich trampów. Zwiedził m.in. Kanadę, Afrykę, przemierzył wzdłuż i wszerz Norwegię, brał udział w wyprawach polarnych. Jest też gorącym propagatorem ochrony przyrody, a za wybitne zasługi na tym polu nagrodzony został złotym medalem. W swoich powieściach i opowiadaniach poświęcił wiele miejsca północnej Norwegii i Laponii. Tutaj też rozgrywa się akcja powieści Wilki (1933, Varg), która obok Der villmarka suser (1919) i Trollelgen (1921) należy do najlepszych dzieł Fanhusa. Autor przedstawia w niej świat zwierząt: wilków i reniferów, ukazuje tragizm walki o byt podczas surowej zimy. Tę poetycką opowieść buduje autor jak gdyby z odrębnych nowel, w których losy ludzi przeplatają się z losami wilczego stada. Dzieła Mikkjela F»nhusa są bestsellerami w Norwegii, zyskały też autorowi sławę poza granicami Skandynawii,

SERIA DZIEL PISARZY

SKANDYNAWSKICH

17. U 1981,

Mikkjel Fonhus

UiśM wydawnictwo poznańskie • poznań #1972

m

Tytuł oryginału norweskiego; VARG

Obwolutę projektowała

EWA FRYSZTAK

Na chwilę przed odejściem pociągu wyskakuje z wagonu mężczyzna z gołą głową, podbiega do kiosku gazetowego w dużej hali dworca, wyjmując drobne z kieszeni, a zmarznięta sprzedawczyni podaje mu dziennik popołudniowy. Z gazetą w ręku mężczyzna biegnie wzdłuż pociągu. Pod szklany dach hali wyjazdowej ulatują z parowozu gęste kłęby dymu, unosi się duszący, zjeł-czały zapach węgla. Kierownik pociągu stoi wyprostowany na peronie, ostatni raz obejmuje wzrokiem gotowy skład, potem wtyka do ust błyszczącą fajkę; mężczyzna z gazetą w ręku wskakuje na stopień długiego wagonu osobowego, pociąg zaczyna mruczeć, nabiera życia, brzęczą złącza wagonów, rusza. Parowóz huczy, z sykiem wypuszcza biały dym, od czasu do czasu maszyna stęka w gorączkowym rytmie pracy... Pociąg wytacza się z hali, pozostawiając za sobą opustoszały tor i peron, z którego kilka osób powiewa chusteczkami.

Agent handlowy z gazetą w ręku znalazł miejsce w przegrzanym przedziale; trochę rozdrażniony, przesunął umocowaną przy ścianie dźwignię na „zimno”, zapalił fajkę i rozkłada gazetę; pachnie ona cudownie, pachnie świeżą farbą drukarską. Mężczyzna przebiega wzrokiem pierwszą stronę, zatrzymuje się na krótkiej notatce i czyta... Ożywa w nim wspomnienie wąskiej doliny, rzadkiego sosnowego lasu, wspinającego się po zboczu ku nagiemu, zwietrzałemu szczytowi. W najwyższym położonym końcu wąskiej doliny przycupnęło kilka chat zbitych z balów... Dużo czasu upłynęło, odkąd jako mały chłopiec stał tam

5

w zimowe wieczory wpatrzony w góry i nasłuchiwał ponurego wycia, które przejmowało go zimnym dreszczem.

Wilki napadają stada renów Narsund, 10 grudnia. Z północnych terenów pogranicznych nadchodzą wiadomości, że i tej zimy wilki szerzą spustoszenie wśród lapońskich stad reniferów. W wielu miejscach natrafiono na zagryzione reny i lapoński wójt Naeverdøl

przypuszcza, że sprawcą tego jest ta sama zgraja, która pojawiła się tam ubiegłej zimy; wówczas to pewien myśliwy polujący na pardwy mszarne przypadkiem zabił jednego z wilków. Trudno jednak wytropić drapieżniki; na twardym śniegu w górach nie pozostawiają śladów. Również po szwedzkiej stronie zauważono wilki.

W całym kraju popołudniowe dzienniki podają wiadomość o szkodach wyrządzanych przez wilki. Czytają o tym ludzie w kawiarniach, przy brzęku naczyń, w gęstym dymie tytoniowym, i na rogach ulic przed kioskami gazetowymi, i zagłębieni w miękkie fotele — agencja telegraficzna rozesała wiadomość na wszystkie strony świata. Wielu czytelników przebiega wzrokiem tylko tytuł i poświęca uwagę kryzysowi rządowemu we Francji, ostatnim kursom akcji, rubryce „pokoje -do wynajęcia”. Podlotki nie czytają żadnych wiadomości, rzucają się na ogłoszenia o zaręczynach.

Chłodne zimowe popołudnie przechodzi w zmierzch i wieczór. Nad osiedlami łuny światła rozjaśniają ciemność.

O tysiąc kilometrów na północ fale morskie rozbijają się o poszarpane brzegi wysepek i o strome rafy, biel piany prześwituje blado w ciemności; latarnia jakiegoś statku kołysze się w górę i w dół, posłuszna ruchowi fal. A w głębi, łądu zębate grzbiety górskie ku wschodowi wypiętrzają się coraz wyżej, aby o wiele mil dalej powoli opaść ku rozległym, łagodnie falistym lasom Laponii, ciągnącym się trzydzieści czy czterdzieści mil i kończącym się u Zatoki Botnickiej.

Nad tym lapońskim obszarem leśnym łśni miękka poświata zorzy polarnej; migocą rzadko rozsiane światełka ludz-

6

kich siedzib — z chat nowych osadników, z lapońskich namiotów, w których ludzie leżą skuleni pod skórą reniferów, a zimno wciska się przez otwór u szczytu i odbiera ogniowi całą jego moc.

Późnym wieczorem księżyc w pełni spogląda na rozpościerającą się pod nim ziemię, od Morza Norweskiego po Zatokę Botnicką na wschodzie. W jego świetle fale pieniające się u brzegów Norwegii zaczynają łsnąć, a ośnieżone wierzchołki gór rozżarzają się, ale jeszcze dalej na wschód lasy lapońskie, w których śnieg stał podczas ostatniej odwilży, leżą ciemne, jednostajne, jak symbol nieskończoności, z bagnami, zamarzniętymi aż do dna jeziorami ciągnącymi się wiele mil, z pokrytymi lodem rzekami, które rodzą się w górach granicznych i umierają daleko na wschodzie, w głębinach morza.

Tam, gdzie pasmo gór opada ku lasom lapońskim, cztery wilki jeden za drugim sznurują po zboczu długim wilczym chodem. Śnieg jest tak twardy, że pozostają na nim tylko ślady pazurów; gdzieś jednak leży miękki śnieżny puch i na nim odciskają się całe łapy, wyraźny trop, podobny do śladu psów, ale większy i w odległości pół metra jeden od drugiego. Trop ten widoczny jest jeszcze długo po zniknięciu zwierząt, mocny i pełen znaczenia: tędy przeszedł wilk!

Tamte cztery doszły już do grani. Teraz nie biegną jeden za drugim, rozdzielają się, robią tak zawsze, kiedy znajdują się na grzbiecie górskim i mają przed sobą otwartą przestrzeń; przystanąły i wietrzą. Góra jest całkowicie pozbawiona roślinności; niebieskie cienie księżycowe kładą się za każdym garbem skalnym, a wysoka kopa na zachodzie pocętkowana jest dużymi, rozrzuconymi głazami.

Martwe góry! Nawet jasny blask księżycy wydaje się martwy. Łsnią pokryte lodem zaspę śnieżną, a niebieskie ściany obnażonych ze śniegu, stromych, skał rysują się na widnokręgu. Wilki wietrzą; jak gdyby wciągały wraz z powietrzem światło księżycy.

Nagle jeden z nich podnosi pysk i wydaje przeciągłe wy-

7

cie, z ciepłej krtani zwierzęcia płynie jakby beznadziejna skarga na całą nędzę tego świata! Potem wszystkie cztery stoją na grzbiecie górskim w pełnym napięcia bezruchu.

I oto z południowego wschodu nadchodzi odzew, najpierw pojedynczy głos, później, z jeszcze większej dali, drugi, nieco wyższy niż tamten. Cztery wilki ruszają z miejsca, sznurują znów jeden za drugim, przecinają długim chodem następne zbocze, schodzące ku wąwozowi, biegną w kierunku, z którego doszło je wycie.

Ale po drugiej stronie wąwozu zatrzymują się znowu: ze spuszczonego pyskiem, jak gdyby szukając tropu, zbliża się obcy wilk. Za nim, jeszcze nieco niżej, zjawia się drugi; i tak spotykają się wszystkie sześć, wyły, aby się wzajemnie odnaleźć.

Teraz wydłuża się żywa wstęga zwierząt sunąca przez góry, najchętniej granią, skąd mają otwarty widok i najlepszy wiatr. Szare kształty na tle śniegu, ciepłe istoty z czujnymi zmysłami pośród martwego świata! Skośne, okrutne ślepiec wypatrują we wszystkich kierunkach, niekiedy nosy zwierząt odwracają się wietrząc przypadkowy zapach, przyniesiony powiewem wiatru. Zwierzęta mają kudłate futro nawet na nogach, długie wiechy zwisają gęstymi wiązkami.

Trzy spośród zgrai dopiero dwukrotnie widziały górskie brzozy oblekające się w wiosenny strój; są to zeszłoroczne, ale dobrze wyrosnięte młode wilki. Na czele stada biegnie ich matka; podczas przeżytych w górach zim zdobyła mądrość i doświadczenie i jeśli w górach brak jest żeru, ona wie najlepiej, gdzie go szukać. Tyle razy prowadziła zgraję, że stopniowo wilki przywykły biec za nią; są wtedy pewne, że zaspokoją głód. Wilczyca stała się przewodniczką zgrai.

Dwa wilki, które tego wieczora przyłączyły się do tamtych czterech, przybyły tu skądś dopiero teraz, wczesną zimą, a instynkt stadny zaprowadził je do pozostałych czterech. Czasami rozłączają się z nimi, ale wkrótce wracają.

Bo w ciągu minionych tysiącleci wilki nauczyły się, że

8

w okresie, kiedy słońce zatacza na niebie płaski łuk, kiedy zawieje śnieżne smagają ich futra, a puste kiszki skręcają się, łatwiej jest ustrzec się przed głodem, jeśli poluje się w gromadzie.

Ale dla trzech młodych stara wilczyca nie jest już matką, teraz nie szukają już, jak dawniej, jej opieki; dziś potrafiłyby jeden drugiego pożreć. W pierwszym roku młode chodziły za matką aż do końca zimy, potem odłączyły się od niej, bo nauczyła je już, jak dawać sobie radę. Latem tylko dwa wilki trzymały się razem, wtedy łatwo im było żywić się myszami i lemingami, jajami i młodymi ptakami; jednakże, odkąd nastała głęboka zima i w górach nie było żeru, rodzeństwo połączyło się znowu.

Zresztą tej zimy ich pokryte kudłami ciała nie chudną tak szybko jak zwykle.

W górach są jeszcze renifery, tylko że nie zawsze łatwo je zamienić w żer. A wilczyca pamięta: nawet jeśli leży gotowe padło i ńci smacznymi kąskami, zaspokojenie głodu może skończyć się katastrofą.

Wilczyca wie na przykład, że trochę wyżej leży już na wpół pożarte padło rena: sama go zarżnęła i nażarła się do syta. Kiedy jednak wróciła do niego raz jeszcze, poznała, że był tam przedtem człowiek; do samego padła szły ślady, które człowiek zostawia zimą: dwie wąskie smużki w śniegu, równomierne zagłębienia, jedno tuż obok drugiego. I kiedy je zobaczyła, mimo głodu nie skosztowała już ani kawałka smacznego mięsa.

W jej ciele przetrwało bowiem wspomnienie, jak kiedyś napoczęła padło, którego dotknął człowiek. Długo trwało, zanim odzyskała dawną żywotność; dopiero kiedy resztką sił doczołgała się do strumienia i wypila tyle wody, że wyrzuciła z siebie niebezpieczne pożywienie, bóle ustały i wyszła z tej przygody bez większego szwanku. Odtąd jednak nigdy nie pozwalała młodym pożerać padła cuchnącego człowiekiem.

Najlepsza jest zdobycz, której ostatnie drgnięcia przed skonaniem samemu się czuło. I wilczyca za każdym razem, kiedy ma młode, najchętniej przebywa w szerokiej, płytkiej dolinie, przez którą płynie spokojna, niemal milcząca rze-

9

ka, o brzegach porośniętych szarą wierzbiną. Przez te zarośla ren nie dojrzy zaczajonego wilka. Tam właśnie szczenięta dużo się nauczyły i tam leżą jeszcze kości niejednego rena, obgryzione do czysta przez nią i jej młode.

Dzisiejszego wieczora przez góry ciągnie jednostajny powiew i wilczyca jak zwykle podąża pod wiatr. Kiedy zgraja skręca za niewielki komin skalny, wygląda to, jakby głąz strząsał z siebie podłużny kłębek wełny, i przerażony lis susami ucieka w dół. Wilczy szereg rozpierchnął się nagle, zwierzęta sadzą w pogoni za lisem, biegną obok siebie, wyprzedzają się, staczają się do małej doliny w szalonym pościgu. Przed nimi biegnie biały lis, wydaje się, że jest w ogóle pozbawiony ciężaru, strzępek białego puchu, unoszony podmuchem ponad warstwą śniegu.

Ale wilcze susy są dłuższe niż skoki lisa, a śnieg jest tak twardy, że łapy zwierząt się nie zapadają. I zanim lis znalazł się w dolinie, jeden z młodych wilków zatapia kły w jego grzbiet. Obaj pędzą z taką szybkością, że koziołkują jeden przez drugiego i ześlizgują się z oblodzonego gładkiego stoku. Nie rozłączają się, wilk nie puszcza ofiary: a oto wilczyca przychodzi mu z pomocą, chwytając lisa zębami i zanim zwierzę skona, zostaje rozdarte na pół, tak że wypadają z niego wnętrzności. Po chwili z małego białego lisa pozostaje tylko część głowy, puszysty ogon, strzępy sierści i parę kostek. Wilcza zgraja biegnie dalej, większość zwierząt jest równie głodna jak przedtem.

Tuż przed nimi czujny krzyk rozdziera ciszę nocy. — Koe! ■■— Koe! Wilki na niego nie zważają. Po chwili rozlega się trzepot skrzydeł i wtedy wilki dostrzegają ulatujący w górę mały, biały kształt, niemal niewidoczny na tle śniegu. To Koe, pardwa mszarna; żadnemu wilkowi nie uda się jej pochwycić, kiedy z krwistoczerwonymi oczodołami siedzi i oczekuje ataku, wydając ów czujny, osobliwy krzyk, podobny do krzyku ludzkiego — wilczyca zna i ten głos.

Wilki sznurują dalej milę, dwie. Nad nimi błyszczy księżyc. I nagle stara wilczyca wie, co się zbliża, wiedzą to również pozostałe wilki. Wszystkie słyszą teraz chrzęszczący dźwięk, krass-ss-ss, który rozlega się wśród milczącej

10

nocnej ciszy zamarzniętych gór. Słaby, szeleszczący, ale wyraźny odgłos... I znowu cisza. Ostatni z biegnącego łańcucha wilków szybko, zdecydowanie wyprzedza inne; wie, co słyszał, jego współtowarzysze wiedzą także, choć ani jeden nie widzi źródła tego odgłosu. Wszystkie jednak czują ogarniające je gorączkowe podniecenie, niepokój gnający je w kierunku, z którego, jak im się wydaje, dochodził ów słaby szelest. Teraz zwierzęta nie sznurują już tak szybko i równomiernie; posuwają się naprzód wolno, krok za krokiem, już nie tak spokojne i beztroskie. Nagle, w chwili kiedy wyjrzały sponad niewielkiego garbu górskiego, zatrzymują się jedno po drugim. Przed nimi ciągnie się ku zachodowi dolina, coraz węższa, o coraz bardziej stromych zboczach. Nieco szersze i bardziej płaskie dno w jednym końcu to zapewne duże torfowisko. A na nim, jakby pasmo karłowatych brzoź — to poroża renów. Wilcza zgraja sunie ku nim jak szeroka, szara wstęga. Gromadka zwierząt oddziela się od pozostałych, beztrosko tańczy na śniegu. A setki kopyt miażdżących zmarzlinę wydają ów suchy, szeleszczący odgłos, który wprawił wilki w takie podniecenie. Kiedy stado zatrzymuje się, nagle zapada cisza. Ale już po chwili zaczyna podążać naprzód skokami, podobne do chmary wielkich owadów; stopniowo się uspokaja.

Wilczyca skrada się schodząc w dół po drugiej stronie garbu; wilki biegną za nią trop w trop. Ale od stada renów, są jeszcze zaślonyte.

Po pewnym czasie wilki dobiegają do dna doliny; nie widzą stąd renów, ale już pochwyciły ich wiatr, stoją zwrócone do nich. Lewa ściana doliny leży w głębokim cieniu, prawa zaś, zalana blaskiem księżyca, lśni lodowato jak tafla szkła. Zamarznięta rzeka, która wtuliła się głęboko w swoje koryto, ciągnie się przez dolinę aż do miejsca, gdzie stoi stado renów. Wilki

skradają się wzdłuż jej brzegu; nieco dalej dno doliny tworzy małe wzniesienie, które zasłania wilki; mogą się teraz niepostrzeżenie podkraść, oddalają się od koryta rzeki, idą na odwiatr. Śnieg jest stratowany przez reny, wszędzie iężą ich małe

11

bobki. Od czasu do czasu któryś z wilków przytyka pysk do tropu i chciwie wietrzy; trop pachnie dobrze, mocno, podniecająco! Górska pardwa ulatuje spłoszona i wydaje swój krzyk. Arr-rr-rr! Dźwięk tak głęboki i mocny, jakby nadchodził z cienia przeciwległej strony. Dolina zwęża się, zbocza usiane czarnymi złomami skał są coraz bardziej strome. Teraz niewidoczne stado reniferów nie wydaje żadnego odgłosu. Ale wilki wiedzą, że jest blisko, zapach płynie ku nim jak ławica mgły.

Wilki wbiegają na małe wzniesienie w końcu doliny, zasłaniające im widok na stado renów. Prowadzi wilczyca i im bardziej zbliża się do szczytu wzniesienia, tym niżej przypada do ziemi. Skradając się widzi brzeg nieba obniżający się z każdym jej krokiem; teraz już niebo zetknęło się na zachodzie z wierzchołkiem góry, jeszcze parę kroków i oczom zwierzęcia ukazuje się cała dolina. Chude ciało wilczycy przypada tak nisko do śniegu, że niemal go dotyka; biegnące za nią wilki zatrzymują się.

Mają przed sobą stado renów na torfowisku; niedaleko. Odtąd napastnicy nie mogą już podkraść się niepostrzeżenie. Stara wilczyca nie porusza się; ale młode wilki, opanowane niepohamowaną żądzą mordy, przepychają się do przodu. Kilka renów stoi na uboczu, poza zbitym stadem, z opuszczonymi głowami; są melancholijne albo senne... Stado czuje się zupełnie bezpieczne.

Młode wilki pełzną wciąż naprzód, skulone, na podkurczonych nogach, w skośnych ślepiach błyszczą żądza rabunku. Nagle jeden z renów gwałtownie odrzuca głowę w tył; obojętny spokój zwierzęcia zamienia się w pełną podniecenia, drżącą czujność, ren zaczyna kręcić się w kółko, wierzgać tylnymi nogami i ucieka długimi susami — stado natychmiast ogarnia kipiący chaos. Przerazenie jednego zwierzęcia udzieliło się wszystkim. Niektóre reny zauważyły już grożące niebezpieczeństwo: parę wydłużonych, niskich ciał, preżących się do skoku. Stado rzuca się nagle do szalonej ucieczki przez torfowisko; ale nie powstaje przy tym straszliwy zamęt, błyskawicznie tworzy się długa, ciemna wstęga pędzących ciał. Jedno zwierzę tuż przy dru-

12

u

gim, giowy zwrócone w tym samym kierunku, wszystkie ogarnięte przerażeniem, niezależnie od tego, czy dostrzegły już, czy jeszcze nie dostrzegły straszliwego wroga. Nieraz już stado ścigały wilki, reny wiedzą, kto biegnie za nimi.

Jak szara rzeka stado rozlewa się na torfowisku, a odgłos wielu szurających, szybko przebiegających racic zamienia się w szum, jak gdyby bystry potok pieniać się spływał w dolinę. Prędej, coraz prędzej gnają reny, nie napotykają przeszkód, nic nie powstrzymuje ich biegu, przed nimi rozciąga się płaska, naga równina torfowiska.

Ren-przewodnik biegnie z podniesioną głową, dotykając porożem grzbietu, ze wzrokiem utkwionym wprost przed siebie; wszystkie zwierzęta na ślepo biegną w kierunku, w którym je prowadzi: pościg wiedzie na zachód, wzdłuż doliny; innej drogi nie ma. Jednakże wilki — około pięćdziesięciu metrów za renami — natychmiast się rozdzielają. Cztery biegną za stadem, wilczyca zaś z jednym młodym zabiega z boku, próbuje zmusić zwierzęta do zboczenia, żeby pozostałe wilki łatwiej mogły przeciąć łuk i dopaść zdobyczy. Ale tym razem zwykła taktyka nie pomaga. Ani stara wilczyca bowiem, ani młody wilk nie mogą dogonić stada, które od początku znacznie je wyprzedzało; na twardym śniegu reny biegną równie szybko i lekko jak wilki.

Jasne światło księżycy kładzie się na niezliczonych ciałach renów, na ich ciemnych, szarych i niemal białych grzbietach. Z nozdrzy bucha w mroźne powietrze para ciepłych oddechów,

stuk wieluset racic rozlega się w nocnej dali jak terkot broni maszynowej. Teraz stado kieruje się na skos ku prawemu zboczowi doliny; reny chcą znaleźć się wyżej, jak zwykle, kiedy je ścigają wilki; pędząc pod górę mają nad nimi przewagę dzięki swym długim tylnym nogom. Jednakże zbocze okazuje się zbyt strome; reny biegnące na przodzie orientują się natychmiast i powracają do dawnego kierunku ucieczki, a za nimi podąża sześciu kudłatych prześladowców, ścigających je długimi susami. Reny- także umykają skokami i wygląda to tak, jakby wąski strumień zwierzęcych ciał spływał spienionymi, krótkimi falami..

13

Teraz stado dotarło do małego jeziora; tu i ówdzie wiatr oczyścił lód ze śniegu, na obnażonych, niebieskawych taflach stukają racice zwierząt. Wiatr szumi w rozłożystych porożach i muska oszronione zady.

U końca jeziora niewielki grzbiet górski zamyka dolinę. Jednak odpływ z jeziora przeżarł się przez górę i po drugiej stronie woda spada gwałtownie z wysokości sześciu czy siedmiu metrów do oblodzonej dziury. Wodospad jest teraz zamrożony i tworzy wielką, potężną narośl lodową z nisko wiszącymi soplami.

Wilki biegną w gromadzie za stadem; nie zbliżyły się do niego, ale sadzą z nie słabnącą zawziętością; reny zaś opuścił już wszelki rozsądek, szaleją z przerażenia. Strach i pomieszanie wciąż się wzmagają, aż całe stado ogarnia obłęd. Działa już tylko instynkt: uciekać, uciekać, prędej, jeszcze prędej; bo za nimi biegną wilki!

Jak huragan wpadają renifery w wąwóz. Pierwsze z nich docierają do wodospadu, wahają się chwilę, zbite z tropu i bezradne; z prawej i z lewej strony mają skalne ściany, tuż za sobą wilki, stado napiera — musi zbiec w dół! Zesztywniałymi nogami pierwsze zwierzęta wchodzi na lodowe zgrubienie, inne idą za nimi, coraz ich więcej, coraz więcej — bo z tyłu nacierają wilki!

-TS-diunkt Arnt Felling i sześćdziesięcioletni Lapończyk Lasse Persson idą na nartach przez góry. Za nimi biegnie kruczoczarny pies pasterski.

Kiedy na ich drodze wyrasta stroma ściana, Lapończyk zsuwa obcasy z nart — ich luźne wiązania pozwalają mu na to — i wspina się po niemal pionowej ścianie, nawet nie pomagając sobie długimi kijami. Felling natomiast musi wchodzić zakosami i mocno opierać się na bambusowych kijach. Felling nie jest zbyt dobrym narciarzem.

Znów podchodzą pod jakiś szczyt i Felling mówi, że naprawdę powinni wreszcie trochę odpocząć, mają dość czasu, aby zdążyć w porę do swego igloo. Jest zadyszany i zdejmuje binokle, żeby je przetrzeć. Szkła zupełnie zaszyły parą.

Oczywiście, odpowiada Lasse, mogą odpocząć. „Ale jak długo?” — myśli Felling, bo wie z doświadczenia, jak sobie Lasse wyobraża odpoczynek.

Lasse jest trochę wyższy niż inni Lapończycy, ma na sobie ubranie z szorstkiej wełny, a nogawki związane kolorową taśmą na lapońskich butach; kubrak Lassego jest na ramionach, na plecach i na dolnym brzegu ozdobiony czerwonymi i żółtymi naszywkami. Niebieska wełniana czapka ma u dołu czerwony pasek, a na czubku wesoły czerwony chwaścik... Kiedy Lasse Persson tak stoi, z długim nożem dyndającym mu u paska, wygląda jak barwny wybuch radości na tle białego śniegu.

— Norweg zmęczony? — pyta Fellinga z uśmiechem na ustach i w oczach; w jednym oku. Bo tylko lewe oko Lasse-

15

go błyszczący życiem, drugie jest martwe. Lasse mówi, że blask bijący wiosną od ośnieżonych gór zabił jego prawe oko; omal nie stracił wzroku i w lewym.

— Nie urodziłem się i nie wyrosłem wśród wilków, tak jak ty — mówi Felling. — Człowiek może czasem odczuwać zmęczenie.

Wyciąga fajkę z kieszeni. Tym razem Lapończyk będzie musiał poczekać, aż on, Felling, spokojnie wypali porządnie nabitą fajkę, i tak dziś ma tylko tę jedną okazję.

Powietrze jest tak spokojne, że płomynek zapałki w palcach Fellinginga nawet się nie chwieje. Słońce już zachodzi; opisało dziś na horyzoncie tylko mały, płaski łuk, nawet nie rozblęskło i nie rozżarzyło się naprawdę, tylko zachowało miękkie, czerwone lśnienie. I nawet w samo południe karłowate brzozy rzucały długie cienie na śnieg. Zdaniem Fellinginga cały dzień panował senny nastrój zachodu. Po raz pierwszy spędza on zimę za kołem podbiegunowym. A Lasse stoi i myśli sobie, co za dziwak z tego małego, grubawego Norwega, że też chce mu się mieszkać z Lapończykami w igloo wśród gór i wraz z nimi na nartach doglądać stada renów. Lasse już dawniej zauważył to, co go i teraz uderza: że ten Norweg ma dość nieszczęśliwy wyraz twarzy; zapewne pan Bóg miał co do niego pierwotnie inne zamiary, niż zagnać go tu, w góry. A przy tym, jak sam mówi, nie dostaje nawet wynagrodzenia za życie tutaj — czy to nie dziwne, że człowiek za darmo tak się męczy? A mimo to nie wpada w zły humor, ani kiedy dobywa z siebie ostatek sił w drodze, ani kiedy dym wypełnia igloo, tak że oczy zachodzą mu łzami i kaszel go dusi. Tak, tak, dziwny typ z tego Norwega!

Pies Daik ułożył się na śniegu; i on zmęczył się bieganiem.

Ale zanim jeszcze fajka Fellinginga porządnie się rozżarzyła, Lasse chce już ruszać w drogę. — Tak, musimy iść — mówi niecierpliwie i odwraca swoje długie narty, które — jak się wydaje Fellingowi — mają niesamowitą zdolność przysysania się do śniegu. Potem Lasse macha długim kijem narciarskim, zakończonym u góry czymś w rodzaju

16

czerpaka; ta wielka łyżka służy mu do rozgrzebywania śniegu, kiedy sprawdza, czy pod nim rośnie mech będący pożywieniem renów, albo kiedy chce zaczerpnąć wody.

— Nie, musisz mi dać jeszcze pięć minut — mówi Felling niemal z gniewem. — To mi się należy!

Lapończyk czeka niechętnie. Spogląda w kierunku gór; ma duże nozdrza, wydaje się, że je ciągle rozdyma i coś węszy. Nasada nosa jest tak płaska, że ledwo wystaje pomiędzy kości policzkowych. Tylko koniec nosa jest gruby i mięsisty.

Góry połykają słońce szybko i nieubłaganie. Cień Lasse-go Perssona wydłużył się i sięga już końców nart Fellinginga. Śnieg traci lśnienie, a cień rozplywa się w szarości zalewającej wszystko dokoła. Dziś słońce już nie zabłyśnie.

Po chwili Lapończyk porusza się, jakby odczuwał w nogach niepokój, którego nie może dłużej opanować. Robi dwa czy trzy kroki, przystaje, znów posuwa się kawałek naprzód, hamuje niecierpliwość, zatrzymuje się. Felling, wsparty na bambusowych kijkach, pali fajkę, nie śpieszy się, bawi go to dręczenie Lassego.

W końcu jednak Lapończyk naprawdę rusza w drogę. Wydaje się, że skacze na nartach po sfałdowanym śniegu, kolana ma ugięte, ciało poddaje się rytmowi biegu. Teraz Lasse skręca w lewo i szusem zjeżdża z długiego zbocza, porośniętego u dołu rzadkim brzozowym lasem, do małej dolinki.

Felling chowa fajkę do kieszeni i zjeżdża śladami Lassego; wiatr gwiżdże mu koło uszu, a narty z chrzęstem suną przez nierówny śnieg. Na dole, w brzozowym lesie, śnieg staje się miękki, gładki, jak błyszczący jedwab ściele się pod narty, prześlizgując się z cichym szmerem między pniami drzew.

W dolinie Felling skręca za Lassem, z rozpędem śmiga przez równinę i dogania towarzysza, gdyż ma gładsze narty niż on.

Lasse odwraca kij, tak że wianek z brzozowych gałązek znajduje się teraz u góry, opuszcza kij prostopadle na śnieg i §PfŚS*3?s^Jak głęboko wbija się on pod jego ciężarem. Po-

2, Wilki g.

17

* 4

tem klnąc stwierdza, że śnieg znów rozmiękł i że jeśli teraz na dole w lesie spotkałby to szatańskie nasienie, to być może...

— Dwadzieścia dwa reny! — mówi jadąc dalej. — Dwadzieścia dwa reny! — powtarza, jakby chciał samego siebie przekonać o czymś, w co mu trudno uwierzyć. Mówi głosem suchym, szorstkim, tak że słowa wydobywają się z jego ust jak gniewne parskanie. Za nimi ciężko dysząc biegnie Daik. Język wisi psu z pyska, trudno mu przy zjeździe z góry dotrzymać kroku.

Jadą teraz doliną na południe, trzymając się starego, stwardniałego śladu nart, którym łatwo jest się posuwać. Lapończyk coraz to mruczy coś niezrozumiale pod nosem. Felling wie, że są to przekleństwa, jak na przykład, żeby piekło pochłonęło wilki, albo że to pomiot szatana. Felling tak często już to słyszał, że sam umiałby przeklinać drapieżniki nie gorzej niż Lasse. W ogóle w ciągu tych paru tygodni spędzonych w górach Felling zaraził się już trochę od Lapończyków nienawiścią do wilków. Widział wiele skutków napaści tych bestii, a najobrzydliwsze było to, co ujrzał dziś na zachód od jeziora, pod wodospadem.

Prawdziwi mordercy z tych wilków, zabijają tylko z żądy zabijania! Bo nie mogły nawet zeżreć tych dwudziestu dwóch renów, które leżały tam z nogami połamanymi podczas upadku w przepaść, z krwią zakrzepłą na ranach wyszarpanych wilczymi kłami.

Kilka lżej rannych renów próbowało jeszcze uciec, ale te potwory dopadły je i rozerwały na sztuki, jak się zdaje, tylko z żądy mordowania.

Felling zabołał zwłaszcza widok młodej łani, która leżała z tylnymi nogami sztywno wyciągniętymi ku przodowi i przyciśniętymi do brzucha; wilk wyrwał kawały mięsa z jej ud, i to widocznie kiedy jeszcze żyła. Te jak w skurczu wyprostowane tylne nogi zdawały się świadczyć o straszliwych cierpieniach młodego zwierzęcia, kiedy wilk szarpał żywcem jej ciało.

Reny leżały daleko rozrzucone. Najwięcej ich jednak znaleźli tuż pod wodospadem; miały rozdarte krtanie, zmiażd-

18

żone kręgosłupy, dokoła nich leżały wyszarpane wnętrzności, strzępy skóry. Z jednej ofiary wilki wydarły serce. Była to ohydna jatka.

Większej części zwłok jednak drapieżniki niemal nie tknęły; ostatecznie kilka wilków nie potrzebowało zeżreć dużo z tych dwudziestu dwóch renów, aby zaspokoić głód.

To nawet dziwne, powiedział Lasse, że nie zginęło jeszcze więcej jego zwierząt. Ale wodospad nie jest zbyt stromy, zapewne więc wiele z nich dostało się na dół nie łamiąc nóg. Kiedy obaj mężczyźni zbliżyli się, gromada czarnych kruków uleciała z pobjowiska z głośnym krakaniem. Lasse nie chciał wziąć ani kawałka mięsa martwych renów; pod tym względem, podobnie jak niemal wszyscy Lapończycy, trzymał się żelaznej zasady, że nie wolno jeść mięsa rena zarżniętego przez wilki. Zresztą mięso to nie jest wykrwawione i wcale nie zachęca do jedzenia.

Lassemu i Fellingowi nie udało się tego dnia odnaleźć reszty stada, która uszła z życiem.

Zapewne zwierzęta za daleko zapędziły się w ucieczce.

Nic dziwnego więc, że Lasse Persson życzył wilkom, żeby je piekło pochłonęło.

Wprawdzie ma on duże stado renów, ale nie może sobie przecież pozwolić na tuczenie nimi wilków. Nie po to harowali cały rok, on, Sigga i Antę, ich wychowanek.

W ostatnich dniach Lasse spędzał tu w górach swoje reny w jedną gromadę; zamierza ze stadem i z całym dobytkiem pociągnąć na wschód, do lasów iglastych, w których zwykle zimuje. Inni Lapończycy już się tam udali, Lasse wyrusza przeważnie nieco później, gdyż nie idzie tak daleko jak oni.

Ale nie tak łatwo jest zebrać w górach małe grupki renów, tak długo pasących się swobodnie bez dozoru: stają się płochliwe i często muszą uciekać przed wilkami.

Stosunkowo łatwiej jest poradzić sobie z tymi, które trzymają się granicy lasów iglastych. Te można jadąc na nartach pędzić dalej, wciąż dalej, aż zmęczą się zapadaniem w śnieg i staną się uległe. A jeżeli ma się jeszcze do pomo-

cy psy, można stadka zapędzić, dokąd się chce. Ale tu, w tych nie porośniętych lasem górach, zmęczenie zwierząt nic nie pomoże.

Chociaż dla niewysportowanego Fellinginga życie wśród Lapończyków było bardzo wyczerpujące, uważał, że dobrze wykorzystał te parę tygodni spędzonych na północy; zebrał więcej wiadomości o Lapończykach niż podczas dwóch krótkich pobytów letnich. Tym razem bowiem poznał ludzi, z których mógł coś wydobyć; przede wszystkim starego, samotnego Lapończyka, mieszkającego kilka mil na północ, który na torebkach i papierze do pakowania kreśli swoje naiwne, dziecinne rysunki, przedstawiające Lapończyków, reny i dziką zwierzynę; człowieka, który od rozległych pustkowi zaraził się milczeniem i mówi tylko, jeśli jest o coś pytany, ale wie wszystko.

Lasse natomiast nie jest bynajmniej milczący, ale i on opowiada czasem o rzeczach, o których Felling nic nie wie. Często zdarzało mu się ścigać wilka, chociaż nie jest szczególnie namiętnym myśliwym. Kiedy wyruszał w góry, chodziło mu o zemstę, żądny był krwi skośnookiego łotra.

Felling zamierza towarzyszyć Lassernu w jego wędrówce na wschód, a potem zapewne z przyjemnością zamieni znów igloo i namiot na pokój hotelowy, a przenosząc się z miejsca na miejsce chętnie będzie korzystał nie z nart, lecz z kolei. Ale mimo to Felling nie jest wcale taki pewny, czy chwilami nie będzie tęsknił do tego życia.

Igloo Perssona jest już blisko. Stoi na płaskim grzbiecie górskim powyżej rzeki. Pies Darf wita przybyszów rzucając się na nich z głośnym ujadaniem, jakby chciał ich żywcem połknąć; potem nagle milknie i pełźnie ku nim, gorliwie wymachując ogonem. Darf, pies o spiczastej lisiej mordzie, jest urodzonym komediantem; umie napędzić obcym śmiertelnego strachu i zachowywać się jak szalejący tygrys; a chwilę później pozwoliłby się skrzywdzić, nawet nie kłapnąwszy zębami. Jest cały lśniaco czarny, z wyjątkiem przednich łap, na których ma białe skarpetki. Ogon Darfa zwija się wesoło i zuchwale w górę i układa jak oba-rzanek na grzbiecie psa.

20

Z otworu igloo Wydostaje się jasny dym i płynie spokojnie ku zachodowi, tam gdzie dzień zapada się w grób; w dole, bliżej gór, niebo wygląda jak jasnozielone szkło, a wyżej obramowane jest czerwonymi jak mosiądz, długimi, wąskimi chmurami, które dalek rozplývają się w lekkie pasma błękitu.

Nagie góry jak gdyby utraciły teraz swoje zwarte kształty, zamieniły się w cienie, odcinające się wyraźnie tylko na tle nieba. Na przeciwległym wzgórzu rozjarzone światło wieczoru przecieka przez brzozowy las jak przez sito i na śniegu wokół Fellinginga kładzie się teraz, o zmierzchu, przypominając słaby blask przygasającej lampy.

Felling spogląda na zegarek. Właśnie w tej chwili w dużym budynku szkolnym, oddalonym o prawie sto mil stąd, dzwonek oznajmia koniec dnia. Felling opuszcza zwykle o tej porze klasę z teczką pod pachą; prawdziwa powódź chłopców spływa hałaśliwie ze schodów. Felling, z tępym uciskiem w głowie po pracy w źle przewietrzonych klasach, idzie na małą uliczkę, do żony i dzieci, i już przed drzwiami uderza na niego zapach kolacji, na którą w ogóle nie ma apetytu... Tam zaś, w igloo, Sigga gotuje teraz mięso renifera i Felling czuje, że żołądek kurczy mu się boleśnie z głodu, a ucisk w głowie od dawna go już tu na górze nie dręczył. Skórzane buty Fellinginga stwardniały na mrozie, podobnie jak wiązania nart, które teraz zdejmuje. Lasse twierdzi, że skórzane buty są zimą w górach nic nie warte, że wymyślił je jakiś osiadły chłop, który się na tym w ogóle nie zna.

Przed igloo leżą przykryte płótnem, przewrócone sanie; obok stosu drewna leży siekiera. Cały wieczór poświęcony jest wielkiemu, uroczystemu przeklinaniu wilków; Lasse jest opętany wspomnieniem tego, co widział. Mówi źle po szwedzku i nie zawraca sobie głowy

prawidłową odmianą czasowników, nie brak mu jednak nigdy słów, wściekły, z lekceważeniem miesza wyrażenia lapońskie ze szwedzkimi.

Wilk.... Czy Norweg wie, jak wilk powstał? Lasse mu

21

opowie: wilka stworzył sam diabeł albo też czarownicy, którzy zaklęli złodziei i hultajów i zamienili ich w willa. Dlatego wilk wyrządza zawsze tylko zło.

Przed dwoma laty w tej okolicy nie było tak dużo tych potworów, bo na samym początku zimy Szwed NUs Harre zabił trzy sztuki i to trochę pomogło.

Ale pośród pozostałych drapieżników znalazło się dość samców i wader, które spłodziły nowe małe diabły. Ubiegłego lata Lasse mógł wiele z nich wybić, gdyby nie zabrał się do tego tak głupio.

Właśnie minął górskie siodło o kilka mil na północ stąd, kiedy zauważył, że na przeciwległym zboczu doliny, koło potężnej zasy śnieżnej, coś się porusza; zaspą ta przeważnie nie tajała nawet latem.

Położył się, nie wiedząc z początku, czy ma przed sobą młode lisy, czy wilki; odległość była zbyt duża. Kiedy jednak patrzył w tę stronę przez chwilę, jego wątpliwości się rozwiały; zwierzęta były za duże jak na lisy, a poza tym miały bardzo długie nogi. Baraszkowały jak szczeniaki na zboczu przed wejściem do jaskini, prowadzącej w głąb zasy.

Lasse nie miał ze sobą strzelby, mimo to postanowił podejść bliżej i zobaczyć, czy nie udałoby się wytluc tego diabelskiego pomiotu.

Wrócił więc przez górskie siodło, przez które przyszedł, zatoczył szeroki łuk, zszedł do doliny przeciętej zaspą i niepostrzeżenie podpełznął pod skałę porośniętą jałowcem. Przywarł do ziemi i patrzył przed siebie: zwierzęta były teraz tak blisko, że mógłby rzucać w nie kamieniami.

Tak, to młode wilki bawiły się tu beztrąsko. Turlały się po ziemi, na żarty gryzły się i figlowały jak szczeniata. „Ale kiedy dorosną, będą się na pewno inaczej zabawiały z renami Lassego' Perssona" — pomyślał Lapończyk. Zerwał się na równe nogi i skoczył wprost ku wilkom.

W tej samej chwili szczeniata zniknęły w dziurze prowadzącej w głąb zasy; było ich cztery. I teraz Lasse zrobił wielkie głupstwo! Gdyby był chytry, zatkałby dziurę w zaspie, wtedy zwierzęta znalazłyby się w pułapce, a on zdążyłby wrócić do domu po broń i po-

22

moc. Ale Lasse zawział się, żeby natychmiast zabić zwierzęta; chciał dostać się do wnętrza jaskini i zarznąć nożem diabelski pomiot.

Dziura w zaspie znajdowała się za występem skalnym, na którym spiętrzył się śnieg. Nie widać było, czy tam właśnie znajduje się gniazdo, ale starych wilków w niej nie było, pewno uciekły.

Lasse wyciągnął więc nóż i wpełznął przez dziurę. Jaskinia prowadziła daleko w głąb, panował w niej mrok, a Las-semu wydawała się jeszcze ciemniejsza, gdyż osłepiony był jasnym światłem, z jakiego tu wszedł.

Pełznął powoli, macając drogę przed sobą, w ręce zaciskał nóż. Wokół niego panowały chłód i cisza. Żaden głos nie dochodził od strony, gdzie, jak wiedział, ukryły się w ciemności wilki. Lasse sięgnął do kieszeni kubraka po zapalnik; najlepiej będzie zapalić jedną, aby zobaczyć, gdzie wpełzło to diabelskie nasienie, które chciał zabić ciosami noża, zgładzić raz na zawsze. Niech już nigdy nie rozszarpują renów Lassego Perssona!

I wtedy zaszło to przekłete wydarzenie: kiedy Lasse znalazł pudełko, żeby wyjąć z niego zapalnik, nagle usłyszał tuż przed sobą szmer i w tej samej chwili poczuł, że coś musnęło jego prawe ramię — raz, dwa, trzy razy — przemknęło obok niego i uciekło z jaskini.

A więc trzy umknęły, pomyślał Lasse, ale czwarty musi tu jeszcze być.

Potań zapałkę o pudełko, ale z pośpiechu i wzburzenia trzymał ją odwrotnie, tak że nie mógł skrzesać ognia. A wtedy wyrwał się z jaskini czwarty i ostatni wilk, zapewne przeskakując ponad ramieniem Lassego, bo przejechał mu wiechą po policzku.

Zapalona wreszcie zapałka oświetliła nagą skalną ścianę i zwisający nad nią śnieżny okap, ale nie wilki.

I w ogóle nie było to wilcze gniazdo. Lasse nie znalazł w jaskini ani kości, ani resztek mięsa. Odtąd przebiegał góry wszerz i wzdłuż, szukając wilczego gniazda ze szczeniętami. Brał ze sobą psa, chodził na

23

wyprawy z innymi myśliwymi. Ale nigdy już nie dostrzegł nawet końca wiechy któregoś z młodych wilków.

Zobaczył za to kiedyś dorosłego wilka, taszczącego zarżniętą łanię rena. Drapieżnik zarzucił ją sobie na grzbiet — może nawet trzymał zębami jej tylną nogę — i tak ją dźwigał.

Lasse zapamiętał oczywiście miejsce, w którym dojrzał wilka, i pobiegł do domu po psa. Na nieszczęście nie miał go ze sobą ani teraz, ani wtedy, kiedy spotkał młode wilki, gdyby miał chociaż psa, pewno udałoby mu się wytropić wilcze szczenięta.

Ale nie udało mu się także dowiedzieć, gdzie zniknął dorosły wilk dźwigający łanię, chociaż była to prawdopodobnie wilczyca, niosąca pożywienie dla szceniąt. Nagle spadł ulewny deszcz, który zmył ślady, i pies nie mógł już znaleźć tropu.

Zresztą gniazdo nie znajdowało się na pewno w pobliżu miejsca, gdzie Lasse widział wilka.

Nigdy nie napada on zwierząt blisko gniazda, w którym czekają jego szczenięta; jest zbyt przebiegły, aby w ten sposób wskazywać człowiekowi swoją kryjówkę. Zresztą, może szczenięta wcale nie czekały w gnieździe na matkę; był to już bowiem koniec lata.

Ale na pewno były to te same szczenięta, ten sam diabelski pomiot, który dorastał ubiegłej zimy, i ten sam, który z parą starych tak podstępnie napadał: przeszło trzydzieści renów jednego tylko Gesty Heikiego ubiegłej wiosny, a zimą jeszcze więcej należących do Lassego! Doprawdy samo piekło zsyła wilki i ono nimi rządzi! Diabeł szepce im do ucha ostrzeżenie, kiedy natrafiają na zatrute żer. Bo czyż Lasse przed paru tygodniami dotknął padła, które w górach sam posypał strychniną?...

Lasse obrabia nożem kawał mięsa, odkrawa kęs po kęsie, połyka niemal nie żując. Kraje i kraje plastry mięsa, a jego jedyne żywe oko patrzy z taką nienawiścią, jak gdyby podrzynał krtanie wilkom, jednemu po drugim.

Brzozowe szczapy palą się na środku igloo spokojnie, ale niedobrze. Drewno jest wilgotne, ogień nie może go

24

objąć i żywiej zapłonąć. Cienkie, cętkowane pnie brzoź: ustawione gęsto dokoła ścian — tworzą one bowiem rusztowanie igloo — lśnią w blasku ognia białawo jak szkielety. W zawieszonym nad ogniem garnku błyszczą na powierzchni rosołu tłuszcz wygotowany z mięsa. Z osmolonych belek u góry, przy otworze dla dymu, zwisa kilka suszących się skór i kawały mięsa, jeszcze krwistoczerwonego.

Żona Lassego, Sigga, podnosi okopcony miedziany kociołek z żaru, nalewa sobie filiżankę kawy i siorbie ją siedząc na piętach; kobieta o prawdziwie mysim wyglądzie, z twarzą tak pokrytą drobnymi zmarszczkami, że przypomina sieć rybacką. Za paskiem ma wetknięty nóż i kościane pudełko z igłami.

Felling rozłożył śpiwór ze skóry renifera na warstwie brzozowego chrustu pokrywającej podłogę i wyciągnął się na tym posłaniu; plecak służy mu za poduszkę. Fajka dobrze ciągnie, a po obfitym posiłku i pracowitym dniu, spędzonym na dworze, dym tytoniu napełnia

Felling sennym spokojem; leży więc rozkoszując się wygodą. W tej chwili wydaje mu się, że niczego innego by nie pragnął.

Antę, wychowanek Perssonów, wyszedł pilnować renów w nocy.

Lasse wreszcie przestał jeść, pochłonał chyba połowę mięsa z kotła, jest żarłoczny jak wilk; prawie nigdy nie jada chleba ani masła, od lat żywi się głównie mięsem i czarną kawą. Teraz nabija fajkę tytoniem dobytym ze skórzanego woreczka i usadawia się ze skrzyżowanymi nogami, żeby ją wypalić; kiedy się zaciąga, policzki mu się zapadają, a od kącików oczu biegną ku dołowi fałdy jak proste bruzdy.

Czy Lasse widział kiedy wilki podczas rui?

Nie, nigdy. Lasse tego nie widział. Ale Henrik Parffa widział kiedyś basiora i waderę w porze godowej, było to w marcu. Biegły koło siebie jak psy, bawiły się, przystawały, lizały się wzajemnie i skakały jedno koło drugiego. Henrik poszedł ich śladami i udało mu się obejść je na zalesionym zboczu góry; kiedy jednak przyszedł z myśliwymi i wypłoszyli wilki, rozbiegły się one w przeciwnych

25

kierunkach. Tylko do jednego strzelali. Ale ślady wskazywały, że wkrótce potem zwierzęta znów się połączyły.

O ile Lassemu wiadomo, tylko ten jeden jedyny raz ktoś spotkał samca i samicę w okresie rui. O nie, wilki w ogóle nieczęsto pokazują się ludziom, nawet Lapończykom, którzy przecież całe życie przemierzają wilcze rejony.

Przeklęty łotr jest taki chytry, że kiedy zauważy człowieka i boi się, że ten go wytropi, zanurza się w jeziorze aż po sam nos i leży w wodzie tak długo, aż poczuje się bezpieczny.

Tak, Lapończycy nieraz się o tym przekonali.

— To rzeczywiście interesujące! — mówi Felling i nie uśmiecha się. Słyszał już dawniej o tym przesądzie.

1 dlatego latem tak rzadko widuje się wilka, ciągnie Lasse. A w zimie mało komu udaje się zastrzelić jakąś sztukę w górach, a jeśli, to prawie zawsze przypadkiem; w każdym razie lepiej spotkać go na dole, w lesie, na miękkim śniegu. Ale i wtedy niełatwa to sprawa, jeśli człowiek nie jest, jak Nils Harre, równie zawzięty jak wilk. Oczywiście czasem udaje się komuś wytropić na nartach wilka; Lasse widział to już dwa razy.

Ale na wiosnę, kiedy w gnieździe leżą szczenięta, może się powieść polowanie, jeżeli komuś uda się wytropić zwierzynę.

Tu, po norweskiej stronie, zjawili się kiedyś dwaj 4męż-czyźni, jeden norweski Lapończyk i jeden stale osiadły Szwed.

Wykryli oni na piaszczystym zboczu góry lisią norę. Ponieważ jednak znaleźli w pobliżu ślady wilka, pomyśleli, że może wilczyca pomiotła młode w lisiej norze. Takie rzeczy zdarzają się, jeśli wilczyca nie może wykopać sobie gniazda, bo ziemia jest zbyt głęboko zamrożona, a w pobliżu nie ma żwirowiska, - w którym mogłaby się ukryć. Zwykle karmi potem szczenięta na zewnątrz nory.

Toteż, kiedy owi mężczyźni znaleźli ślady wilka na piasku i na spłachciach śniegu, pomyśleli, że w tej norze mogą leżeć wilcze szczenięta.

Lapończyk położył się więc w miejscu wolnym od śniegu, a ten drugi przeszedł na szwedzką stronę, aby przynieść

26

щещи^яшшш

narzędzia do rozkopania nory i broń, z której zamierzał zastrzelić wilczycę.

Było to w maju, słońce miło przygrzewało, więc Lapończyk nie miał nic przeciw temu, aby poczekać jakiś czas, leżąc na nie pokrytej śniegiem ziemi.

Minął dzień. Z nory nie dochodził żaden odgłos.

W nocy wrócił Szwed i obaj, ukryci w brzezynie, czuwali do rana. Ale kiedy słońce zaczęło przygrzewać, zasnęli i obudzili się dopiero po południu. I wtedy odkryli na śniegu w pewnej odległości od nory świeży wilczy ślad. Wilk przyszedł więc, kiedy spali, zwietrzył człowieka i zawrócił.

W każdym razie teraz wiedzieli już na pewno, że w norze leżą szczenięta i wykopali je też; znaleźli sześć małych diabląt i zabili pięć. Szóstego przywiązali do brzozy i leżąc czatowali. — Ale pomyślcie sobie tylko! — powiedział Lasse po szwedzku, często wtrącał owo „pomyślcie sobie tylko”, kiedy wpadał w zapał przy opowiadaniu historii, jakby chcąc wzmocnić jej znaczenie. — Pomyślcie sobie tylko! Ci dwaj leżeli tam dwa dni i dwie noce, ale wilki nie przyszły.

Szczeniak przywiązany do brzozy oczywiście awanturował się, był głodny i wystraszony. Na to właśnie liczyli, spodziewali się, że skomlenie szczeniaka zwabi wilczycę albo basiora. I może nawet stare wilki rzeczywiście przyszły, ale nie pokazały się ludziom. Bo wilk zawsze pozostanie wilkiem, sam szatan nim się opiekuje i szepce mu do ucha, kiedy grozi jakies niebezpieczeństwo.

Ale pomyślcie sobie tylko! Trzeciej nocy zobaczyli z daleka jedno z nich, zapewne była to wadera. Widzieli, jak z wahaniem szła grzbietem góry; co jakiś czas przystawała i wpatrywała się w miejsce, gdzie znajdowali się dwaj mężczyźni i jej szczenię. Podnosiła wtedy pysk ku niebu i wyła...

Aż mężczyźni zatłukli szczenię przywiązane do brzozy.

Lasse umilkł. Sigga wyciera filizanki i ustawia je pod ścianą igloo obok kilku garnków i kociołków. Przeżuwa i przeżuwa nieustannie, ale właściwie nic nie żuje, tylko porusza wargami, osłaniającymi bezzębne dziąsła.

27

Kiedy Lasse tak siedzi wpatrzony w ogień, widocznie powraca do niego inne wspomnienie o wilku.

Mówi, że kiedyś zdarzyło mu się widzieć coś osobliwego. Było to wczesną wiosną, kiedy z pewnym człowiekiem poszedł wytropić wilcze gniazda. Wzięli ze sobą psa Soika; szczególnie dobrze umiał on odnajdować ślad wilka.

Znaleźli się o wczesnej porze wiosennej w samym sercu gór. Odkryli świeży trop i szli nim; myśleli bowiem, że może to być wilczyca, wracająca do swego gniazda. Idąc jej tropem doszli do nie ośnieżonego południowego zbocza i tu zauważyli, że wilk próbował wykopać jamę; nie udało mu się to, ponieważ ziemia była zamarznięta. Wywnioskowali z tego, że mają przed sobą wilczycę, którą czeka pomiot.

Lasse i ten drugi mężczyzna trzymali się tropu. Ale pomyślcie sobie tylko! Kiedy przeszli ze dwie czy trzy mile, znaleźli na śniegu świeżo urodzone wilcze szczenię, jeszcze mokre; było martwe. I matka zapewne ciężko rodziła, bo zobaczyli ślady jej rzucania się i tarzania po śniegu.

Najdziwniejsze jednak było to, że jedna noga szczenięcia zwisała luźno, jak gdyby odgryziona na wysokości uda. Czym można to było sobie wytłumaczyć?

Lasse długo rozmyślał nad zagadką i doszedł do przekonania, że wilczyca z wielkim trudem rodziła; wiedziała jednak, że ludzie ją ścigają, musiała iść dalej, a tymczasem leżała i miała rodzić. Wtedy zapewne chwyciła zębami nogę szczenięcia, żeby go siłą wyrwać z siebie, i chwyciła zbyt mocno...

Daik zwinął się w kłębek i śpi obok Felling na skórze renifera, tej, która służy Antemu za łóżko i miejsce do siedzenia, kiedy przebywa w domu. Daik jest zmęczony, cały dzień biegał za ludźmi w górach. Nagle jednak wydaje się, że poprzez zasłonę snu coś przenika do niego z zewnątrz; pies podnosi głowę, głęboki sen zamienia się w najdalej posuniętą czujność.

Nasłuchuje; w brązowych, przejrzystych oczach błyszczy napięta uwaga. Potem nagle wstaje, wsuwa mordę pod przymknięte drzwi i przeciska się na dwór. Felling idzie za nim.

28

Niebo jest zachmurzone, z pewnością spadnie śnieg. Nagie szczyty gór odcinają się blado na tle ciemności, jak matowy marmur. Rzeka płynąca u stóp zbocza szumi i ostrożnie bulgoce pod pokrywą lodu.

Ale Daik stoi przed igloo i nasłuchuje z głową odwróconą w bok ku wschodowi. Cały zamienił się w słuch, nawet łapą nie porusza, nic nie powinno zakłócić odgłosów, które wyławia z ciemności...

Felling widzi światło sączące się przez otwór u szczytu igloo. I nagle przenika go silne i osobliwe uczucie, wydaje mu się, że sam należy do tego ludu dalekich przestrzeni, że stopił się w' jedno ze wszystkimi tutaj; odczuwa takie samo napięcie jak pies — czyżby wilk skradał się, żeby porwać jednego z ich renów?

Ze wschodu dochodzi szczekanie psa, spokojne, władcze szczekanie, i Felling poznaje głos Darfa, i poznaje po sposobie szczekania, że nie dzieje się nic osobliwego, zapewne chodzi tylko o zapędzenie kilku renów z powrotem do stada. Daik wpełza obojętnie do igloo, Lasse i Sigga układają się do snu na skórach — ze stopami zwróconymi ku ogniovi, przykrywają się także skórami.

Felling wsunął się do śpiwora; ukrył w nim nawet głowę i właśnie rzemieniem sznuruje starannie, co dziurkę, otwór śpiwora na piersiach. Nie używa śpiwora zapinanego na haftki, zawsze wciska się do niego zimno. Sznuruje otwór, pozostawiając tylko małą dziurkę, aby zapewnić dopływ powietrza; jakie wyraźne są tu wewnątrz nawet najśłabsze dźwięki, słyszy bicie własnego serca.

Wkrótce ogień wygaśnie, a wtedy dobrze jest znajdować się z głową w śpiworze. Bo Lasse i Sigga nie dokładają szczap w nocy, nawet jeśli trzydziestostopniowy mróz złośliwie drwi z nich, wciskając się przez otwór u szczytu igloo. Ale aż do granicy świadomości prześladowuje Felling jeden obraz — obraz wilczycy stojącej na szczycie góry, wysoko ponad ciemnością wiosennej nocy w dolinie, na tle bladego nieba — stoi tam i śle w dal przeciągłe wycie, wyje z rozpaczny nad utraconym szczeniciem...

29

amotna łania utykając podąża ku szczytowi góry, przystaje, węszy w kierunku doliny, wzdryga się i kulejąc skacze dalej w tumanie śniegu.

„Wilczy żer!” powiedział o niej Lasse Persson, kiedy poprzedniego dnia on i Antę zrezygnowali ze schwywania jej, odwrócili narty i z ostatnimi trzema zapędzonymi i biegającymi teraz w pobliżu renami wyruszyli do igloo i stada. Lasse zamierzał nazajutrz rozpocząć wędrowkę.

Łania znów przystanęła, trudno jej poruszać się z nogą bolącą przy każdym kroku; ból nie ustępuje, nawet kiedy trzyma ją w górze.

Ale złowrózba zawierucha dogania ją i przynosi ostrzeżenie, które nozdrza rena rozumieją. Pod wpływem tego ostrzeżenia łania próbuje zwyczajem reniferów dojść do najwyższego szczytu.

Dotarła już do wierzchołka, za którym ściana opada stromo ku południowi. Łania odwraca się zadem do przepaści i zastyga w bezruchu, z głową pochyloną pod wiatr.

Zapadł już późny wieczór, ale nie jest ani bardzo ciemno, ani bardzo zimno. Niebo przypomina morze podczas sztormu, spieszenie suną po nim granatowe chmury, a przez nagle tworzące się w nich rozdarcia wygląda od czasu do czasu księżyc. Ale kopuła nieba ponad chmurami jest czysta, spokojnie błyszczą na niej gwiazdy.

Śnieg nie pada, mimo to łania chwilami zupełnie znika w jego tumanach; to śnieżny puch, śnieg, który wichura unosi i jak olbrzymie masy piany pędzi na szczyty gór!

5

30

Łania zamyka oczy przed tym tumanem, a w jej małym, delikatnym porożu jęczy wiatr.

Ale przynosi on także jej nozdrzom coraz silniejszy, niebezpieczny zapach i kiedy tylko wicher daje sobie chwilę wytchnienia, a tuman śniegu opada, łania rozgląda się z wysiłkiem, czujnie, napięta i pełna trwogi; strach przenika drżeniem całe ciało zwierzęcia, które teraz już wie, że wróg jest blisko, tuż tuż... Za łanią otwiera się przepaść, w bok zaś nie może dość

szybko uskoczyć z powodu nogi, która nie chce jej pomóc. Łania nie ma wyboru, może tylko stać, gdzie stoi.

Księżyc wygląda przez szparę, która w pędzących chmurach wciąż na nowo rozrywa się i zamyka, rzuca swoje zmienne światło na góry; dokoła to robi się ciemno i ponuro, to znów jasny blask pada na doliny porośnięte ciemnymi lasami brzozowymi, które uginają się pokornie pod uderzeniami wiatru i wydają wielki szum, pomieszany z niezliczonymi, delikatnymi szeptami, na nagie torfowiska ze stwardniałymi zaspami, na jeziora pokryte omiecionym ze śniegu lodem; a nad szczytami, rysującymi się upiornie w blasku księżyca, unoszą się lśniące, białe tumany śniegu...

I nagle, podczas kolejnego rozbłysku księżyca, łania dostrzega przed sobą kilka sunących w tumanie śniegu plam, trochę ciemniejszych niż śnieg. Od wirujących płatków pieką oczy zwierzęcia, mimo to wytrwale wpatruje się w te plamy, i drży coraz silniej.

Plamy przesuwają się bliżej, rosną, chwilami zamazuje je wirujący śnieg, potem pojawiają się znowu, wyraźniejsze niż przedtem. Teraz śnieg opada trochę — i oto są wilki!

Podchodzą rozproszone i niemal pełzną. Nagle jednak jeden z nich skacze na równe nogi i rzuca się ku łani! Za nim inne!

Łania wzdryga się, instynkt każe jej uskoczyć i rzucić się do ucieczki — ale za nią zieje przepaść! Nie rusza się więc z miejsca, schyla poroże jak do ataku, śmiertelne niebezpieczeństwo zrodziło w niej sztuczną odwagę, stoi niebezpiecznie groźna, chociaż boi się potwornie.

31

Ale wilki zatrzymały się nagle, jak gdyby się rozmyśliły, czują się niepewne, podkradają się to z tej, to z tamtej strony, nie idą wprost na rena, po którego tu przecież przyszły.

Dlaczego nie rzucają się na zwierzę i nie zagryzają go na śmierć, sześć wilków na samotną małą łanię? Co się dzieje z wielką, drapieżną waderą?

Wilczyca skrada się skośnie w kierunku łani, z pochyloną głową, podstępna i groźna, jak gdyby za chwilę miała sprężyć się do skoku i zakończyć łowy.

Ale ta wilczyca, która swoje długie kły zatapiała już niezliczone razy w ciała renów, wcale nie szykuje się do skoku, trwa na czatach, nie mogąc powziąć decyzji.

Oczekiwała bowiem, że stojące przed nią zwierzę odwróci się i będzie próbowało uciec, jak na jej widok robią zawsze reny, wtedy ona, przepelniona żądzą krwi, zaczęłaby łanię ścigać i schwytałaby ją od tyłu. Ale ta łania zwraca ku napastnikowi poroże, rogi, o których wilczyca wie, że są ostre, dlatego straciła pewność siebie, żądza krwi nie kipi już w niej tak gwałtownie, wilczyca nie odważa się skoczyć wprost na pochylone rogi.

To samo czują pozostałe wilki. W nich także tchórzostwo kryje się pod okrucieństwem drapieżników, niewiele trzeba, żeby strach przeważał. Toteż wilki skradają się i znowu się cofają przed małą, pochyloną głową rena, uzbrojoną w małe, wąfle rogi.

A chmury wciąż prowadzą swoją upiorną girę światła ponad górami, tumany śniegu to rzędną, to gęstnieją, a łania na wpeł oślepyłymi oczami śledzi ruchy napastników, nawet kiedy płatki gwałtownie wirują.

Wtem wilczyca wpada na pomysł. Pozornie zawraca, pozostałe wilki ją naśladują; wszystkie cofają się kawałek. Potem wilczyca nagle odwraca się i długimi susami sady naprzód, reszta wilków za nią, rzucają się ku renowi stojącemu nad przepaścią — teraz go dopadną!

Łania wzdryga się, podnosi głowę, przez chwilę rozgląda się, jakby szukając ratunku... Za nią zieje przepaść, w bok

32

nie zdąży uskoczyć, wie o tym. Pochyla więc znowu poroże, gotowa uderzyć nim na nacierającą zgraję morderców.

Wilki zatrzymują się. Znowu zaczynają krążyć, niepewne, tchórzliwe. Nie przywykły do spotkań z renem oko w oko.

Nagłą napaścią zamierzały zmusić łanię do odwrócenia się do nich zadem, a wtedy...
Aż do późnej nocy wilki czekają na szczycie górskim, nie chcą tak łatwo wyrzec się ciepłej stawy.

Pył śnieżny smaga ich futra, wiatr unosi całe kawały popekanej warstwy śniegu, które wirują i z hukiem spadają, chwilami zawieja jest tak gwałtowna, że księżyc w ogóle nie widać.

Wilki kilkakrotnie jeszcze podejmują próby, cofają się i razem atakują łanię. Ale ona stoi nieporuszona, bo nic innego nie może zrobić.

I wreszcie sześć wilków odchodzi na północ, w góry, na zimny żer nad jeziorem.

Nad ranem wichura nagle ustaje. Śnieg opada, góry przestają dymić, pojawiają się znów szczyty, czyste, wyraźne, jak dawniej; niebo jest usiane gwiazdami.

Łania wciąż jeszcze stoi w tym samym miejscu, boi się poruszyć, wietrzy na wszystkie strony.

Następnego wieczora wilki dopadły jednak swojej ofiary.

Natknęły się na nią w dolinie; łania dostrzegła je z daleka, próbowała umknąć, aby ocalić życie, skakała z nieruchomo zwisającą, złamaną nogą...

I wkrótce już jej wysiłek stał się niepotrzebny.

W ciągu kilku następnych nocy zgrai wilków nie udało się zdobyć ciepłego pożywienia. A właśnie takie lubiły najbardziej. Dlatego też wataha rozdzieliła się, jak to czasem wilki czynią. Stara wilczyca z jednym młodym skręciła na wschód, pozostałe pociągnęły na północ, w góry.

Wilk, który trzymał się starej, należał do gatunku zwanego przez tubylców „myśliwym”: nigdy nie kładł się, aby nażreć się do syta mięsem pierwszego zarżniętego rena;

3 Wilki

33

wyrywał tylko jeden lub dwa kęsy z ofiary, czasem nawet ich nie pożerał, tylko ścigał pozostałe zwierzęta, rozszarpywał jedno po drugim, morderca z samej żądzy mordowania któremu nigdy nie było dosyć ofiar. Taki właśnie był „myśliwy”.

W ciągu ostatnich nocy nie można było złapać choćby słabego świeżego wiatru renów i wilczyca dobrze wiedziała, co się z nimi stało; o tej porze, w zimie, większa część stad zawsze zniknęła z gór.

Stara ciągnęła więc teraz na wschód, trzymając się odnóg granicznego pasma gór, sięgających aż do zalesionych terenów-

Jeszcze dobrze po północy dwa wilki niezmordowanie sznurowały na wschód, ale księżyc dotychczas nie wyjrzał; ostatnio sypiał coraz dłużej. A kiedy wreszcie ukazało się to blade słońce nocy, nie było okrągłe, lecz podłużne.

Kiedy wilczyca spoglądała na księżyc, zauważyła, że i on na nią patrzy. Kiedyś stała oko w oko z człowiekiem i nigdy tego nie zapomniała. Twarz patrzącego na nią księżyc przypominała jej twarz ludzką, ale dzięki temu, że była nieruchoma, nie budziła uczucia niepewności. Niekiedy jednak w takie księżycowe noce wilczyca odczuwała osobliwą potrzebę: podnosiła pysk i wyła ku temu tam na górze, wyła dziko, a zarazem smutnie. Teraz oba wilki natrafiły na drogę, którą Lasse Persson pędził na wschód swoje reny w zwartym stadzie.

Droga wyglądała jak twardo udeptany w śniegu trakt, szeroki na wiele długości wilka, rozgrzebany niezliczonymi racicami renów, a potem zamarznięty; tutaj łapy wilków nie pozostawiały śladów. Wilczyca i „myśliwy” zaczęli szybko sznurować tym traktem.

Od drogi, którą przeszły reny, nie mogły już złapać wiatru ślady były zbyt stare, a w zimie zapach nie utrzymuje się długo. Ale na drodze były rozrzucone bobki renów jak duże, ciemne jagody, i te pachniały mocno. Wilki wiedziały więc, ile żywego żeru przeszło, chciały go

dogonić i nasycić się nim. Poczuli, jak bardzo są wygłodzone; od dwóch dni ich trzewia nie miały nic do trawienia.

34

Sadziły teraz długimi skokami.

W pewnym miejscu jednostajna, udeptana przez reny droga była przerwana; reny rozbiegły się tu po całym rozległym zboczu góry i widocznie pasły się, a na polanie leśnej wilczyca dostrzegła ślady ludzkiego obozowiska: leżał tu duży, okrągły wieniec gałązek sosnowych z ułożonym w środku stosem szczap. Jeden koniec każdej szczapy był okopcony, a drugi nie. I biła od nich silna, drażniąca woń, podobna do tej, którą wydaje jasny opar nad obozowiskiem człowieka, przypominający zimny opar, jaki w mroźne dni unosi się nad nie pokrytymi lodem odcinkami rzeki.

Wilczyca często widywała takie opuszczone obozowiska, zbliżała się do nich, nawet kiedy byli w nich jeszcze ludzie, słyszała też dziwne wycie małego wilka, towarzyszącego stale człowiekowi, wycie przypominające bardziej szczekanie psa ścigającego zające niż głos wilka.

Oba wilki krążyły jakiś czas, dopóki nie odnalazły zdeptanego, ale pewnego tropu renów, prowadzącego teraz ku dolinie na wschodzie, szerokiej, otwartej dolinie z długim jeziorem, której zbocza porastał gęsty las iglasty, wspinający się aż ku łysym wierzchołkom wzgórz. Droga ciągnęła się przez to jezioro, które w oddali zwężało się i zamieniało w długą, wąską rzekę, wijącą się między licznymi zalesionymi pagórkami aż do miejsca, gdzie brzegi jej znowu się rozstępowały i tworzyły nowe jezioro. Również przez nie prowadziła droga renów. Nie zmieniając kierunku, szła wciąż na wschód, przez bagna i jeziora, zawsze otwartą przestrzenią.

Wilki nie opuszczały tej drogi aż do świtu, który pojawił się najpierw wysoko, na zachodnim łańcuchu gór, jak miękki, budzący się ze snu blask na śniegu, kiedy nisko, w dolinie, panowała jeszcze niemal głęboka noc.

Ale wraz z nadejściem poranka wilczyce opanował niepokój. Odczuwała go zawsze, kiedy znajdowała się na dole, w lasach, bo tu wszędzie coś zdawało się na nią czyhać spoza zarośli i pni, coś, czego nie mogła dojrzeć. Poza tym trudno tu było biec, śnieg był tak miękki, że łapy nie chciały jej już nieść... Kiedyś, zimą, przeżyła pościg na

3»

35

dole, w iglastym lesie. Od tego czasu wiedziała, że do lasu nie można mieć zaufania.

W wysokich górach wszystko było widoczne, jasne i przezroczyste, tam prawie nic się nie mogło ukryć. Z nastaniem dnia zawsze ciągnęło ją w góry z tych czarnych lasów. Dopóki jeszcze między drzewami zalegała ciemność, czuła się i tu bezpiecznie, ale gdy się rozjaśniało, była jak gdyby obnażona, widoczna dla wszystkiego, co z ukrycia na nią czatowało.

Opuściła więc drogę renów i zaczęła wspinać się skośnie po zboczu. „Myśliwy” biegł za nią. Oba wilki pozostawiały tylko jeden trop; wilk stawiał łapy dokładnie w śladach starej. Tylko w jednym jedynym miejscu odciski ich łap rozłączyły się. Było to na wysoko położonym torfowisku, na którym oba wilki zwietrzyły trop zajęcy. Tu szukały i macały dokoła; wciągały jak ciepły oddech wiatr zajęczy, unoszący się w powietrzu niby mgła... W końcu jednak trop wskazał na parę długich susów przerażonych zwierząt, zajęcze łapy tylko tu i ówdzie dotknęły przelotnie śniegu, aby nabrać nowej siły do skoku. Wilki dobrze wiedziały: przestraszony zajac na głębokim śniegu — nie staje się ich żerem. Ponownie więc rozpoczęły swoją drogę w górę.

Kiedy znalazły się na nagim wzniesieniu, poczuły się od razu pewniej i położyły się na skalnym występie, skąd miały otwarty widok.

Tu mogły przespać dzień, tu nic nie zaskoczy ich zbyt nagle, tak aby nie zwietrzyły, nie dostrzegły lub nie dosłyszały niebezpieczeństwa. Wiatr zmiótł śnieg ze skały, na której leżały, i odsłonił szkielet pardwy, białe kości, wysuszone na słońcu, obmyte deszczem. „Myśliwy” zmiądzzył je z głośnym trzaskiem i pożarł.

A ni Lasse, ani Antę w ciągu dwóch ostatnich nocy nie zmrużyli oka, a i Felling niewiele snu zakosztował.

Kiedy wieczorem pozostawiali stado na swobodzie i rozbijali namiot, wcale nie byli pewni, czy zwierzęta przez całą noc nie zakłócą ich wypoczynku. Bo w lasach było mało mchu, i jeśli się nie uważało, reny odłączały się od stada i rozprasały na znacznej przestrzeni, szukając pożywienia. Gdyby je pozostawili bez nadzoru, zapewne strawiliby cały następny dzień, a może i jeszcze dłuższy czas, na spędzaniu ich w jedno stado.

W dzień także nie było czasu na odpoczynek. Stado parło wciąż naprzód; na tle jezior przypominało maszerujący oddziałek wojska, z porożami sterzącymi jak nastawione bagnety.

Lasse i Sigga musieli zabrać cały swój dobytek na sankach, których płozy często pokrywały się warstwą lodu, i trzeba było ją zdrapywać, kiedy na zamrażającym jeziorze stała woda; w gęstym lesie znów sanki zapłatywały się razem z ciągnącym je renem w gąszczu gałęzi. Była to więc ciężka i mozolna praca od rana do zmierzchu — a jeszcze i w nocy!

Trzeciego wieczora rozbili namiot w lesie, u końca długiego, wąskiego jeziora; w tych okolicach ciągnął się cały łańcuch jezior. Miejsce, na którym miał stanąć namiot, oczyścili ze śniegu, Antę ścinał gałęzie sosnowe na podściółkę, Felling wyruszył z siekierą w rękę, aby poszukać na zamrażającym torfowisku suchego sosnowego drewna na ognisko.

37

Nie czuł w sobie wiele sił, kiedy tak stał po kolana w śniegu i ścinał sosny; nie, prawdę mówiąc, był dość wyczerpany!

Przerąbał pień na dwa długie polana i pomyślał, że uda mu się chyba zanieść je do namiotu na dbu ramionach. Ale dźwiganie drugiego polana przerastało jego siły; na krótko przed celem musiał go wbić jednym końcem w śnieg i chwilę wypocząć.

— Norweg zmęczony? — spytał z uśmiechem Antę; mały, zwinny i pogodny podszedł bliżej.

— Tam do diabła, naturalnie, że jestem zmęczony! — odpowiedział Felling. Wciąż to samo łagodne pytanie An-tego i Lassego, czy Norweg jest zmęczony, wydało mu się w tej chwili wprost wyzywające. Niemniej udało mu się wziąć znów drugą połowę pnia na ramię i z trudem dobrnąć do namiotu — ale nie przeszedłby już ani dwudziestu kroków więcej.

Antę miał czuwać przez pierwszą połowę nocy, on i pies Daik. Mężczyźni musieli się zmieniać po tylu długich nocach, podczas których obaj tak mało sypiali.

Zresztą reny zachowywały się teraz nieco spokojniej niż z początku, miały tu chyba lepsze pastwiska; aż pod szczyt góry na południowej stronie doliny znajdowały się nie osłonięte karczowiska, a takie miejsca przeważnie obfitują w mech dla renów. Jeśli tak jest istotnie, oświadczył Lasse, to zostaną tu aż do pojutra, żeby stado mogło się nażreć do syta; naprawdę jest mu to potrzebne.

Felling poczuł się nieco raźniej po jedzeniu i kawie, tak mocnej jak wódka. Ale nic nie mogłoby go* "dzisiejszej nocy wywabić z namiotu, nawet gdyby chodziło o ocalenie ukochanej; kiedy teraz sen na niego przyjdzie, ogłuszy go zupełnie.

Lasse także był zmęczony; nie można by tego wyraźnie poznać po nim, ale sarn się przyznał.

— Inna rzecz, że to jeszcze nic wielkiego — dodał. — Pomyślcie sobie tylko! — Kiedyś pomagał rozdzielać stada renów przez wiele kolejnych dni i nocy i jeszcze parę dalszych. Byli tak zmęczeni, że niektórzy po prostu padali na śnieg, tam gdzie stali i ja

38

stali. I leżąc na śniegu spali... Nie, nie, dziś to jeszcze nic takiego wielkiego!

Za to Antę, jak się zdawało, w ogóle nie odczuwał nie przespanych nocy, chociaż chłopcy w jego wieku zwykle potrzebują dużo snu. Miał osiemnaście lat, ale wygląd silnego fizycznie i wytrwałego mężczyzny z domieszką dobrej szwedzkiej krwi, był zawsze pogodny, chętny do pracy. Lasse i Sigga wygrała los na loterii, przygarniając ośmioletniego wówczas chłopca; sami byli bezdzietni.

Kiedy Antę i Daik wypelzli z namiotu, było już dość ciemno. Antę naciągnął na siebie ciepły, lekki kubrak ze skóry młodego rena.

Zerwał się wiatr, płócienna ściana namiotu trzepotała i uderzała o drążki przy każdym silnym powiewie, idącym od północnego brzegu jeziora; wiatr wciskał się pod dolny skraj ściany i przyduszał płomienie ogniska do ziemi. Lasse wyszedł na dwór, przyciągnął troje sanek i z zewnątrz przycisnął dół płóciennej ściany namiotu; odtąd było już lepiej.

Ale górnego otworu w namiocie nie mogli zabezpieczyć przed wiatrem, który wypychał z powrotem do wnętrza dym z ogniska, tak że Lasse i Sigga wkrótce zaczęli wyglądać jak niewyraźne widma.

Lasse opowiadał o pastwiskach, o zimach spędzanych nisko w lasach, gdzie reny głodowały, kiedy ziemia i poszycie zamarzały natychmiast po jesiennych deszczach i zwierzęta nie mogły wygrzebać mchu. Było to dla nich kwestią życia. Szły więc przed siebie i chciwie pożerały każdy najlichszy porost, jaki udało im się znaleźć. Były w końcu tak osłabione, że idąc zataczały się. Tu i ówdzie zostawało na śniegu zamarzniete padło.

Ale tej zimy nie groziło im to.

Felling leżał w swoim śpiworze, głos Lassego dochodził do niego jak z innego świata, nie zdawał sobie sprawy, że nie śpi.

Zaczął się uważniej przysłuchiwać dopiero wtedy, kiedy odezwała się Sigga, mówiąc coś z ożywieniem; rzadko jej się to zdarzało, zwykle milczała jak głąz; musiało więc

39

teraz chodzić o coś szczególnie ważnego. Felling słyszał, jak Lasse odpowiada, jak próbuje ją uspokoić. Felling poznał to po jego tonie, bo z gwałtownie wyrzucanych lapońskich słów nie mógł domyślić się sensu. Sigga nie umiała powiedzieć nic, albo prawie nic, po szwedzku.

— Co się dzieje z Sigga? — zapytał.

— Dosłyszała z ognia ostrzeżenie o niebezpieczeństwie — odparł Lasse: Jęczy i gwizdże w nim, a to oznacza coś złego dla nich obojga i Sigga twierdzi, że nie powinni zatrzymywać się tu dłużej niż do jutra.

Sigga pochodziła ze szczepu Lapończyków żyjącego dalej na południe, a tam wszyscy starsi ludzie wiedzieli, że jeżeli ogień tak gwizdże, to przytrafi się coś złego, i ludzie zazwyczaj odchodzili z tego miejsca.

Ale Lasse nie słyszał nic podobnego od swoich rodziców i innych ludzi z tej okolicy, nie, nie wierzył w takie rzeczy. Jeżeli ogień gwizdże, to tylko dlatego, że wśród drzew znalazła się wilgotna sosnowa gałązka; to ona wywołuje gwizdanie.

Felling nie słyszał już nic więcej.

Kiedy obudził się nad ranem, był jeszcze mrok. Dzień długo spał o tej ciemnej porze roku, a nawet czasem wydawało się, że w ogóle nie budzi się naprawdę, tylko drzemie do wieczora. Lasse właśnie powrócił z nocnego dyżuru, nie zdjął jeszcze nawet czapki, siedząc na skórze renifera popijał gorącą kawę; zdawało się, że idzie od niego chłodny powiew panującego na dworze zimna. Antę spał.

Daik pilnował garnka z mięsem, który Sigga zdjęła z ognia; z oczu psa wyczierały głód i oczekiwanie. W sierści na brzuchu uwięzły kawałki lodu po nocy spędzonej na dworze.

Reny są teraz spokojne i łatwo utrzymać je w stadzie, powiedział Lasse; znalazły dość pożywienia i mógł je już wcześniej spokojnie puścić samopas. Ale zaraz po wyjściu z namiotu, tak około północy, wydało mu się, że z daleka,

40

z zachodu, dochodzi go wycie wilków. Nie był tego pewny, głos brzmiał trochę niewyraźnie, a on jechał właśnie na nartach i szmer, jaki wydawały ślizgające się deski, zakłócał dźwięki chwywane przez najsubtelniejszy słuch. Niemniej tak się zaniepokoił, że aż do świtu pozostał przy stadzie; później wilk już rzadko wychodzi na żer.

Lasse nie wiedział więc na pewno, czy istotnie słyszał wycie, wilków. Było to zresztą zupełnie prawdopodobne; bo kiedy Lapończycy wyruszają na wędrowkę, ta diabelska zgraja często biegnie śladem renów.

Mimo to chce tu zostać przez dzisiaj, bo w miejscu następnego postoju nie ma dobrego pastwiska, a trzeba dbać o to, żeby zwierzęta, jeżeli się tylko da, były syte. A gdyby istotnie wilk szedł ich tropem, to znajdzie je równie dobrze tu, jak i dalej na wschód. Poza tym tutaj, gdzie zwierzęta zachowują się tak spokojnie, łatwiej utrzymać je w stadzie i mieć na nie oko. Ale teraz Lasse zamierzał prędko pojechać na wschód do Alberta Uddena, najbliższej mieszkającego osadnika, zaledwie o milę stąd. Albert ma broń i zawsze był zawzięty na wilki. Co prawda nie przydybał jeszcze ani jednego, ale jeżeli wilk kręci się w pobliżu, to Albert, jak nikt inny, umie go wytropić i przegonić w innym kierunku.

Lasse powrócił przed wieczorem. Nie widział się z Albertem, który właśnie wyruszył do najbliższego sąsiada, zamieszkałego jeszcze o milę dalej; nie miał nic szczególnego do omówienia z nim, po prostu od dawna nie zdarzyła mu się okazja do prawdziwie męskiej rozmowy. Albert był jedynym mężczyzną w domu, w którym mieszkał z żoną i dzieckiem. I często upływało dużo czasu, zanim spotkał innego mężczyznę. Może wróci na wieczór do domu, a może dopiero jutro rano, jego żona nie wiedziała dokładnie, kiedy, ale wiadomość o wilku przekaże Albertowi zaraz po jego powrocie.

Antę w ciągu dnia wspiał się wyżej, żeby rozejrzeć się za stadem, i pilnował go aż do późnego wieczora; potem

41

miał go zmienić Lasse Persson a Felling chciał mu towarzyszyć.

Felling był teraz wyspany. A nuż wydarzy się coś ciekawego. Zabrał ze sobą śpiwór, siekiere, kociołek do kawy i prowiant. — Prowiant? — zdziwił się Lasse. Nigdy nie brał ze sobą żywności, nawet jeśli miał całą noc pilnować renów.

Obaj mężczyźni trzymali się śladów nart, na których Antę i Lasse już nieraz szli tędy, od namiotu do wyżej położonego miejsca, gdzie pały się ireny. Ślad był szeroki i twardy, umożliwiał szybkie posuwanie się naprzód, a w stromych miejscach Lasse, jak zwykle, nabierał zdumiewającej lekkości, na wpeł wychodząc z wiązań i opierając się na obcasach. Felling natomiast zdrowo się pocił, Lasse musiał kilkakrotnie zatrzymywać sędę i czekać na niego.

Wieczór był ciemny, chmury pokrywały niemal całe niebo; na zachodzie jakaś senna gwiazda wyglądała chwilami spośród wierzchołków gałęzi i drzew, ale i ona, ostatnia już, wkrótce zniknęła w gęstej szarości.

Szli przez dziewiczy las. Mimo że myśliwi i Lapończycy podczas swoich wędrowek zawsze zaopatrywali się tu w drewno na palące się w nocy ogniska, nie było tego w ogóle widać. Siekiera zaś, za pomocą której chciano by zamienić drzewo na pieniądze, nigdy tu nie przemówiła ani do dzikiej zwierzyny, ani do ptactwa swoim twardym, donośnym głosem. Las nie zmienił swego wyglądu sprzed czasów, kiedy najwcześniejszy osadnik po raz pierwszy wysłał ku niebu dym ognia karczującego knieję.

I Fellingowi, wędrującemu w tę chmurną noc, wydawało się, że długimi krokami opuszcza epokę, w której żył, i powraca do czasów, kiedy jedynymi władcami byli tu krótko-nogi-Lapończyk i długonogi wilk. Felling widział przed sobą sunącego na nartach Lassego Perssona i wydawało mu się, że ten Lapończyk zmartwychwstał z czasów swoich przodków. Ubrany w futro, tak jak oni szedł wymachując długim kijem, najstarszą bronią w walce z

wilkiem; jadał prawie wyłącznie mięso, jego kobieta siedziała w igloo lub w namiocie i szyla niemi ze zwierzęcych ścięgien, dym

42

z jego ognia wzbijał się ponad dziewiczy las i nagie grzbiety górskie...

Oto za Lassem drepcze między końcami nart Darf, jego pies, kudłaty, biało-czarny. Tu, w lasach, od czasów pierwotnych zawsze dreptał tak za swoim odzianym w skóry panem, od wielu, wielu stuleci, kiedy Lapończycy składali jeszcze ofiary potężnemu kamiennemu bóstwu...

Darf nagle stanął, wpatrując się prosto przed siebie.

Na niewielkim torfowisku majaczyło w ciemności kilka niewyraźnych postaci zwierząt. W tej chwili odwróciły się i uciekły — to reny, płochliwe ze strachu przed wilkami, jak zwykle po okresie spędzonym w górach na północy; widocznie wzięły Lasseggo w jego kudłatej futrzanej odzieży za drapieżne zwierzę. Ale Lasse wydał głośny okrzyk i reny natychmiast zatrzymały się spoglądając za siebie. Teraz wiedziały, że nadchodzi ich pasterz.

Mężczyźni wspięli się aż na samą górę, do pasma skał, pod którym rosły małe, skarłowaciałe sosny, wyciągając nagie gałęzie. Tutaj spotkali Antego, który zaraz wyruszył w drogę powrotną do namiotu.

Śnieg był tu wszędzie rozgrzebany, zwierzęta wykopywały duże dziury, sięgające aż do mchu; z dna dziur wyglądała też czasem goła ziemia lub wrzos. Na małym strumyku reny przednimi racicami zrobiły dziurę w lodzie, aby móc się napić wody.

Dokoła w ciemności poruszały się lub stały cienie; reny były spokojne, a Antę nie zauważył w pobliżu drapieżników. Lasse poczuł się więc pewniejszy; jeśli rzeczywiście głos, który słyszał poprzedniej nocy, był wyciem wilka, to zaszło coś niezwykłego, że dotychczas tu się nie pokazał.

Mimo to Lasse postanowił zagonić reny w jedno miejsce, najciaśniej jak tylko się da, zatoczył więc duży łuk dokoła nich, pędząc je ku środkowi. Pomagał mu w tym Darf, któremu Lasse wydawał rozkazy okrzykami i ruchami rąk. Okrzyki te jednak brzmiały w tej czarnej nocy zimowej dziwnie obco i dziko. — Huchte! — wołał Lasse, wydając przy tym zgrzytliwy dźwięk gardłowy. Darf ujadął — Tjeszaut! — krzyknął Lasse. I pies umilkł.

43

Wszędzie między sosnami i karłowatymi brzożami panowało życie, chodziły reny, ale widać je było niewyraźnie, i nie wiedząc, że coś się tam rusza, patrzący nie mógł być tego pewny. Chwilami tylko, na jakiejś polanie, poroże renów rzucało na śnieg niespokojny rysunek, a zwierzęta pochrapywały głośno, młode byki niższym, krowy wyższym, dźwięczniejszym głosem. I Felling miał wrażenie, że nie są to gardłowe głosy na wpół oswojonych zwierząt; ta masa grzbietów, płynąca bez końca w ciemności, była jak gdyby snem z pierwotnych czasów świata dzikich zwierząt, czasów, które nigdy nie powrócą.

Kiedy już okrążyli stado kilka razy i zapędzili reny w zbitą gromadę, Felling przewrócił nadłamaną przez wiatr sosnę i za dużym głazem rozniecił ogień. Wkrótce płomienie zaczęły migotać jak bladoróżowy, powiewający welon. Na części kamienia zwróconej ku ognisku widać było małe punkty, jak piegi; były to nikłe ślady porostów.

Tam, gdzie kończył się krąg blasku ogniska, leżał nieruchomo zwinięty w kłębek Darf i spał. Od czasu do czasu Lasse wstawał i nasłuchiwał w nocnej ciszy; dźwięk dzwonka u szyi łani dzwonnej zanikał chwilami zupełnie, kiedy zwierzę znalazło się za jakimś wzniesieniem albo w dolinie, poza tym jednak dochodził spokojny i budzący ufność.

Lasse zaczął znów opowiadać historie o wilkach, znał ich niezliczoną ilość.

Kiedyś, bardzo dawno temu, żył tu jeden tak chciwy i bezczelny wilk, że potrafił napaść i zarznąć nawet mocno uwiązane rena.

Kiedyś znów dwaj Lapończycy w zimową noc rozpalili ognisko w środku stada. Nagle, kiedy siedzieli sobie przy ogniu, całe stado ogarnął popłoch, reny rozbiegły się tratując ludzi —

wilk je napadł. I oto ujrzeni, jak wilk przeskoczył przez ogień i sadził dalej. Wszystko zakotłowało się w ciemności, reny, wilk i ludzie. Tej nocy Lapończycy z pewnością odnaleźli niewiele swoich zwierząt.

A na wiosnę ubito wilka, który miał niezwykle dziwaczne futro; wyglądało tak, jakby kiedyś było przypalone...

44

Felling zagotował kawę i Lasse wypił dwie filiżanki; ale zjeść nic nie chciał.

Potem siadł na śniegu w takiej odległości od ogniska, że ciepło nie mogło do niego dochodzić; podniósł wielki kołnierz futrzanego kubraka i wciągnął weń głęboko głowę.

Powiedział, że jest bardzo senny, a — jak mawiają starzy — kiedy człowiek czuje senność, to znaczy, że wilk jest niedaleko. Ale dziś wcale nie wygląda na to, żeby wilki były w pobliżu, a ponieważ tak dobrze im się udało spędzić całe stado, mogą posiedzieć sobie przy ogniu.

Jeżeliby jednak Lasse zasnął, a Norweg usłyszałyby, że łania z uwiązany na szyi dzwonkiem zachowuje się niespokojnie, niech mu od razu o tym powie. Zresztą Lasse w takich okolicznościach rzadko zapada w drzemkę.

Lasse odwrócił się więc do towarzysza włochatymi plecami swojego futrzanego kubraka i Fellingowi przyszło na myśl, że nigdy jeszcze nie widział w lesie postaci bardziej przypominającej niedźwiedzia. Tam siedział prawdziwy niedźwiedź. Podobieństwo było tak wielkie, że Felling poczuł się niepewnie: lapońskie buty przypominały mu łapy niedźwiedzia, ręce — potężne, kudłate nogi o napiętych mięśniach... Oto drapieżne zwierzę spoczywa tam przed nim na śniegu.

Felling długo siedział nie śpiąc i paląc fajkę. Panowało psie zimno, z pewnością było ponad dwadzieścia stopni poniżej zera, mróz palił odwrócone od ognia plecy; Felling musiał co chwila zmieniać pozycję na swoim legowisku z gałęzi, aby przypiekać się to z przodu, to z tyłu. Wkrótce jednak zapas drewna się skończył, ogień stracił swą moc, Felling rozwinął więc śpiwór i wsunął się do wnętrza.

Mogłoby się zdawać, że Lasse nie odczuwa zimna; siedział bez ruchu, opatulony w kubrak, jakby spał; ale pewno tak wcale nie było.

Felling nie był senny. Leżał sobie tylko wygodnie, z otworem śpiwora zasnurowanym tak, aby pozostawiał ujście dla dymu z fajki, i teraz nie dokuczało mu już ani trochę zimno, jakby leżał w łóżku pod puchową kołdrą.

Ileż romantyzmu było w takim śpiworze ze skóry rena!

45

Chwała temu, kto go wynalazł! Móc wczougać się do takiego ciepłego worka ze skóry zwierzęcej w najdzikszych górach, podczas szalejącej zawieci, kiedy bez niego wybiłaby dla człowieka ostatnia godzina, leżeć sobie i śmiać się z morderczych zapasów dokoła, leżeć i palić fajkę — tak, czyż śpiwór nie był wspaniałą, znakomicie obmyśloną otuchą w życiu?

Człowiek wydaje się sobie własnym odległym przodkiem, myśliwym, który ściągnął skórę z upolowanego zwierzęcia, aby uchronić się przed groźącym mu chłodem zimowej nocy.

Mniej więcej po godzinie niedźwiedź siedzący przed Fellingiem na śniegu poruszył się.

Głowa wysunęła się spod kołnierza kubraka i niedźwiedź zamienił się znów w człowieka.

Lasse drżał trochę z zimna, po ogniu pozostała już tylko garstka żaru. Wsunął nogi w wiązania nart i wraz z towarzyszącym mu Darfem zniknął z kręgu słabego blasku.

Wkrótce Felling usłyszał parokrotne szczekanie Darfa, a po pewnym czasie Lasse powrócił i powiedział, że reny zachowują się spokojnie. Potem wziął siekiere i poszedł narąbać drew.

Około trzeciej rozjaśniło się trochę, wzeszedł księżyc. Zaraz potem jednak zaczął padać śnieg i płatki wirowały w blasku ognia jak chmura białych motyli.

Lasse raz jeszcze zrobił obchód i zbadał stan stada. Kiedy później siadł znowu z dala od ognia i wtulił się w futro, był już po chwili biały od śniegu; po pewnym czasie przybrał wygląd

potężnego, ośnieżonego pnia drzewa, a Darf, śpiący koło niego, zamienił się w pokrytą śniegiem kępę trawy.

Ale wokół ogniska wszystko teraz odtajało, tak że widać było skałę, porośniętą tu i ówdzie mchem i wrzosem; tuż koło ognia rósł krzaczek brusznic i spalił się na węgiel.

Wtem, jak promień przesywający noc, rozległo się wycie, zimne jak krzyk puszczyka, pełne skargi jak skomlenie psa...

46

Na kopczyku śniegu, pod którym leży zasypany Darf., nagle pojawia się rysa. Pies zrywa się, rozgląda na wszystkie strony, nastawia uszy, pochyla się w przód i nasłuchuje, a sierść jeży mu się na grzbiecie. Lasse klnie i szuka nart, zasypanych śniegiem. Zapinając wiązadła, stoi pochylony, z twarzą zwróconą ku zachodowi, z ustami wysuniętymi naprzód, jak zawsze, kiedy nasłuchuje ze szczególną uwagą. Dzwonek łąni zadźwięczał gwałtownie, teraz jednak milczy, zapewne zwierzę przystało i również nasłuchuje w nocnej ciszy.

— Teraz Norweg musi iść z nami! — mówi Lasse i już wraz z Darfem znika w ciemności.

Felling podąża tuż za nimi. Zostawił śpiwór i resztę rzeczy. Ogień jest osamotniony; płomienie migocą i wydają syk...

Reny są niespokojne. Chwilami skupiają się i przesuwiają jak duże plamy cieni między drzewami. Mężczyźni zaczynają zapędzać zwierzęta i wreszcie całe stado stoi zebrane na małym torfowisku. Wygląda jak żywy, falujący dywan. Ale w tej zbitej masie zwierząt tli się nieustanny, dygocący niepokój...

Lasse biega dokoła, to tu, to tam; Darf pędzi unosząc dokoła siebie tuman śniegu, kiedy tylko któreś ze zwierząt próbuje się odłączyć. Teraz całe stado musi znajdować się razem. Teraz wilk jest blisko!

— Huchte! — woła Lasse na psa. — Tjeszaut!

Bagno jest otoczone lasem. Czy coś się tam rusza? Gdzie one są? — Ale teraz nie słyhać już wycia.

Po pewnym czasie Darf zaczyna warczeć i odwraca się ku zbocz. Lasse wskazuje ręką. — Tam! — mówi krótko. Mężczyźni nie przestają krążyć dokoła stada, kotłującego się na torfowisku. Kilka razy zwierzęta wzdrygają się, Darf znowu warczy, a Lasse wydaje głośny, ostry krzyk, aby odstraszyć intruzów. Mimo to wydaje się, że każdej chwili od strony lasu grozi coś strasznego...

Nagle w górnym końcu bagna grupka renów odrywa się od stada i momentalnie, jakby tama się przerwała, żywy potok zaczyna burzliwie płynąć, ale w górę, między brzo-

47

zami i pojedynczo rosnącymi sosnami. Reny, powodowane nieotylnym instynktem, kiedy zwierzą wilka, chcą się znaleźć wyżej.

Niepowstrzymanie płynie żywy potok z torfowiska, prze ku górze kipiąca masa wystraszonych zwierząt, a w nocnej ciszy rozlega się jak szum bystrej rzeki odgłos stuku niezliczonych kopyt, przedzierających się przez śnieg.

po niespełna minucie bagnisko jest opustoszałe, ale całkowicie #ryte, jak stratowane klepisko. Felling śpieszy za Lassem i jego stadem pod górę, czuje w sobie coś przypominającego łechtanie: one są tu gdzieś, tuż ofc>ok, za nim, a może z obu stron, trudno odgadnąć, gdzie, ale niedługo już to się okaże...

Biegając rozgląda się, jest podejrzliwy; dokoła panuje ciemność, nic wyraźnie nie widać. Czy tam na lewo nie przemknęło coś między pniami drzew? To nie mógł być ren.

I teA nieustanny, dziwny szum żyjących istot, stada renów pędzącego po śniegu w górę,

ujadanie biegnącego obok pSa; głuchy, niski odgłos, kiedy poroża renów uderzają o drzewa.

Felling wciąż oczekuje krwawej napaści, chociaż wie że one teraz się chyba na to nie odważą.

Felling biegnie, choć oddech z trudem wydostaje mu się z krtani; serce bije gwałtownie, Fellingowi wydaje się, że ktoś kostkami zgiętych palców stuka od wewnątrz w jego klatkę piersiową.

Terżiz ma już za sobą granicę lasu, ostatnie brzozy pozostały w tyle, a nad nim sterczy nagi szczyt góry; śnieg pada mniej gwałtownie, ale księżyc zniknął, ledwo można dojrzeć zarysy przeciwległej góry.

Ku Szczytowi płynie szerokie pasmo zwierzęcych grzbietów i wydłużony gąszcz poroży. Lapończyk biegnie za stadem, pies krok w krok za panem, ale wszystko się rozplywa jest niewyraźne; Fellingowi wydaje się, że przeżywa zimowa, noc z pierwotnych czasów ludzkości.

Po dotarciu do najwyższego wierzchołka góry stado się zatrzymuje; tutaj zwierzęta mogą się rozglądać, tu czują się pewniejsze. Lasse mówi, że trzeba spróbować utrzymać je w zwanym stadzie.

48

Wkrótce śnieg przestaje padać, ale i wtedy mrok panuje dookoła; mężczyźni nie mogą dojrzeć brzozowego lasu poniżej skalnej ściany.

Po pewnym czasie rozpętuje się nowa zamieć śnieżna, reny znowu drżą ze strachu, a Darf gniewnie warczy. Wilk podkradł się bliżej. Śnieg pada gęsto i nieprzerwanie, zwierzęta są coraz niespokojniejsze, nie można ich utrzymać w stadzie i Lasse mówi, że nie pozostaje im nic innego, jak pędzić je dokoła wierzchołka, za wszelką cenę utrzymać je tu, na górze. Nie jest to trudne zadanie, gdyż reny wcale nie są skłonne zejść niżej. I tak ludzie, godzina za godziną, krążą i krążą wokół szczytu, a chwilami bliskie niebezpieczeństwo daje im znać o sobie: przerażone reny zbijają się w gromadę, a Darf warczy gniewnie i sierść mu się jeży na karku. Ale drapieżniki nie odważają się teraz wyjść z ukrycia i napaść, wiedzą, że w pobliżu są ludzie.

Dochodzi ósma. Felling, wyczerpany, senny i głodny, wciąż jeszcze zagania stado i z utęsknieniem wyczekuje nadejścia dnia. Tak długo wpatrywał się w wirujące płatki śniegu i w ciemność, że oczy go rozboleły. I tak bardzo jest zmęczony, że napięcie w nim zmalało, nie oczekuje już ciągle, że coś się stanie. One się nie ośmielą. Będzie trwało wciąż to samo, nieustanne krążenie dokoła stada i dokoła szczytu góry.

Lasse natomiast wygląda tak, jakby po tej nocy był nadal świeży, zwinny i wytrwały jak zwierzęta, które ochrania; czerwony chwast na jego spiczastej czapce chwieje się radośnie.

Oto uwija się Lasse Persson, sześćdziesięcioletni człowiek, Lapończyk; i potrafi jeszcze zgonić na śmierć o dwadzieścia zim młodszego, stale osiadłego mężczyznę.

Nadchodzi dzień. Żółte i czerwone obszywki na kubraku Lassego nabierają żywszych barw; noc wycofuje się za góry, jakby powoli, ledwo dostrzegalnie zwiјаła się ciemna zasłona.

Ukazują się już niewidoczne przedtem kamienie, do czysta omiecione skały, zalesione wzgórza na wschodzie.

Nie ma już burych zwierząt, skradających się u stóp góry! Nawet odległe wycie nie obwieszcza ich ucieczki.

4 Wilki

49

A potem wstaje jasny dzień; nadszedł jak zwykle, chociaż tej nocy tak dużo się tu wydarzyło. Kiedy jednak Lasse i Felling zjeżdżają w dół przez sosnowy las, Lasse zatrzymuje się dobry kawałek poniżej stratowanego torfowiska, tego, na które o świcie zapędzili bydło. Wskazuje narciarskim kijem: oto ślady wilka. Głębokie i chropowate.

^nLlbertowi Uddenowi gorąco się zrobiło, kiedy jeszcze tego wieczoru usłyszał wiadomość pozostawioną mu przez Lassego Perssona.

Wilk... Ten, kto zastrzelił wilka, może czuć się bezpieczny w zimie. Dla każdego ubogiego mieszkańca lasu, wędrującego przez całą zimę na nartach, ze strzelbą na plecach, wilk jest

uśmiechem losu. Wilk to piękny sen, który śnią wszyscy, chociaż dla niewielu tylko się urzeczywistnia — no tak, Nils Harre! Ale też z niego niezwykły chwyt!

Tej zimy Albert miał złe widoki na zarobek. Na wiele mil dokoła nie prowadzono wycięcia, Albert nie mógł zresztą po prostu iść tam, gdzie ścięto drzewa, był przecież jedynym mężczyzną w gospodarstwie; a jego żona, Gertruda, musiałaby zostać sama z półtoraroczną córeczką, wkrótce zaś miało przyjść na świat ich drugie dziecko.

Albert dwukrotnie już przebywał po dwa tygodnie poza domem na wycięciu lasu; musiał się jednak przyznać, że za każdym razem odczuwał ulgę, kiedy wracając dochodził do granicy Udden i widział dym unoszący się z komina.

Sprzedawał już wprawdzie jednego rudego lisa, kilka pardw i głuszców, ale był to jedyny jego dochód tej zimy, poza niewielkim zarobkiem otrzymywanym za pracę w lesie.

Ale wilk... Wysoka premia za odstrzał od państwa, dobra cena za skórę, a oprócz tego specjalna duża premia, wypłacana wspólnie przez Lapończyków! Wilk to bryła złota na czterech nogach, biegająca po okolicy.

Chociaż więc Lasse Persson nie był pewny swego, rozumiało się samo przez się, że Albert musi spróbować. Jeżeli

4*

51

wilk zejdzie na dół do lasu, to jest pewna nikła nadzieja na powodzenie. A Albert umie już pocieszać się nadzieją; nic innego mu nie pozostało.

Kiedy jednak miał wyruszyć i Gertruda, odprowadzając go do drzwi, prosiła, żeby był ostrożny, z obórki doszedł niespokojny ryk. Gertruda poszła zobaczyć, co tam się dzieje, i powiedziała, że krowę trzeba zaprowadzić do byka.

Żegnaj polowanie na wilka! Zaprowadzenie krowy do byka było jedną z rzeczy, których nie można odkładać; ze względu na dziecko potrzebowali jej mleka wczesną jesienią; druga krowa była już bliska rodzenia, musieli więc tę pokryć możliwie wcześnie. Poza tym w tej chwili, przy niewielkim śniegu, można zaprowadzić krowę do Laite, gdzie mają byka; kto wie, czy następnym razem, kiedy krowa znajdzie się w tym stanie, śnieg nie będzie nie do przebycia.

Prędko zabrali się do przygotowań. Nakarmili małą Karin, a Albert zbudował dookoła jej łóżeczka coś w rodzaju czworokątnej ramy z desek, tak ściśle dopasowanej i tak wysokiej, że dziecko w żadnym razie nie mogłoby wydostać się z nią. Było to urządzenie wynalezione przez Alberta, stosowali je zawsze, kiedy musieli oboje na jakiś czas opuścić dom. Dzięki temu dziecko nie mogło wyjść z łóżeczka i zrobić sobie jakiejś krzywdy.

Następnie włożyli małą do worka z ciepłego materiału, mocno zawiązanego powijakiem pod ramionami. Nawet jeżeli mała Karin wysunęłaby się spod koców, nie mogłaby oswobodzić się z worka i przeziębć. Zresztą w tej izbie ciepło trzymało się długo, najwcześniej za sześć lub siedem godzin robi się tu naprawdę zimno. A jeżeli wszystko dobrze pójdzie, Albert będzie mógł już do tego czasu być z powrotem w domu.

Ale płacz i krzyk Karin prześladował rodziców aż do granicy lasu i Gertruda powiedziała, że to naprawdę nie w porządku zostawiać małe dziecko samo na takim odludziu.

Owszem, było w porządku, bo musiało tak być. Tak przedstawiała się niejedna sprawa.

Gertruda właściwie nie nadawała się w swoim stanie do takich wypraw, nie powinna była iść tak daleko na piechotę. Ale ponieważ krowę

52

oczywiście trzeba było zaprowadzić do byka, więc Gertruda musiała iść!

Oboje jechali na nartach, na przodzie Albert, ciągnący krowę na postronku, z tyłu Gertruda, która ją popędzała. Albert niósł na plecach worek z paszą, wziął także ze sobą strzelbę; może przypadkowo coś napotka, głuszcza, lisa, nigdy nie wiadomo.

Z początku mieli dobrą drogę dla nart, wszystko więc szło łatwiej; krowa była rażna i rozswawolona po długim zamknięciu w obórce, wierzgała tylnymi nogami i brykała, tak że Albert ledwo sobie z nią mógł poradzić. Ale kiedy weszli na sypki śnieg, krowie prędko minęła swawolność, chociaż tu, w dolinie, śnieg nie był jeszcze taki głęboki, tylko chwilami sięgał zwierzęciu do brzucha. Trzymali się, o ile to było możliwe, bagnisk, zamarzniętych teraz, tak że krowa nie zapadała się tak głęboko.

Dla ochrony przed zimnem Gertruda przywiązała na grzbiecie krowy starą, poprutą suknię; ponieważ jednak, kiedy krowa brnęła przez śnieg, okrycie zsuwało się na bok, trzeba je było wreszcie zdjąć i nieść pod pachą.

Oddalili się dopiero o dwa czy trzy kilometry od domu, kiedy krowa zaczęła przejawiać coraz mniejszy zapał do człapania w śniegu i Gertruda musiała jej od czasu do czasu przypominać kijem, że muszą iść dalej. Kiedy jednak uszli połowę drogi, zwierzę doszło do wniosku, że już dość tego i że w ogóle nie ma sensu pozwalać się nadal tak dręczyć i popędzać.

Zatrzymali się więc, dali krowie paszy z worka, a i sami pożywili się nieco.

Wyruszyli o świcie, ale zużyli już na drogę połowę światła dnia, więc musieli się pośpieszyć.

Po odpoczynku krowa okazała więcej chęci do marszu, zimno jej było, więc wołała być w ruchu. Wkrótce jednak zaczęła się opierać jak poprzednio, tak że nie było innej rady, jak mocno okładać ją kijem, chociaż Gertruda niemal sama odczuwała te razy — to straszne, że musi tak bić swoją dobrą, łagodną krowę! Ale żona nowego osadnika w lapońskich lasach musi czasem być twarda, inaczej nie mogłaby może być dobra dla

53

tych, dla których chciała być dobra. Tutaj nie można było sobie pozwolić na miękkie i skłonne do wzruszeń serce. Tkliwe uczucia za drogo kosztowały, przypominały delikatną ozdobną roślinę, której tu nie można było hodować.

Po godzinie musieli znów zrobić odpoczynek i dać krowie jeść.

Kiedy zmierzch zaczął zapadać — pozostało im tylko około dwóch kilometrów do Laite — nie mogli już w ogóle zmusić krowy do ruszenia się z miejsca. Albo zmęczyła się tak, że nie mogła iść dalej, albo zbuntowała się z czystej przekory.

A jednak nie wyglądała zbyt dobrze. Pod brzuchem wisały jej duże bryły lodu, bo śnieg zlepiał sierść, topniał i znowu zamarzał. Nogi nad kopytami krwawiły, tak że na śniegu pozostawały czerwone plamy, cienka zmarzlina pod świeżym śniegiem przecinała skórę zwierzęcia.

Krowa stanęła więc i po prostu sobie stała. Bezwolna, patrząca dużymi, bezmyślnymi oczami, którymi od czasu do czasu mrugała; wydawało się, że jej zdaniem nie może iść dalej — i na to nie było żadnej rady... Spadających na nią razów kija jakby już w ogóle nie czuła.

Gertruda sama czuła się nie najlepiej, nie nadawała się w tym stanie do zmuśnego przedzierania się na nartach przez lasy; łzy zbierały się w kąciakach jej oczu, ale nie pozwalała im spływać. Ale cóż, stali tu z krową w samym środku czarnego lasu, w zapadającej nocy. Co mieli począć, jak uratować krowę?

Albert namyślał się chwilę. Potem oświadczył, że nie ma innego wyjścia, musi sam pójść do Laite, przyprowadzić konia i ludzi, aby utorować drogę dla krowy.

— Poczekaj no! — wykrzyknął. Właśnie w tej chwili coś mu przyszło na myśl; na zachód od Laite ciągnęły się podmokłe łąki, na które zimą chodzili po paszę. Wprawdzie Albert nie był tam ostatnio, ale może tymczasem Peter Laite wyjeździł już drogę do łąk. Nie mogło to być daleko stąd. Albert pójdzie więc tam i zbada drogę. Gertruda ma tu na niego czekać.

Tak więc Albert wyruszył w drogę.

54

Gertruda, zostawszy sama, przysiadła na teraz już niemal pustym worku z paszą. Przed nią stała krowa po kolana w śniegu, bezwolna i zrezygnowana. Od czasu do czasu podnosiła którąś nogę, bo marzła.

Gertruda także zaczęła ziębnąć, odkąd siedziała bez ruchu. Najzimniej jej było w nogi, musiała wstać i poruszać palcami w butach; stała więc, chociaż tak dobrze jej było siedzieć spokojnie. Zapięła ciasniej stary sweter zrobiony na drutach i zauważyła, jaki jest podarty i wylatany; przypomniała sobie, jak to było cztery lata temu, kiedy go kupiła. Wtedy mieszkała wśród ludzi; co dzień słyszała głosy kobiet, a teraz, zwłaszcza w zimie, nie rozmawiała z nikim po-parę miesięcy. „Czy pójdziesz ze mną aż w dzikie rejony, gdzie spotyka się wilki?” — zapytał ją Albert. A ona zarzuciła mu rękę na szyję.

No tak, byli wtedy bardzo młodzi.

Ale Gertruda i teraz była młoda. I chyba odważna? Tak, dość odważna. Ale może małżeństwo jest próbą odwagi...

Wieczór zapadał, ciemność ogarniała Gertrudę, las był duży i gęsty, wydawało się jej, że coś potężnego podkrada się czyhając na jej życie. Albert poszedł. Wszystko dokoła niej było bezgranicznie martwe i ciche, nie widziała nawet gwiazdy dającej znak życia. Zrobiło się tak zimno, że Gertruda nie mogła już wytrzymać stojąc na miejscu; uwiązała krowę mocno do brzozy, nakryła zwierzę starą suknią i zaczęła chodzić tam i z powrotem po śniegu.

Ale wszystko, co jej tak trudno było wytrzymać, poszło w zapomnienie, kiedy nagle stanął przy niej Albert, który wysunął się z ciemności, tak że nie słyszała jego powrotu.

Owszem, znalazł wyjeżdżoną drogę aż do łąk na bagnach. Twardą, dobrą drogę. Jeżeli uda im się zaprowadzić krowę do łąk, to będą uratowani. Stamtąd zwierzę dojdzie do Laite o własnych siłach.

Ale do łąk będą musieli torować drogę, zdjęć narty i u-deptywać śnieg. Nie ma innej rady. Zresztą to nie bardzo daleko.

Udeptywali więc drogę kawałek po kawałku, przeprowadzali krowę i znów ją uwiązywali, sami udeptygując nowy

55

^^HШMШMАНШH

kawałek ścieżki w śniegu. Kiedy zwierzę nie chciało się ruszyć z miejsca, musieli je wabić garścią siana. A Gertruda, idąc naprzód, myślała o dziecku, które zostało samo w Ud-den i od tak dawna nie dostało nic do jedzenia — a kto wie, kiedy Albert będzie mógł znaleźć się z powrotem w domu?

Z uporem mrugała powiekami; dobrze, że jest ciemno i Albert nie widzi wyraźnie jej oczu.

Poza tym był przeważnie odwrócony do niej plecami, bo szedł na przodzie i udeptywał śnieg. Powiedział, żeby Gertruda już tego nie robiła; on sam da sobie radę, a w jej stanie nie powinna się zanadto męczyć.

Ale jakże by Gertruda mogła stać i przyglądać się, jak jej mąż haruje? I wytrzymała, chociaż nogi się już pod nią uginały. Kiedy doszli do mokradeł, musiała usiąść.

Po dłuższej chwili wprowadzili krowę na twardą drogę i zwierzę poszło chętnie naprzód; zapewne zrozumiało, że zbliżają się do ludzkiej siedziby!

Promień światła z domu w Laite wydał im się równie dobroczynny jak serdeczny uścisk dłoni.

Było to trochę większe gospodarstwo, ale z małym domkiem mieszkalnym; poniżej rozciągało się okrągłe jezioro.

W uchylonych drzwiach stanął mocno zbudowany mężczyzna; nie mogli dojrzeć jego twarzy, ponieważ lampa rzucała na niego światło z tyłu. Ale oboje poznali, że to Peter Laite.

— ■ Późno przychodzicie — powiedział. — Trudno wam było zapędzić krowę?

— • Ach, nie ■ — odpowiedział Albert z lekkim wahaniem. — Jakoś nam poszło.

Więcej na ten temat nie rozmawiali. W gruncie rzeczy było to tutaj rzeczywiście czymś codziennym.

JL ego samego wieczora namiot Lassego Perssona ustawiony był o wiele niżej, na południowy wschód od Laite, na skraju dużej polany, na której wichura powyrywała drzewa z korzeniami i którą teraz porastały tylko niewielkie krzaki.

Ale dziś wieczorem w namiocie została tylko Sigga; Las-se i Antę wraz z Norwegiem pilnują stada nieco wyżej. Kiedy niedawno Antę powrócił spiesznie do namiotu, powiedział, że reny zdradzają niepokój; mają niewiele mchu i trudno je utrzymać w stadzie.

Sigga siorbie kawę z drewnianego kubka, wyciętego z brzoźowego korzenia; siedzi skulona i ponuro wpatruje się w ogień, chociaż nie należy do ludzi rozmyślających zbyt wiele o życiu. Wygląda jak mała, zbiedzona mysz; palce ma kościste, paznokcie długie i czarne i cała jak gdyby zapadła się w swoją długą, szeroką spódnicę.

Po pewnym czasie wychodzi przed namiot i nasłuchuje w kierunku zboczy na zachodzie. Jest ciemno choć oko wykol; ponad lasami, po obu stronach doliny, majaczą nagie grzbiety górskie, jakby lekko lśniące, jaśniejsze i bardziej namacalne niż niebo.

Kilka razy dochodzi do niej od strony zbocza szczekanie psów.

I Sigga znów wraca do wnętrza. Nagle podnosi głowę i wpatruje się w szarą, połataną ścianę namiotu. To one!

Lekko i zwinnie jak pies wyslizguje się na dwór.

Słyszała to już niezliczone razy; przez połowę stulecia co noc dochodziło do niej to wycie, przecinające noc jak

57

obnażone, zimne ostrze noża, a jednak jest w tym głosie coś, co ścisza jej serce, ilekroć go słyszy.

Teraz już umilkł. Sigga dobrze wie, czyj to głos, nie umiałaby tylko określić, z której strony dochodził. Ale one już wiedzą, dokąd zmierzają.

A teraz nadchodzą. Tak, teraz nadchodzą!

I również tego wieczora Sigga słyszała gwizd ognia.

Wilczyca wzdryga się, za nią wzdryga się „myśliwy”. Wprawdzie nic nie dostrzegł, ale wilczyca nie kuli się nagle bez powodu.

Teraz i „myśliwy” coś słyszy i widzi: po prawej stronie jakiś duży kształt prześlizguje się między sosnami. „Myśliwy” słyszy szuranie kopyt po śniegu.

Ta mała grupka renów oddzieliła się od stada i zgubiła w lesie. Szybko zbliża się ukosem do wilków, niemal prostopadle przecinając ich wiatr; reny nie chwytają wiatru wilków, ani wilki wiatru renów. Oba wilki, wadera i „myśliwy”, drżą, ale leżą nadal bez ruchu.

Reny, ufne, nie podejrzewając nic złego, idą dalej. Nagle jednak ten, który znajduje się na przodzie, odrzuca głowę w tył, bacznie wpatruje się w dal — i cała grupka z miejsca zawraca. Pościg trwa krótko, wilczyca chwyciła już z tyłu pierwszego rena, dużego byka; wgrzyza się mocno w jego tylną nogę, tak że aż zaciska zęby w ciele ofiary i przecina grube ścięgno pod kolanem. Byk natychmiast pada, ale rzuca się jeszcze i posuwa o kawałek naprzód, zdobywając się na wysiłek w spazmie przerażenia; ranne zwierzę podrywa i ciągnie za sobą wilczycę, gwałtownie i bezwzględnie, ta jednak nie puszcza go. Wkrótce byk traci siły, wilczyca jest ciężka a on może poruszać tylko trzema nogami; odrzuca głowę w tył, znów widzi za sobą wroga, przenika go płomień przerażenia, z trudem zdobywa się jeszcze na parę kroków. Potem pozostaje już bez ruchu, z zadem na ziemi, podnosząc się jeszcze na przednich nogach.

Wtedy wilczyca puszcza nogę zwierzęcia, rzuca się na-

58

przód i z chciwym kłapinięciem zatapia zęby w jego grzbiet; długie kły wwiercają się aż do nerek. Ren obraca jeszcze głowę, coraz słabiej, wilczyca nie przestaje wgrzyzać się w niego; wreszcie przechylona głowa rena spoczywa na śniegu.

Wilczyca nie przegryza mu gardła, tak jak to czyni wiele napastników z jej gatunku. Raz, kiedy chciała to zrobić, uderzyło ją poroże rena, był to bolesny cios; odtąd nigdy tego nie próbuje.

„Myśliwy” goni tymczasem inną sztukę. Hej, to pościg w sam raz dla niego! Reny trzymają się jeszcze razem, biegną po dwa, trzy obok siebie, pędzą dzikimi skokami po śniegu, zarazem jednak torują drogę goniącemu je „myśliwemu”. Biegnące na przodzie, które najciężej pracują, są przeganiane przez inne, a te znów wyprzedzane przez następne reny — bo wszystkie chcą uciec, uciec jak najdalej od ścigającego je wroga!

„Myśliwemu” nie trzeba wiele czasu na schwycenie tylnej nogi ostatniego rena, jest to łania, która ciągnie go za sobą jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści metrów, zanim padnie martwa.

„Myśliwy” błyskawicznie zatapia kły w jej gardło, potem w bark, potem w grzbiet...

Ale ma on tu jeszcze co ścigać, przed nim jeszcze dużo sztuk, które można zagryźć, więc puszcza swą ofiarę i pędzi dalej, podczas gdy łania rzuca się jeszcze i bije racicami.

Kiedy wilk zatrzymał się zarzynając łanię, pozostała gromadka renów zyskała niewielką przewagę; teraz zwierzęta pędzą przez bagno i kiedy „myśliwy” do nich dobiega, ledwo może dostrzec uciekającą zdobycz na przeciwległym brzegu, w rzadkim sosnowym lesie. Dwu- a nawet trzymetrowymi susami sady za nimi, stara się przy tym stawiać łapy dokładnie na śladach odcisniętych w śniegu przez reny; w ten sposób może biec prężej i łatwiej i zbliża się wciąż do stadka. Jest teraz jeszcze bardziej wściekły niż przedtem, podniecony ciepłą krwią i ciepłym mięsem. Chude, ży- • laste ciało wilka przemyka przez bagno, przez gąszcz starych, przewróconych sosen i karłowatych brzoźek.

59

Dogania jednak reny dopiero po pewnym czasie, bo wyprzedziły go dość znacznie.

Stromy, porośnięty lasami szczyt góry opada długim zboczem, a u stóp jego młody byk pozostaje nieco w tyle za innymi renami, które zataczają łuk, widząc, że wilk je już dogania.

Ren chce przeciąć łuk, chce za wszelką cenę dołączyć do stadka, czuje, że może się uratować, tylko jeśli będzie się trzymał innych.

Ale kiedy dostaje się na miękki śnieg, zwalnia tempo i już j „myśliwy” rzuca się na grzbiet zwierzęcia, które pada na ziemię, i nawet nie próbuje się podnieść...

Tym razem „myśliwy” nie pozwala stadku oddalić się zbyt daleko, a reny natrafiają na gęsty las brzoźowy, schodzący ku małemu strumieniowi; tutaj będzie za ciasno dla ich rozłożystych poroży, za ciasno, by mogły biec długim łańcu- 1 chem, tracą czas, zaczynają się pojedynczo gubić, i tak „my- j śliwemu” udaje się odciąć dwie łanie od pozostałych zwie- ' rząt, które wyrwywają w bok i uciekają na rozległe torfowisko.

Dziki szal ogarnia napastnika: on sam, w pojedynkę, ści-ga całą gromadkę, przyprawia ją o śmiertelne przerażenie... Dwie sztuki już zarznął; chce jednak zakosztować jeszcze krwi innych, wielu innych... Żądza mordy i zapał myśliw- ' j ski przenikają go na wskroś.

Z podniesionymi głowami i odchylonymi w tył porożami I obie łanie szamocą się w miękki śniegu tam i z powrotem, zapadają się, padają, podrywają się do nowego skoku, jak i gdyby musiały brać przeszkody jedną po drugiej.

„Myśliwy” dogania jedną z nich pośrodku bagna, wyrwywa 1 jej kawał mięsa z uda, jeszcze zanim się przewróciła, z rany tryska strumień krwi na śnieg, zwierzę bije racicami.

Ale „myśliwy” rozdziera kłami jej brzuch i wyrwywa łapami wnętrzności, znajduje wątrobę, pożera część — wszystko to nie trwa długo. Tymczasem drugiej łani udaje się połączyć z pozostałymi renami, które znów się skupiły w stadko.

Na początku pościgu reny popędziły przed siebie na chybił trafił, nie miały czasu wybierać kierunku ucieczki, dla- ! tego oddaliły się od miejsca, w którym znajdowała się głów-

60

na część stada i pasterze. Teraz jednak gromadka skręca, stara się wrócić do stadka, połączyć się z nim, jest to odwieczny zwyczaj ściganych renów.

„Myśliwy” został dość daleko w tyle, ale nie tak daleko, aby nie słyszeć dyszenia uciekających zwierząt, ich głośniego, świszczącego oddechu, gorączkowej pracy płuc, które nie mogą dość szybko nabierać powietrza. Za każdym razem, kiedy ren w skoku zgina przednie nogi, z jego klatki piersiowej gwałtownie wydobywa się powietrze. — Hee, hee! — rozchodzi się odgłos w lesie. Renny z trudem oddychają, nie są jednak u kresu sił.

Ale do głównego stada mają jeszcze daleko, a wokół nich rozciąga się bezdroże. Gromadka z trzaskiem toruje sobie drogę przez płataninę suchych, powalonych huraganem drzew, gałęzie łamią się i rozszczepiają, ostry koniec jednej z nich wbija się w wewnętrzną stronę tylnego uda rena, skaczącego przez przewrócony pień. Odtąd za bykiem ciągnie się po śniegu ciemny pasek, jak urwany postronek; ale zwierzę nie czuje bólu, nie czuje, że krwawi; dla niego istnieje teraz tylko jedno: uciec, uciec przed tym, co go ściga.

„Myśliwy” stopniowo zaczyna odczuwać zmęczenie; i on dyszy, i on gwałtownie chwytą powietrze. Ale gromadki renów nie może tak prędko dogonić; wilk słyszy je, ale ich nie widzi. Łapy „myśliwego” czasem trafiają na trop renów, czasem odbijają się obok na miękkim śniegu i wtedy przypominają ślad zająca: dwie łapy obok siebie i dwie jedna za drugą, w większej odległości.

Z pagórka, do którego wilk dotarł, widzi znowu zwierzęta; zbiegają przed nim do wąskiej, otwartej doliny. Długimi susami sadzi „myśliwy” za nimi i kiedy reny po przeciwległej stronie doliny wspinają się znów na zbocze, jest już tak blisko, że śnieg rozpryskiwany ich kopytami bije mu w oczy.

Ale reny dopięły swego, mozolnie wspinają się na szczyt zbocza. A potem odbywa się zaciekły wyścig między nimi i wilkiem, wśród pni sosen i świerków.

Zwierzęta uciekają teraz prosto w kierunku głównego stada i odkąd natrafiły na stary trop z poprzedniego wie-

61

czora, łatwiej im biec naprzód. Wilk jest tuż za nimi, prawie je dogania, ale nie może ich jeszcze dopaść... Pościg na śmierć i życie, bez jednego krzyku, towarzyszy mu tylko szmer racic kruszących pokrywą śnieżną i gwałtowne dyszenie rozpalonych jak ogień krtani.

Teraz jednak stadko zbiega ze stromego zbocza ku korytu rzeki i tu ma przewagę „myśliwy”, bo reny, mając tylne nogi dłuższe niż przednie, nie mogą biec w dół tak szybko jak wilk.

„Myśliwy” sfruwa z góry jak szary upiór w ciemności. Ma już przed sobą tylne nogi ostatniego rena, nogi, które chce pochwycić — już są bliżej — wciąż się zbliżają... Renny spadają w dół jak lawina, „myśliwy” wyciąga paszczę, ale nic w nią nie chwytą, zęby głośno uderzają o siebie. Robi jeszcze parę rozpaczliwych, wyteżonych susów, próbuje po raz drugi i wreszcie dosięga zdobyczy, razem z bykiem stacza się w dół.

Ale teraz już się nie śpieszy, żre.

Bardziej na zachód wilczyca leżąc syci się bykiem, którego upolowała. Ma zwyczaj od razu po schwytaniu pierwszego zwierzęcia kłaść się i żreć do syta; nie należy do wilków-myśliwych.

Wnętrznosci rena wyjęła tak zręcznie, jak wprawny rzeźnik, rozsunęła zębami skórę na brzuchu, wyciągnęła kiszki i żołądek, położyła je na śniegu nie rozdzierając brzucha zwierzęcia, tak że ani odrobina wnętrznosci nie wypłynęła na śnieg. Dostała się zębami do wnętrza klatki piersiowej, aby wydobyć z niej serce i płuca; to dobre, smakowite kąski. A z grzbietu ściągnęła kawał skóry tak starannie, jakby się posługiwała nożem. Poza tym jednak powyrywała tu i tam po kawałku sierści i rozrzuciła jej strzępy dokoła.

Teraz podnosi głowę i nasłuchuje: to ujadanie wilka należącego do człowieka. Ale dochodzi z daleka ze wschodu. Więc wilczyca spokojnie żre dalej.

x)\.Ibert wrócił wieczorem do Udden. Karin spała. Pewno zmarzła, w izbie zrobiło się chłodno i mała była zaziębiona. Ale nie aż tak bardzo, żeby należało się o nią niepokoić.

Następnego dnia, jeszcze przed świtem, wróciła także Gertruda. Opowiedziała mężowi, że krowa była całkiem zeszywniała po wczorajszej drodze i dziś nie można by jej przyprowadzić. Ale w Laite powiedzieli, że może zostać u nich parę dni, mają dość siana.

Albert zapakował więc do plecaka trochę żywności i wyruszył w drogę. Tego dnia wczesnym rankiem zdarzyło mu się coś dziwnego. Najpierw wstał, ugotował kawę, nakarmił Karin, oporządził krowę i potem znów się położył. Leżał nie śpiąc, lampa była zapalona.

Wtedy, mimo że był zupełnie przytomny, izba zniknęła mu z oczu. Zobaczył coś innego: dwa wilki, sznurujące ze zbocza w dół przez brzozowy las, jeden za drugim. Widział, jak przemykają między pniami, widział to tak wyraźnie, jakby stał obok; było mrocznie, ale nie ciemno, widział z dala wierzchołek góry, wielką, stromą kopułę skalną, którą od razu poznał; wiedział, gdzie się ona znajduje: dobry kawał na południowy wschód od Laite, po zachodniej stronie doliny i łańcucha jezior. Tę stromą kopułę skalną widać było zawsze już z daleka... Ale właśnie wtedy, kiedy wilki zbliżyły się do skraju lasu i zamierzały wspiać się na górę, obraz znikł sprzed oczu Alberta. Teraz widział już tylko izbę, w której leżał. Lampa

63

IIIIIMMMIIQ^QIII

paliła się jak przedtem. Karin leżała w łóżku obok jego łóżka. Mimo to Albert wiedział, że w tej samej chwili oba wilki biegną tam, gdzie je zobaczył.

Bo coś podobnego jak dziś przeżywał już nie jeden raz, widział rzeczy, których naprawdę nie mógł widzieć; zapewne odziedziczył tę zdolność po matce. Jej zdarzało się to jeszcze częściej niż jemu, a takie miała zaufanie do swoich przywidzeń, że kiedyś poprosiła ojca, aby wziął żelazny łom i poszedł z nią do lasu. Powiedziała, że zobaczyła jedną ze swoich krów uwięzioną w szczelinie skalnej i wiedziała dokładnie, gdzie znajduje się ta szczelina. Ojciec poszedł z nią, a ona zaprowadziła go prosto do miejsca, w którym krowa rzeczywiście znalazła się w potrzasku.

A teraz Albert Udden biegł na nartach prosto do miejsca, w którym widział wilki.

Niewiele czasu zużył na przebycie tych trzydziestu kilometrów. Od Laite bowiem miał twardy ślad nart, wiodący właśnie tam, dokąd zmierzał.

Dzień był jedynie dłuższym tchnieniem światła między dwiema nocami i Albertowi zostało niewiele czasu na szukanie wilków, kiedy dotarł do stromej kopuły skalnej i odnalazł ich trop dokładnie tam, gdzie je widział leżąc w łóżku w Udden.

Widoczny był tylko jeden ciąg tropów, ale Albert wiedział, że szły tędy dwa wilki i drugi stawiał łapy dokładnie w ślady pierwszego. Biegły prosto ku nagiemu szczytowi, ale tam śnieg był tak twardy, że nie miało sensu szukać tropu; wprawdzie kilka razy odnalazł go, ale potem zrezygnował, kręcił się natomiast w pobliżu na wszelki wypadek i bacznie się rozglądał, dopóki było dość jasno na strzelanie. Zawsze mógł się zdarzyć przypadek, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa wilki teraz, za dnia, leżały gdzieś na górze.

Kiedy wieczór zapadł, Albert nic nie osiągnąwszy zjechał znów do lasu nad brzegami jezior. Przypuszczał zresztą, że były to wilki ciągnące za stadem renów Lassego, a w takim razie poszły dziś wieczorem za

64

nimi, widział bowiem szeroką ścieżkę, wydeptaną przez reny. Lasse poszedł dziś dalej na wschód, wieczorem doszedł zapewne do celu, a w takim razie nie byłoby wcale głupio, gdyby Albert poświęcił parę dni na przeszukiwanie lasu w okolicy, gdzie stado się zatrzymało. Mogło się zdarzyć, że i inne drapieżniki tu się kręciły, te właśnie, które Albert chciał spotkać. W tym celu musiał zejść w dolinę i trzymać się drogi renów prowadzącej na wschód. Do wieczora zdąży dojechać do namiotu Lassego.

Z miejsca, na którym stał, mógł przez szeroką dolinę patrzeć daleko na wschód, mimo że teraz, w ostatnim mierzch-nącym blasku światła, wszystko się już rozplątało; widział tylko lesiste zbocza, ciągnące się do końca doliny i w niektórych miejscach stykające się z dużymi, białymi plamami — były to jeziora.

Na drogę renów natrafił znowu na rozległym bagnisku, które droga przecinała wzdłuż; odnalazł ją mniej więcej w środku bagna i szedł nią aż do brzegu lasu.

Znalazłszy się w lesie, zatrzymał się, aby nabić fajkę. Ale kiedy chciał ją zapalić, nie mógł znaleźć zapalek w kieszeniach; obmacał je z zewnątrz, nie dosłyszał jednak dobrze mu znanego suchego szelestu drewnienek w pudełku. Sięgnął do wnętrza kieszeni, ale na próżno. A więc zgubił pudełko. Całe szczęście, że wyruszając na takie wyprawy miał zwyczaj wrzucać dwa zapasowe pudełka zapalek do plecaka. Wetknął więc kolbę strzelby w śnieg, zdjął plecak i wyjął z niego pudełko zapalek. Potem znów zarzucił worek na plecy i właśnie zajął się swoją fajką, kiedy wydało mu się, że w zapadającej ciemności dostrzega daleko na bagnisku coś żywego. A może nie?

Ale coś tam z tyłu poruszało się, na pewno, zamieniło się w dwie plamy, dwa kłębki jakby uwite z gęstniejącej ciemności...

Już w następnej chwili zrobiło się z nich dwoje zwierząt; wyraźnie sadziły naprzód drogą renów. „Reny?” — zapytywał siebie Albert. W ciemności niełatwo to było stwierdzić. Ale teraz Albert stał nie poruszając nawet ręką.

5 Wilki

65

Zwierzęta biegły prosto na niego drogą renów, a ciemność jak gdyby rzedła wokół nich, im bliżej się znajdowały... Albertowi przemknęło przez głowę: „Od razu to sobie pomyślałem!” I nagle zapal przeniknął go ogniem, napełnił pierś, niemal ją rozrywał, mimo że Albert stał bez ruchu.

O parę metrów przed nim znajdowało się małe świerkowe zarosłe, wysokości dwukrotnego wzrostu człowieka; było ono dla Alberta jedyną osłoną przed tymi, co się zbliżały przez bagnisko; gdyby przesunął się choćby odrobinę w prawo lub w lewo, byłby w całości odsłonięty. Teraz widział oba wilki tuż za zwisającymi gałęziami świerków.

Biegły nadal drogą renów, miały przed sobą określony cel i były pewne kierunku, w jakim podążały; sznurowały równomiernie, długonogie, spokojne, ale i szybkie. Teraz zbliżyły się tak bardzo, że Albert widział, jak pierwszy z nich trzyma pysk opuszczony tuż nad śniegiem. Wieleśet koron, rodzina w Udden zaopatrzona na zimę... Gdybyż je był spotkał o godzinę wcześniej! Ale teraz trudno już odróżnić muszkę od szczerbiny. Zresztą gdyby Albert przesunął się w bok o tyle, aby móc sięgnąć po wbitą w śnieg strzelbę, zwierzęta dostrzegłyby go natychmiast. Pozostało mu tylko jedno: stać bez ruchu, aż znajdą się zupełnie blisko, i wtedy spróbować szczęścia. Ale jak zachowają się wilki, kiedy natrafią na ślad jego nart, łączący się na brzegu bagniska z tropem renów?

Wieleśet koron...

Teraz musi tylko stać bez ruchu; może podejść tak blisko, że będzie mógł strzelać na oślep. Sięgnie po strzelbę i zacznie strzelać, wszystko pójdzie tak prędko, że nie będą miały czasu zawrócić, zanim padną strzały.

Ale co się stanie, jeśli natrafią na jego ślad? Teraz są już niedaleko... Albert zeszywniał z hamowanego napięcia.

Dwa wilki. Na pewno te same, które widział biegnące zboczem, kiedy leżał w Udden na łóżku. Teraz goniły stado renów.

Nagle jeden zatrzymał się! Dobiegł do świeżego śladu Alberta; szybko obwąchał śnieg, przebiegł parę kroków, podniósł głowę, rozejrzał się niepewnie dokoła. „Teraz!” —

66

pomyślał Albert, skoczył w bok i chwycił strzelbę.

W tej samej chwili, kiedy ją podnosił, wilki rzuciły się do ucieczki w kierunku, z którego przyszły. Albert celuje po lufie, wydaje mu się, że jednego ma na linii strzału, ale po oddaniu go, oślepiony błyskiem ognia, nie widzi przed sobą nic. Kiedy wzrok przyzwyczajają się znów do ciemności, domyśla się, że wilki, oddalając się od siebie, sadzą w skos przez bagnisko, ku lasowi, jednak oba na południe, w gęste zarośla.

Dopiero na górze, na nagim szczycie, „myśliwy” spotyka się znowu z wilczycą.

Teraz jednak wilczyca nie biegnie już w kierunku, w którym podążało stado renów, zawraca natychmiast ku wysokim górom, skąd przyszła tu wraz z „myśliwym”.

Tam bowiem, w górach, szuka zawsze kryjówki, kiedy człowiek ją wytropił. Tam nie ma drzew osłaniających istoty, które na nią czatują. W wysokich górach czeka ją schronienie, a w lasach czyha niebezpieczeństwo.

Tej zimy nie słyszano już, żeby wilk nadciągnął z gór i napadał reny. O, nie, łotr był ostrożny, dobrze wiedział, że miękki śnieg tam w dole jest niebezpieczny. Poza tym coraz to jakiś ren zabłąkał się w górach, tak że wilk i tam nie głodował.

A kiedy śnieg stopniał i strumienie przybrały, Lapończycy znów wyruszyli w góry. Latem reny nie były tak bardzo zagrożone, chociaż wiadano, że wilków jest cholernie dużo. Ale latem miały one dosyć żeru i łatwo im go było zdobywać: jaja i młode ptaki, zające, myszy i lemingi. W tym okresie wilki zwykle zostawiały reny w spokoju.

Ale już pod koniec lata w Harre, Laite i Savonie źle się zaczęło dziać.

Dolina, w której leżały te gospodarstwa, miała piętnaście mil długości, ciągnęła się od gór granicznych ku wschodowi, aż do drugiej doliny, biegnącej z północy na południe; przez tę dolinę płynęła szeroka rzeka, która później skręcała ku Zatoce Botnickiej i oddawała jej wreszcie swe wody.

Szeroką doliną, zaczynającą się u stóp gór granicznych, nie płynęły tak bystre rzeki; tam były one spokojne, często uchodziły do większych i mniejszych jezior, przepływając krótkie dzielące je odległości.

Właśnie nad tymi jeziorami mieszkali osadnicy. Laite leżało nieco na uboczu, ale Harre i Savona znajdowały się na samym brzegu jeziora. Poszczególne gospodarstwa oddalone były od siebie o kilka mil, osadnicy postarali się o większą przestrzeń do życia; ale Harre było już dość zaludnione, dymiło się tam aż z czterech kominów.

68

Baz na rok doktor przyjeżdżał aż do Harre, wtedy przychodzili do niego po radę ludzie z chorobami nie tak prędko zagrażającymi ich życiu; jeśli jednak zdarzał się nagły wypadek jakiejś niebezpiecznej choroby, trzeba było pozostawić sprawę Bogu, bo od kwietnia przez następne miesiące, kiedy górna warstwa lodu na jeziorach topniała i nie można było przez nie ani przejechać, ani przejść, żaden doktor nie mógł wyciągnąć do chorego pomocnej dłoni. Mimo to czasem ludzie zostawali przy życiu; ale czasem umierali.

Osadnicy w Savonie, Harre i Laite mieli sporo owiec, w Savonie było ich aż dziewiętnaście. Na wprost Savony leżały na jeziorze dwie wyspy i na większą z nich przewieziono owce łodziami; nie potrzebowały tam opieki, a poza tym właściciela nie niepokoiły ślady niedźwiedzia, które pewnego dnia odkryto na piasku nad jeziorem. W okolicy było dużo niedźwiedzi, ale nie wyrządzały szkód, tylko ubiegłej jesieni był wśród nich jeden, do którego nie można było mieć zaufania.

Nastąpiła właśnie pora żniw i w Savonie wszyscy ludzie wylegli na bagnisko, o bez mała godzinę drogi łodzią od gospodarstwa.

Kiedy wrócili pod wieczór, żona osadnika popłynęła na wyspę, żeby zawieźć owcom soli.

Wróciła ogromnie wzburzona. A mąż wziął młot i strzelbę, wskoczył do łodzi i popłynął na wyspę, wiosłując tak pośpiesznie, że woda pieniała się dokoła.

Na wyspie leżały martwe, półmartwe i okrutnie pogryzione owce. Część z nich miała przegryzione gardła, inne nogi, niektórym zwisały z grzbietów kawały mięsa, jeszcze inne miały pogryzione uda, ale żyły. Przodownica stada próbowała uratować się przepływając na mniejszą z wysp, ale rabusie popłynęły za nią i tam ją zarżnęły. Ani jedna owca ze stada nie ocalała. Mężczyzna chodził z młotem i każdej, która jeszcze żyła, wymierzał cios w głowę. Tego samego dnia wilki zagryzły wszystkie jedenaście owiec w Laite. I te właściciel przewiózł przedtem na wyspę.

69

A nazajutrz rano Nils Harre, ten który upolował wilka, j znalazł w lesie swoje dziesięć sztuk owiec; prawie wszystkie martwe. Wydawało się, że niektórym z nich wilki prze-gryzały gardła w biegu, bo po prostu trysnęło z nich łajno. I Jedna owca wpełzła w rozpadlinę skalną i w śmiertelnym strachu wcisnęła się tak głęboko, że tnie mogła się z powrotem wydostać; cała ubrudzona ziemią tkwiła tam, alej zęby drapieżników jej nie dosięgły i uratowała życie. Drugą gą znalazł Nils dopiero w tydzień później; wilk wyrwał jej i worek mosznowy i rana zropiała.

Ale Nils Harre, łowca wilków, powiedział: — Poczekajcie J tylko do zimy!

Zima była surowa. Śnieg nie przestawał padać z szarego nieba, zasypywał wciąż na nowo wszystkie drogi, a jeśli już niebo przez parę dni lśniło błękitem, to nad jeziorami przelatywał kąśliwy, ostry wiatr. Kiedy człowiek stał szron z termometru, okazywało się, że słupek rtęci spadł do czterdziestu stopni poniżej zera. W oborach płonęły na otwartych paleniskach potężne polana, ale mimo to ledwo można było utrzymać ciepło potrzebne zwierzętom.

Jeszcze po Bożym Narodzeniu w górach nad Harre pasło się na swobodzie trochę renów, ale zaraz po świętach przy-szły wilki, nocą polowały na dole w lasach, a za dnia wracały w góry. W ciągu dwóch tygodni zagryzły przeszło trzydzieści renów.

I to, mimo że sześciu ludzi Harrego, sami myśliwi, nieustannie tropili rabusiów! W ciągu tych dwóch tygodni ani; jeden z nich nie zobaczył choćby końca wiechy rozbójnika. A potem wilki pociągnęły w inną okolicę.

Około trzech mil na północ od Harre, wśród dzikich gór, w zalesionej kotlinie z dużym jeziorem, leżały dwa maleńkie gospodarstwa; ulokowały się tak wysoko ponad lasem, że ich drewniane płoty były otoczone nagimi skałami. Kiedy karczowano teren pod gospodarstwa, dokoła rosły jeszcze zapewne gęste drzewa, ale z biegiem czasu zużywano tyle drewna na płoty, zabudowania i opał, że las w pobliżu go-

70

spodarstw mocno się przeredził; nie mógł więc oprzeć się surowym wichrom i mrozom, zaczął słabnąć i w końcu zupełnie zmarniał.

Z daleka dwa gospodarstwa wyglądały jak pastwiska z szałasami, domy nie były od nich większe — z wyjątkiem jednej, na czerwono pomalowanej chaty, stojącej trochę na uboczu.

Ale okna jej były niemal przez cały rok ślepe, zamknięte dużymi drewnianymi okiennicami. Gospodarstwa nosiły nazwę Kalme — prawie wszystkie w tej okolicy miały lapońskie nazwy — a ich najbliższymi sąsiadami byli mieszkańcy Harre.

W jednym z gospodarstw mieszkało starsze małżeństwo z dorosłą córką, w drugim tylko dwaj niezonaci mężczyźni w podeszłym wieku. Jeden z nich oporządzał bydło, ubijał masło, wyrabiał ser, gotował strawę; drugi pomagał przy żniwach, a w zimie dbał o zapas opału; poza tym jednak zajmował się zupełnie czym innym.

W niskim domku były tylko dwie izby i dość duża kuchnia, zawsze porządnie zamieciona i czysta, a poza tym jeszcze komora. I ta komora właśnie mogła doprawdy zadziwić, jeśli weźmiemy pod uwagę, jak głęboko w dzikiej głuszy żyli ci ludzie — trzynaście mil od najbliższej stacji kolejowej, bez drogi jezdnej.

W komorze tej bowiem całą jedną ścianę zapełniały książki i pisma, przeważnie literatura fachowa, znaczna jej część w językach angielskim i niemieckim; były to głównie dzieła o zoologii i botanice, ale i z innych dziedzin wiedzy, także sporo powieści i tomów poezji. Przy pozostałych ścianach stały szerokie półki, a na nich wypchane ptaki i rozmaite inne zwierzęta, od najmniejszych ptaszków do głuszców, od rzadkich, maleńkich myszy do zajęcy i lisów. Królewski orzeł zwisał u sufitu w majestatycznym locie.

Były tam również naczynia z wężami w spirytusie, oprawione w ramki kolekcje owadów pod szkłem, duże zielniki... A wśród tego wszystkiego poruszał się właściciel i twórca zbiorów, niski człowiek, wyglądający nieco po bła-zeńsku, z obwisłymi ramionami, w połatanej odzieży i la-

71

>—

IIIIIIIIII

pońskich butach, ale z dużymi, bujnymi wąsami, zupełnie .nie pasującymi do całej postaci. Człowiekiem tym był Peter Kalme. Nazwisko to nierzadko pojawiało się pod artykułami w krajowych czasopismach naukowych, zajmujących się zwierzętami, ptakami i roślinami. A znany profesor, którego fotografia wisiała nad oknem, właściciel stojącej na uboczu chaty, był bliskim przyjacielem Petera. Pomagał on w sprzedaży tego, co Peter zdobywał i niezwykle zręcznie preparował. Peter Kalme nie skończył nawet szkoły średniej, mimo to czytywał rozprawy naukowe w językach niemieckim i angielskim.

Pewnego ranka, parę tygodni po zniknięciu wilka w lasach ponad Harre, Peter Kalme wyruszył w góry; zamierzał pozostać tam tydzień, może i dłużej, sam jeszcze nie wiedział, ile czasu.

Zapas żywności i śpiwór ze skóry renifera przywiązał na górskich saniach, długości trzech do czterech metrów, o płozach szerokości nart, poza tym jednak bardzo lekkich. Ciągnął je ze sobą na mocnej linie z rzemieniem założonym przez pierś i bark, żeby nie wrzynała się w ramię, kiedy będzie musiał mocniej ciągnąć.

Była ładna pogoda, jaka zdarza się w wysokich górach; na liczne szczyty padało łagodne światło wschodzącego słońca, powietrze było złociste i spokojne.

Około trzeciej po południu Peter Kalme doszedł do la-pońskiego igloo, które już od jesieni stało puste. Chciał tu zostać parę dni. Suche drewno na ognisko zgromadził tu już wcześniej, zanim spadł śnieg.

Zamierzał po ukończeniu pracy w tej okolicy wyruszyć do innego igloo, położonego jeszcze dalej, w głąb gór. Chodziło mu zwłaszcza o lisy; ale poza tym polował na wszystko, co popadło, jeżeli tylko mogło mu to przynieść zysk.

W nocy pogoda się zepsuła, a kiedy Peter wyszedł z rana przed igloo, wiatr omal go nie przewrócił.

Dwa dni musiał tu przesiedzieć, czekając aż wichur ucichnie. Kiedy jednak trzeciego ranka wyszedł na dwór, góry uśmiechnęły się do niego, jakby wyładowały całą wściekłość,

72

jaka się w nich nagromadziła, i chciały mu teraz wynagrodzić swój wybuch.

Cały dzień Peter Kalme chodził od jednego do drugiego łańcucha wzgórz, patrzył przez lornetę polową, dzięki jej soczewkom zbliżał ku sobie otaczające go góry. Szukał młodego, puszystego kopczyka, ciemniejszej plamy na śniegu, rudego lisa, który spał zwinięty w kłębek.

Pq pewnym czasie pojawił się duży ptak osobliwie nierównym lotem, co chwila zawracając raptownie i niespodziewanie, wznosząc się, to znów opadając i znów rzucając się w bok.

Zbliżył się, leciał bardzo szybko; jakie też miał zamiary?

Kiedy się jeszcze bardziej zbliżył, Peter zobaczył coś więcej: tuż przed ptakiem tańczył jak gdyby strzęp białego puchu, jak duży płatek śniegu, tak to przynajmniej wyglądało. Kiedy ten

biały puszek unosił się na tle białych gór, Peter nie mógł go niemal odróżnić od otaczającej go bieli, z którą się zlewał, ale na tle błękitnego nieba widział go wyraźnie.

Była to mała pardwa mszarna, napadnięta przez sokoła. Pościg na śmierć i życie między niebem a ziemią! I Peter wiedział, że pardwa nie ma prawie szans ucieczki, gdyż góry pokrywał śnieg i ptaszekowi niełatwo było skryć się w jakichś zaroślach lub w kamienistym żlebie.

Walczył jednak do ostatka. Kiedy już, już groziło mu schwytanie, robił błyskawiczny zwrot i ratował się w ostatniej, najostatniejszej chwili. Ale drapieżny ptak wytrwale podążał za nim, jego ostre skrzydła przecinały powietrze mocnymi, szybkimi ruchami, nad małą, białą pardwą zawisł nieubłagany wyrok losu. W scenie tej było coś niezwykle brutalnego: wielki, chciwy, mocny, drapieżny ptak i mała, śnieżnobiała, niewinna, skazana na śmierć pardwa.

Na parę sekund oba ptaki zniknęły Peterowi z oczu, zakrył je szczyt po prawej stronie.

Ale mogło się zdarzyć, że właśnie za tym szczytem rozegra się zakończenie walki, a Peter koniecznie chciał się dowiedzieć o jego szczegółach. Nie co dzień zdarza się upolo-

73

wać myśliwskiego sokoła i może jemu przypadnie to szczęście — jeśli rabuś usiadzie, aby pożreć jeszcze ciepły łup, to może nie będzie zbyt płochliwy i Peterowi uda się z zachowaniem wielkiej ostrożności podejść do niego na odległość strzału. Tak więc Peter postanowił obejść szczyt dookoła.

Doszedł do wąskiej doliny, której drugi koniec zamykała olbrzymia zaspą. Jedno zbocze doliny tworzyła granatowa i woczarna ściana skalna, drugie ów szczyt, który Peter właśnie obszedł i który z tej strony opadał niemal pionowo.

Kiedy Peter zagłębił się w dolinę i doszedł do miejsca, gdzie skręcała, zerwały się przed nim nagle dwa kruki. — Krrr-rr-rr-rr! — wrzasnęły ostrzegawczo i uniosły się ciężko w powietrze, tworząc intensywną czarną plamę na tle ośnieżonych gór. Wtedy Peter zaczął się uważnie rozglądać; zdarzało się bowiem, że kruki towarzyszyły stworzeniom, które bardzo chciałyby spotkać...

I oto zobaczył pośrodku doliny wilki! Stały nasłuchując. Kruki je ostrzegły.

Ten widok przeszył Petera jak płomień. Wilki natychmiast uciekły w głąb doliny; Peter strzelił, wilki sadziły dalej, dobiegły do olbrzymiej zasy z nawisami śniegu, kręciły się przed nią niespokojnie. Na skalną ścianę z jednej strony nie mogły się wspinać, próbowały okrążyć ją z drugiej strony, przez niemal pionowo ucięty bok szczytu; ale i tam, gdzie usiłowały wskoczyć, trafiały na gładki lód; nie znalazły punktu zaczepienia dla łap. Obsunęły się, znów wzięły rozpęd i znów się ześliznęły... Przez ten czas Peter zdążył wsunąć do lufy nowy nabój; miał strzelbę śrutowo-kulową. Tym razem celował dłużej niż poprzednio, wziął na muszkę wilka, który gotował się do skoku. Po wystrzale zwierzęta rozbiegły się w jego kierunku, ale na krótko, znów spróbowały wspinać się na zbocze i teraz udało im się, właśnie w tym miejscu nie było lodu. Wyteżając wszystkie siły sadziły z boczem w górę — Peter Kalme oddał za nimi jeszcze jeden strzał na chybił trafił — wilki znikły mu z oczu.

74

Znalazł potem na ziemi trochę wilczej farby. Widocznie niezupełnie chybił.

Było ich pięć, a jednym z nich był „myśliwy”; oprócz niego trzy młode wilki i ich matka.

Ale jeden z młodych wkrótce został w tyle, nie doganiał pozostałych; robił to z rozmysłem, nie czuł się już pewny wśród swych towarzyszy. Broczył bowiem farbą, a wiedział, co się dzieje z wilkami, kiedy poczują krew; instynkt kazał mu trzymać się od nich z daleka.

Wilki sadziły szeroko otwartą paszczą, dolna szczeka zwisała mu niemal pionowo, mięśnie odmawiały posłuszeństwa; kiedy próbował zewrzeć szczękę, coś trzeszczało i odczuwał potworny ból, a przy każdym skoku dolna szczeka poruszała się sama w obie strony i wilk skręcał się z bólu.

Broczył też silnie i stopniowo tracił siły. Stan jego nie ulegał poprawie, nawet kiedy po pewnym czasie farba przestała kapać na śnieg przy każdym kroku.

Pod wieczór znalazł sobie legowisko przy małym kamieniu, na którym położył głowę z przestreloną dolną szczęką; dzięki temu udało mu się zamknąć pysk i ból się zmniejszył. Wilk leżał tak aż-do późnej nocy. Kiedy wreszcie podniósł się i ruszył w drogę, nie sadził już, włókł się noga za nogą.

Ranny wilk nie liczył dni i nocy.

Czuł tylko, że dużo czasu minęło, odkąd zaczął się ból, odkąd nie mógł zjeść, a w końcu nie mógł też iść dalej. Teraz leży przeważnie tak, aby móc oprzeć pysk na trawiastym kopczyku lub na kamieniu, które podtrzymują jego dolną szczękę; to łagodzi ból. Czasem podnosi się i idzie przed siebie bez określonego celu.

Któregoś dnia wilk usłyszał krzyk ptaka „korr”, którego dobrze znał; ptak ten często krążył w pobliżu i porywał resztki, kiedy on i jego towarzysze nażarli się już do syta. Teraz wilk słyszy głos ptaka „korr”, dochodzący z gór,

75

gdzieś z bliska, a „korr” woła przeważnie tam, gdzie wietrzy żer.

Młody wilk nie czuje już głodu, jest tylko wycieńczony i słaby i wie, że pokarm dodaje sił; ta pewność popycha go w kierunku, skąd dochodzi krakanie, gdzie być może znajdzie żer. Krok po kroku wlecze się w tym kierunku, ciało zmusza go do tego, choć doświadczenie mówi mu, że przecież nie będzie mógł zjeść.

Nagle dostrzega ptaki; ulatują z wąskiego siodła górskiego, czarne jak jeziora w czarnej noc.

— Korr-rr-rr! — Czujne, głuche okrzyki. Jeden z kruków przysiada na skalnym występie i teraz wydaje dźwięk, jakim czasem nawołuje tokujący cietrzew: — Ka-a!

Wilk powoli wlecze się do padła rena. To byk. Niewiele już z niego zostało, inne wilki nażarty się do syta, zanim go porzuciły. Wydarte wnętrzności i żołądek leżą zamrożone na kość w śniegu, wilcze kły nie naruszyły ich. Ale pierś jest rozdarta, serce i płuca wyciągnięte i pożarte. Nie pozostało także śladu z mięsa na udach, barkach i grzbiecie; z boków rena aż do szyi wilki ściągnęły skórę w jednym dużym płacie. Głowa jest nie naruszona, tylko oczu nie ma; kruki je wydziobały.

Ranny wilk kładzie się obok rena. Próbuje górnymi zębami wydrzeć strzęp mięsa; kiedy zobaczył i poczuł woń mięsa, obudził się w nim znowu głód. Udaje mu się oderwać kęs, ale nie może go pogryźć ani połknąć bez przeżucia; język ma również uszkodzony, spuchnięty wewnątrz gardzieli.

Próbuje polizać śnieg.

Wilk nie odchodzi od padła. Nie może już zjeść, ale wkrótce nie może też iść, więc wszystko jedno, gdzie będzie leżał. I opiera na głowie rena obolałą szczękę.

Nadchodzi noc ze swoim widowiskiem zorzy polarnej ponad górami.

Najpierw pojawia się na północnym nieboskłonie kilka lśniących plam, wyglądają jak żółtawe chmury; ale coś

76

w nich żyje, coś ledwo widocznego. Nagle ponad jedną z tych chmur zaczyna drgać przedziwo promieni, szybko rozprzestrzenia się ku zachodowi i teraz wszystkie owe żółte plamy rozciągają się coraz bardziej, wreszcie łączą się i zamieniają w jeden olbrzymi strumień światła, obejmujący całą północną oścień nieba. Potem nagle strumień zatrzymuje czarna jak węgiel ściana, która nasuwa się na niego, i rzeka przestaje być rzeką, rozdziela się na liczne strumyczki światła, łączące się przez niebo — później przestają być strumyczkami, zamieniając się w pojedyncze świetlne punkty, jarzące się tu i ówdzie jak chrust żarzący się w nocy — wreszcie i one znikają i nadciąga jak gdyby proporczyk, unoszący się sponad północnego horyzontu ponad połowę nieba, poruszający się bardzo powoli...

Wkrótce potem wszystko mija, tylko na wschodzie płonie jeszcze słaby żółty płomień. Później i on gaśnie. Pojawiają się znów gwiazdy, świecą spokojnie z góry. Wilk leżał i patrzył na zorzę polarną, która w niejedną noc rzucała miękkie lśnienie na śnieg, tam gdzie ranne zwierzę polowało kiedyś wraz z innymi wilkami. Ale dzisiejszej nocy nie zauważa on nawet, że to ta sama zorza polarna, ledwie dostrzega lśnienie śniegu. Leży bez ruchu i nie ma już nic wspólnego z tym, co się dzieje wokół niego! Jeszcze wiele dni i nocy żywe ciało wilka spoczywa obok martwego rena. Pewnego dnia jednak kruki powracają znów nad górskie siodło; jak ponura chmura burzowa opadają na dwa zamarznęte padła.

Oto leżą spokojnie obok siebie wilk i ren, wilk z pyskiem opartym na głowie rena. Śmierć przynosi pojednanie.

Kruki zaczynają dziobać. Nad górami unosi się niski, ponury krzyk: — Korr-rr-rr-! Korr-rr-rr! m ożna by niemal uwierzyć, że znamię, z jakim urodził się Nils Harre, ma szczególne znaczenie: u samego dołu pleców widać wyraźną sylwetkę wilka w skoku. A pochodzi to stąd, że matka Nilsa, w czasie kiedy oczekiwała jego przyjścia na świat, spłoszyła raz wilka śpiącego w kamienistym żlebie.

Nils Harre stał się takim zawziętym łowcą wilków, o jakim od dawna nie słyszano, a przy tym najwytrwalszym narciarzem na tych rozległych obszarach kraju.

Ale u siebie w domu bynajmniej nie był bohaterem.

Dom Harrego stał na małym przylądku, języku, który piasek wyciągał ku jezioru, zwanym Harrejaur. Był to dość duży dom, z trzema izbami na dole i małą mansardą.

Nils nie był ubogi, miał las i sprzedawał z niego drzewa. I chociaż trzeba je było przeprowadzać tratwami dziesięć mil, zanim trafiały do spławnej rzeki i wraz z innymi pniami płynęły dalej, po sprzedaży zostawało Harremu jeszcze sporo pieniędzy.

Ale o tym, co miało się dzieć z tymi pieniędzmi, zdecydowała żona. Ona także uparła się, żeby zbudować dom na przylądku; stary dom stał w lesie, który go osłaniał.

Teraz, kiedy pogoda się psuła, stawała się dokuczliwa, a wicher zaczynał dąć od północnego brzegu jeziora, niebezpiecznie było wychodzić poza drzwi nowego domu. A narty lub wiadro, pozostawione na zewnątrz pod ścianą, same ruszały w drogę.

Pierwszego męża przepędziła wygadana niewiasta aż do Ameryki, a potem uciekła się do praw i przepisów, aby

78

przeciąć więzy stanu małżeńskiego, łączące ich jeszcze poprzez Ocean Atlantycki.

A później — no cóż, później Nils dostał się w jej sieci. Musiało mu wtedy coś paść na mózg.

Ale ona miała gospodarstwo i las, i pieniądze, a on tylko parę nart, oszczep na wilki i dużą półkę ścienną, zastawioną pięknymi srebrnymi kubkami i pucharami — były to zdobycie przez niego nagrody narciarskie.

Już od dwunastu lat słuca gadaniny żony i wciąż jeszcze żyje; pochodzi z wytrwałego rodu. Ta kobieta nie milczy ani chwili, chyba że śpi; rzeczywiście nie mówi przez sen, na szczęście śpi jak suseł i ten mocny sen to jedyna pociecha Nilsa, zesłana mu z nieba w jego małżeńskie piekło.

Ale kiedy wieczorem żona zasypia i w domu zapada taka dziwna, niepojęta cisza, bo nikt nie gada, Nilsowi wydaje się, że mu jeszcze huczy w głowie od jej głosu, tego ostrego, drażniącego głosu, donośnego jak terkot lemingów. I czasem myśli, jaki spokojny musi być grób z ustawionym na nim krzyżem.

Sam Nils nie odzywa się prawie nigdy w domu; robi to, co mu żona każe, jest człowiekiem zgodnym.

Tylko jeden jedyny raz w ciągu tych dwunastu lat stanął dęba; wtedy Nils Harre zamienił się w zawadiakę, uderzył jak piorun z jasnego nieba, stracił panowanie nad sobą. Stało się to, kiedy jego żona w izbie na mansardzie zrzuciła miotłą z półki srebrne kubki i puchary, tak że

z brzękiem potoczyły się po podłodze. Jego trofea, które wręczano mu w obecności setek widzów, wśród radości i wiwatów, jako zwycięzcy i władcy — ta kobieta zmiotła z półki na podłogę

Dopiero po dłuższej chwili Harre przyszedł do siebie i puścił żonę. Przewrócił ją bowiem na ziemię i złoł jej skórę, jak się łoł skórę psu, aż głośno krzyczała i lamentowała; w końcu skomlała już tylko, zebrała i prosiła... Alef o dziwo, potem zrobiła się taka łagodna, jaką przez te wszystkie lata nie była ani razu, nawet w dniu ślubu. Kto się może połapać, jak to jest z tymi kobietami?

Dziś przed południem Nils zabrał się do łatania butów

7&

w izbie na mansardzie; zawsze tam ucieka, kiedy nie to! Wytrzymać na dole. Ta mansarda jest jego przystanią, dół której chroni się, kiedy burza małżeńska grozi mu zagładą! Dzisiaj awantura zaczęła się o wpół do szóstej rano, kiefl dy najmłodsze dziecko obudziło płaczem matkę. Zaczęła wy-! myślać mężowi, bo przez niego ma to dziecko, które zakłóca jej sen. Ponieważ burza nie cichła, Nils uciekł o siódmej I na górę.

Żona złości się dalej na dziecko, mała ma siedem tie-! sięcy. Dziecko krzyczy i kobieta krzyczy, a Nilsowi wydaje się, że brzęczą naczynia wiszące na ścianie. Słyszysz prze- j kleństwo żony — brzmi ono jak wycie zwierzęcia: żeby piekło pochłonęło tego dzieciaka, jeżeli nie umilknie w tej chwili! Potem rozlega się klaśnięcie, ostre, twarde klaśnięcie wyprostowanej dłoni na małych, gołych pośladkach — i dziecko wrzeszczy jeszcze głośniej! W tej chwili otwierają się drzwi wejściowe, słychać energiczny męski głos przybysza i uprzejme odwzajemnienie pozdrowienia przez kobietę. A więc to ktoś obcy.

Zaledwie po godzinie obcy mężczyzna wraca na północ, a wraz z nim idzie Nils. Wyruszyli w kierunku Skaldy, wielkiego łańcucha jezior, ciągnącego się o sześć mil dalej i niemal równie długiego jak ten, nad którym leży Harre.

Obcy jest wysokim, postawnym mężczyzną, nowym osad-! nikiem, Szwedem; ma jednak mocno zarysowane, kanciaste i kości policzkowe, czarne jak smoła włosy, a oczy skośne i tak jarząco brązowe, że niemal parzą — kto wie, czy jego matka nie zadawała się z jakimś Lapończykiem.

Mężczyzna wyruszył ze Skaldy poprzedniego wieczora, przeszedł kawał drogi, wspierany przez jednooki księżyc! w nowiu. Aż do rana odpoczywał przy ognisku, później prze-! był resztę sześciu mil, aż do Harre.

I mówi, że jeżeli nie będzie zbyt zmęczony, to chyba] przejdą te sześć mil do Skaldy, zanim słońce zajdzie; dzień robi się już coraz dłuższy. A nawet jeśli nie będzie mógł przejść całej drogi i dłuższy wypoczynek okaże się koniecz- : ny, to mogą skorzystać wieczorem ze światła księżyca. W każdym razie ważne jest, żeby Nils znalazł się na miejscu

80

przed ranem. Takiego zdania byli Lapończycy, którzy wysłali tego człowieka po Nilsa.

Mówili, że nikt nie wie, jak długo to diabelskie nasienie pozostanie na dole w lesie.

Poza tym Lapończycy tam, na północy, zadali sobie wiele trudu, żeby w zimie wyłapać wszystkie swobodnie pasące się reny, więc wilki musiały zejść w niżej położone okolice w poszukiwaniu żeru.

Nils Harre nie po raz pierwszy idzie przez góry do Skaldy, nie po raz pierwszy Lapończycy z północy wzywają go, żeby przyszedł i zabił wilka. A Nils nie daje się długo prosić. Chociaż to daleka droga.

Nils biegnie na nartach prędko, co jakiś czas musi się zatrzymać i czekać na towarzysza, myśli sobie, że właściwie trzydziestoletni mężczyzna powinien czekać na pięćdziesięcioletniego, a nie odwrotnie.

Pół-Lapończyk obserwuje, jak lekko i swobodnie porusza się Nils, jaki miękki, sprężysty, szybki krok ma ten człowiek ledwie średniego wzrostu, mocno zbudowany, ale chudy, o kwadratowej brodzie i prawie zawsze zaciśniętych ustach. Ledwo coś powie, już wargi mu się z powrotem zwierają; jest w tych ustach coś zdecydowanego i nieodwołalnego. „Dziwne, że Nils nie potrafi okiełznać tej baby” — myśli człowiek ze Skaldy.

Nils jest dziś w dobrym humorze i nawet rozmowny; mógł opuścić dom, to dla niego wybawienie, poza tym wie, jakie zadanie go czeka, zadanie, które wciąż jeszcze budzi w nim burzliwą namiętność.

Wspinają się długimi, płaskimi zboczami na północ od Harre i Nils ciągle coś opowiada. Tu stało się kiedyś to, tu owo. Na tym torfowisku jego dziadek stoczył słynną walkę z wilkiem, którego przypadkiem wypłoszył i na którym złamał swój kij narciarski; wilk, mimo że wyczerpany, nie skonał od razów kija. Wtedy dziadek wskoczył mu na grzbiet jak na konia, chwycił go za gardziel, otworzył nóż sprężynowy, wbił go najpierw w jedno wilcze oko, przekręcił go, potem w drugie oko i znów go przekręcił. Wilk, ślepy i na wpół żywy, staniał się jeszcze, więc dziadek dobił go złamanym kijem.

6 Wilki

81

— Czy naprawdę tak było? — powtarza Nils pytanie towarzysza. — Naprawdę! — Na jego twarzy maluje się powaga i niemal obraza, tak jakby tamten wątpił w jego słowo honoru. — Nie mam zwyczaju zmyślać! — dodaje i jego wargi zaciskają się z wyrazem surowości, jak gdyby raz jeszcze zapewniając, że mówił czystą prawdę.

— Ależ tak, tak — uspokaja go pół-Lapończyk: zauważył, że Nils czuje się dotknięty. — Tylko to doprawdy nie do wiary!

Jego dziadek był największym łowcą niedźwiedzi, którego ludzie tu dotychczas wspominają, opowiada Nils. Przeżył przygody z niedźwiedziami równie nieprawdopodobne, jak z wilkiem. Na górze, u stóp skały, przechodzą przez dużą rzekę, uchodzącą do jeziora koło Harre. Idą przez zamrożoną stojącą wodę, do której wpada wodospad i w której tworzą się zielone i białe pęcherze piany, a tam, gdzie woda staje się przejrzysta i spokojnie płynie pod lodem, sterczy ponad nią spiczasty wierzchołek skały.

Nils szybko podbiega do niej, stoi chwilę wpatrując się w przejrzystą wodę i mówi:

— Widzę go!

pół-Lapończyk także dostrzega podłużny kształt na dnie, a kiedy Nils nań wskazuje, i on zauważa, że kamień przypomina postać ludzką. I Nils opowiada, że ten stary kamienny posąg to bożek, który stał tu, na samym krańcu skały; dawniej ze wszystkich gór wędrowały lapońskie buty do wielkiej skały ofiarnej, a pod tamtą sosną do dziś można latem znaleźć resztki spalonych kości renów. Jeszcze za czasów dziadka Nilsa posąg bożka stał na skale. Kiedy myśliwi tędy przechodzili, zawsze coś mu składali w ofierze — jeśli nie coś lepszego, to choćby kawałek tytoniu do żucia, — żeby im się poszczęściło w łowach.

Me kiedyś przyszedł pewien szaleniec z Savony, który, jak ludzie opowiadali, od czytania Biblii stracił rozum, i zepchnął kamiennego bożka do rzeki. I oto leży na dnie — ale rzadko kiedy woda jest tak płytka, jak teraz, i można go dojrzeć.

82

Mężczyźni weszli teraz na nagi szczyt, na płaską, ładną górę, na której śnieg jest twardy i ich narty ślizgają się po powierzchni jak mocno przyssane deski na wodzie, posuwają się z dużą szybkością, miękko prześlizgują się po nierównościach śniegu, suną, suną, suną; a w dół zbocza za nimi chlusta kipiąca woda.

Pół-Lapończyk tak się spocił, że zdejmuje wełniany kubrak i wsuwa go pod klapę plecaka z miękko wyprawionej skóry rena. Nils nie jest spocony.

Obaj mężczyźni mają kije z brzoźowego drewna, ale na kijach pół-Lapończyka umieszczone są zamiast kółek brzoźowe talerzyki. Nils ma na jednym kiju bambusowe kółko, na drugim mały, okrągły brzoźowy talerzyk.

Ten ostatni kij nie wygląda jak zwykły kij narciarski; na jego górnym końcu tkwi drewniana pochwa długości sześciu czy siedmiu cali, z cienkim rzemykiem, owiniętym dokoła kija.

Podczas odpoczynku Nils odwiązuje rzemyk i zdejmuje pochwę; osłania ona ostry grot oszczepu, będącego górnym końcem kija. Grot jest czworokątny, świeżo oszlifowany, ostry jak szpilka; Nils ostrożnie przesuwając go po dłoni; uśmiecha się chłodno, ale szeroko i pyta towarzysza, czy wierzy, że tym ostrzem można przewiercić skórę.

Tamten odpowiada mu przytakującym uśmiechem; na miedzianej oprawce grotu dostrzegł ślady; wygląda na to, że pozostawiły je mocne, ostre zęby, które nie mogły przegryźć metalu. Trochę niżej na oszczepie widać także jakby ślady zębów, które tu się wpiły i odłupały kilka drzazg.

Ile sztuk zabił Nils tym oszczepem?

Jedenaście.

I biegają dalej przez jarzące się od promieni słońca góry, Wydaje im się, że piją płynne srebro. Biegają dalej. Prosto na północ, do łańcucha kotlin koło Skaldy.

Właśnie gwiazdy pojawiły się na niebie, kiedy dotarli do domu jednego ze świeżych osadników.

W izbie siedzi na podłodze Lapończyk ze skrzyżowanymi nogami, w czapce na głowie; siedzi tu już długo, czeka na łowcę wilków.

6*

83

Wczorajszej nocy przyszły znów trzy, zarżnęły kilka re-1 nów, opowiada, chociaż Lapończyk i jeszcze jeden mężczyz-1 na kilka dni przedtem na nartach próbowali je przepędzić. Ale śnieg był taki twardy, że Lapończykom nie udało się zgonić wilków do upadłego. Tymczasem jednak spadł nowy śnieg, teraz pójdzie im lepiej. I wczoraj rano Lapończyk zdecydował się nie straszyć w dalszym ciągu wilków, bo mogłyby pociągnąć w góry i nie zejść już do lasu — nie, Lapończyk postanowili możliwie jak najprędzej pchnąć po-| słońca do Nilsa Harrego i do jego przybycia pozostawić wilki w spokoju; ale potem spotkają się z kimś, z kim nie- • łatwo im będzie dać sobie radę. O Nilsie Harre Lapończyk mawiali, że jak kiedyś umrze, wilki będą się czuły jak w raju.

Nazajutrz rano Lapończyk zjawia się, zanim jeszcze dym zaczął unosić się z komina; światło dzienne jest jeszcze bardzo przytłumione, kiedy Lapończyk i Nils wyruszają ku jezioru.

Żaden z nich nie ma broni palnej, Nilsowi zawsze przeszkadza ona, kiedy musi biec szybko, bo jest zbyt ciężkim obciążeniem, a lufa strzelby przewieszanej przez ramię łatwo zaczepia się o gałęzie w gęstym lesie, a tak ją przecież trzeba nieść. Nilsowi zawsze wystarcza jego kij używany jako oszczep.

Lapończyk zaś ma tylko długi kij narciarski; nie chce strzelać do wilka. Wśród Lapończyków utrzymuje się jeszcze przesąd, że ten, kto zabija wilka ołowiem i prochem, sam ściąga na siebie nieszczęście.

O ile Nilsowi wiadomo, tu, koło Skaldy, ciągnie się rów-i nieź z zachodu na wschód łańcuch jezior długości około dziesięciu mil; u brzegów jezior leżą małe gospodarstwa, pojedynczo lub po trzy albo cztery blisko siebie; nowi osadnicy często skupiają się tak, by móc wytrzymać osamotnienie. Ale ludzkie siedziby dzieli przeważnie odległość paru godzin drogi na piechotę.

Jezioro, wzdłuż którego podążają Nils i Lapończyk, ma ze trzy mile długości, z obu stron otoczone jest zalesionymi wzgórzami, z których tu i ówdzie sterczy garb stożkowej góry.

84

Do nie porośniętych lasem grzbietów górskich jest •jeszcze daleko, dopiero na horyzoncie za lasami można doj-rzeć ich górny brzeg, podobny do grzebienia załamującej się potężnej fali. Mężczyźni byli w drodze zaledwie niespełna godzinę, kiedy już w górze zbocza, na północ od jeziora, znaleźli wilczy trop.

Lapończyk natychmiast staje się szybkoistopy i zwinny; z zapafem, jak pies myśliwski na nowym tropie, biegnie po śladach, nieco pochylony, uważnie je śledząc, cały czas mówiąc prędko, bez tchu, ze wzburzeniem, niemal jak gdyby ślady wilka rozpały mu zmysły. Ale czy zwierzę szło tędy ostatniej nocy, czy wcześniej?

Niełatwo to stwierdzić; od ubiegłego wieczora bowiem nie spadł śnieg, a mróz jest silny, więc ślad jest zamarznięty na kamień może od wczoraj, a może od przedwczoraj. Zdaniem Lapończyka jednak między drzewami będą mogli rozpoznać, czy ślad jest świeży, czy stary; poprzedniego dnia bowiem jakiś czas dał silny wiatr strącając śnieg z drzew. Jeśli znajdą tam więc trop, znaczy to, że powstał niedawno.

Mężczyźni idą teraz przez rzadki las sosnowy, ale nie odnajdują śladów dostatecznie blisko od drzew; kiedy jednak dochodzą do gęstszego lasu świerkowego, wiedzą już, że trop pochodzi z ostatniej nocy, bo podczas wczorajszej wichury sypki śnieg spadał z gałęzi, a ślady nie są nim przysypane.

Wiedzą też, że szły tędy trzy wilki, przeważnie jeden za drugim, tylko raz rozłączyły się, wówczas, kiedy natrafiły na trop zająca, na skraju obrośniętego brzoza bagna. Tam właśnie myśliwi stwierdzili, że były trzy wilki.

O milę dalej na wschód widzą, że wilki były przy renie, którego zagryzły dwa dni przedtem, a wkrótce potem wiedzą, że wypłoszyli je z dziennego legowiska na wysokiej górze o nagim wierzchołku. Widać zagłębienia w śniegu, gdzie zwierzęta leżały, i ślady skoków, jakimi przerażone sadyły w ucieczce. Teraz trzeba się śpieszyć.

Ale nie trwa to tak długo, jak sobie wyobrażali.

85

Wilki uciekają najpierw w dół ze zbocza, później po płaskim terenie; głęboko zapadają się w śnieg. Ale Nils i Lapończyk zamieniają się przy tropieniu śladów i w ten sposób szybko posuwają się naprzód. Wyraźnie zbliżają się do uciekających; widzą, że wilki od czasu do czasu zdobywają się na długie susy, zapewne zauważyły, kto je ściga. Nils piekącymi od potu oczami wpatruje się przed siebie, w głębokie, poszarpane ślady, na które spadło trochę śniegu. Niektóre zagłębienia wydają się nieco za szerokie, wtedy kiedy łapy zwierzęcia nie trafiły dokładnie w poprzedni ślad. I coś przemawia z tych śladów: strach uciekających. Nils obserwując to czuje radość i uniesienie: oto wilk, to najbardziej żądne krwi zwierzę, ucieka przed nim w przerażeniu. Ale nic mu to nie pomoże!

W tej chwili Lapończyk coś mówi, a Nils natychmiast zatrzymuje się i przygląda temu, co jego towarzysz odgrzebał: obok tropu, niemal zagrzebany w śniegu, leży na wpół strawiony kawał mięsa. Oho, wilk przeżarł się mięsem rena, źle znosi pościg, choruje i zwraca pokarm. Teraz go prędko dostaną, mówi Lapończyk, uśmiechając się z niemal dziecinną radością; ale w uśmiechu tym jest okrucieństwo.

— Woi, woi! — odpowiada Nils. Chętnie używa tego la-pońskiego słowa, oznaczającego potwierdzenie. Zresztą mówi po lapońsku prawie równie biegle jak ojczystym językiem. Zatrzymali się tylko na parę sekund i już biegną dalej.

Kiedy wyruszyli, Nils żuł tytoń; teraz wypluł go, ale sok tytoniowy ciekący z obu kąćków ust utworzył dwa szerokie, zaschnięte strumyczki na zarośniętej, niezwykle szerokiej brodzie, świadczącej o uporze. Nadaje mu to niesamowicie ponury wygląd.

Teraz Nils dobywa z siebie niemal cały zapas sił. Narty się pod nim zapadają, ale wyciąga je, toruje sobie drogę v/ śniegu, a kije odrzucają śnieg w tył, jak gdyby w zawziętym gniewie; jest teraz drapieżnym zwierzęciem, które przybrało postać ludzką.

Biegli może z godzinę, kiedy wreszcie dojrżeli wilka; tylko jednego. Nie sady, wlece się brzegiem bagna, język

86

zswia mu z pyska; zwierzę ogląda się wciąż za siebie, usiłuje biec prędzej, wytrzymuje to jednak krótko. I znów człapie ciężko jak przedtem. Nie próbuje już sadyć śladami towarzyszy.

Nils zatrzymuje się na chwilę i odwija rzemyk przytrzymujący pochwę na grocie oszczepu. Jednakże Lapończyk nie może wytrzymać tej zwłoki, niemal wyskakuje ze skóry, dogania Nilsa i chce go wyminąć.

— Stój! — woła Nils chowając pochwę do kieszeni i już pędzi dalej z otwartymi ustami, ciężko dysząc, rzucając złe, żadne walki spojrzenia na zwierzę, które zapada się w śnieg, nie może się dość szybko poruszać. Obnażony stalowy grot oszczepu błyska w promieniach słońca między drzewami otaczającymi bagno.

Teraz obaj są już tak blisko, że zastanawiają się, czy wilk odwróci się i przyjmie ich wyzwanie? I obaj wiedzą, co wtedy może się stać i jak powinni się zachować. Nils wie, że wilk reaguje błyskawicznie i że potrafi chwycić zębami oszczep w momencie zadania ciosu. Ale myśliwy ma jeszcze kij, może go wepchnąć w paszczę zwierzęcia i wtedy dopiero wbić mu oszczep w bok. Lapończyk zaś może go bić kijem po nosie, grzbiecie i krzyżu; w tych miejscach wilk najbardziej odczuwa razy... Takie myśli przebiegają przez głowy mężczyzn, pokonujących przestrzeń dzielącą ich od celu. Teraz...

Ale wilk nie odwraca się i nie zamierza przyjąć wyzwania. RzUCA się w bok, za mały świerk o gęstych gałązkach, chowa głowę i szyję pod zwisające gałęzie i wydaje zimne, smutne wycie; tak, jakby wiedział, że zbliża się jego koniec, ale nie chciał go widzieć... A Nils parę razy wydycha powietrze, cofa prawą rękę trzymającą oszczep i wbija jego stalowe ostrze pod bark wilka. Potem opiera się na kiju, naciska go z całej siły, wpycha ciało zwierzęcia w śnieg. Grot oszczepu trafił prosto w serce; zwierzę rzuca się jeszcze w słabych podrywach.

Ale Lapończyk ogarnął szał, zaczyna walić wilka kijem; jest to odwet za wszystkie stracone reny, pożegnanie od wszystkich Lapończyków z odległych gór! Teraz czworo-

87

nożny szatan otrzymuje zapłatę za wszystko, co on sam wyrządził i co Jeś° przodkowie zawinili! Słychać trzask łamanych wilczych kości.

Potem Lapończyk zrzuca czapkę z głowy, pot spływa mu z wierzchu dłoni, którą otarł głowę. Ale uśmiecha się uszczęśliwiony; rozładował gomadzącą się w nim od lat nienawiść.

„To bagno nazywa się Rovaiapi mówi.

◆

Zabitego wilka powiesili za tylne łapy na świerku koło Rovaiapi; wilcza paszcza wyszczerza straszliwe kły ku ziemi ale sączy się z niej kroplami farba i, prześwietlona słońcem, jak czerwonożłote perły pada na śnieg.

Jjils i Lapończyk nie zatrzymali się na długo, od dawna już są znowu w drodze, bo chociaż jeden wilk jest martwy, dwa pozostają jeszcze przy życiu.

die, i to właśnie jest przeklętym pechem, te dw7a skierowały się ku jezioru i uciekają po lodzie; tam śnieg jest twardszy, łatwiej im sadyć. Ścigany wilk prawie zawsze szuka ucieczki na jeziorach; nie taki on głupi.

A najg°rsze, mówi Lapończyk, kiedy szybko suną po lodzie wilczym tropem, który tu jest o wiele płytszy niż w le-sje__ najgorsze jest to, że dalej ku środkowi jeziora przecina je droga wyjeżdżona saniami, której używali Szwedzi; jeszcze poprzedniego dnia jeden z nich jechał tędy, droga nie jest więc zawiana. I jeśli wilki będą się jej trzymały, to spokojnie można zaniechać polowania.

ŹreczywiŹcie, trafiwszy na drogę wilki natychmiast zaczęły nią sadić. Uciekają teraz na wschód. _ Mimo to musimy je Źciagać — mówi Nils. Zaraz też rozpędza się; drogą łatwo jest biec, kije znajdujĄ mocne oparcie, a Lapończyk nie moŹe juŹ trzymać się końców nart towarzysza, jak przedtem, kiedy Nils torował mu drogę przez las.

Wzdłuż drogi ustawiono na lodzie w równomiernych odstępach wiązki chrustu. Wskazują one, którędy biegnie droga nawet jeśli ją śnieg zupełnie zawieje. Wilków teraz nie widać, jezioro skręca na wschód, a zwierzęta zapewne wyprzedziły myśliwych o dobry kawał drogi.

Obaj przebiegli moŹe z pół mili, do miejsca, od którego jezioro zaczyna się zwięzać pod naporem obu zalesionych brzegów; w końcu pozostaje juŹ tylko wąski pas lodu, wygląda jak równo naciągnięta wstęga.

Ale pośrodku wąskiego pasa lodu leŹy zamarznięta wysepka, która zamyka widok od strony wschodniej, gdzie jezioro się znowu rozszerza. Zwię się ona KsiąŹęcĄ Wyspą, bo kiedyś, przed wielu laty, pewien ksiąŹę przybił do niej łodzią, aby tu się posilić.

Droga prowadzi dokoła wysepki, a po jej wyminięciu wilki nagle skręcają każdy w innym kierunku, jeden na wyspę, drugi ku południowemu brzegowi jeziora, oddalonemu zaledwie o rzut kamieniem.

Nils zatrzymuje się, Lapończyk dogania go po chwili i obaj przyglądają się ŹwieŹemu śladowi nart, idącemu ze wschodu, a dalej za tropem wilka ku wyspie.

Łatwo zrozumieć, co tu się stało. OkrąŹając wyspę wilki natknęły się na człowieka, rzuciły się przeraŹone w dwie strony, a człowiek zaczął Źciagać jednego z nich.

— No, to musimy gonić tego drugiego — mówi Nils.

Teraz wilk musi sam torować sobie drogę. To Źwietnie!

Ślady wilka wyglądają na śniegu jak trop ogromnego zająca, dwie łapy koło siebie, drugie dwie w pewnej odległości z tyłu. Taki ślad zostawia wilk sadiący wielkimi susami. I zwierzę sadi tak samo dalej, kiedy z południowego brzegu jeziora dostaje się do lasu, na miękki śnieg. Ten wilk nie naŹarł się tyle mięsa, co tamten, którego Nils zabił.

Ale i ten długo nie moŹe wytrzymać tego tempa, zaczyna sznurować spokojniej; na miękkim śniegu takie ciężkie zwierzę nie moŹe poruszać się zbyt szybko.

Nils nie biegł dotychczas prędzej, niŹ mógł to robić bez wielkiego zmęczenia i wyczerpania. Oho, juŹ on wie, jak rozkładać siły na dłuższy okres; od niemal dwudziestu lat co zimę odbywał dalekie wędrówki, a na zawodach rywale zawsze widzieli jego plecy. Przed dwoma laty, kiedy miał

89

juŹ bez mała pięćdziesiąt lat, spróbował raz jeszcze swoich sił i doprawdy zawstydził młodych chłopców. Teraz jego ostatnie, mocno zuŹyte narty, używane na długich dystansach, wystawione są w muzeum.

Dzisiaj biegnie dopiero tak długo, Źe ciało mu się przyjemnie rozgrzało. Płuca ma wyrobione, wciąga w nie ŹwieŹe zimowe powietrze, wydycha je i znowu wdycha; czerpie siły nawet ze słoneczności dnia.

W górę i w dół z boczem doliny idzie poŹcić; wreszcie zbliŹyli się znowu do uciekającego.

Widzą, jak, odkąd ich zauwaŹył, sadi długimi skokami, i wreszcie słabnie, próbuje dostać się z powrotem na jezioro.

Nils i Lapończyk biegną za nim nieustannie. Śnieg tryska jak wodospad spod ich nart, kiedy zjeŹdzają szusem; pa- 1 rę razy gałęzie uderzają twarz Nilsa, czuje ból, jak gdyby ostry grzebień przejechał mu po policzkach, i wkrótce juŹ nie moŹe otwierać jednego oka, które pali go i łzawi, jakby mu w nie nasypano soli. Ale nic go teraz nie zatrzyma, mo- 1 Źe przecieŹ patrzeć drugim okiem. Jedna z nart zaczepia o zgięty ku ziemi Źwierk, przekręca się w bok, Nils czuje bolesne rozdarcie skóry na nodze i pada. Ale zaraz się zry- 1 wa i jazda

dalej! Nic go nie może powstrzymać! Wilk chce się dostać na jezioro, trzeba go dogonić, zanim dobiegnie do lodu.

Ze zwisającego ozora „myśliwego” spadają wielkie krople potu, urywany oddech dobywa się z jego gardzieli. Człowiek go ściga! A za każdym razem, kiedy „myśliwy” stawia łapę na śniegu, śnieg ustępuje pod jej ciężarem; wilk wciąż się zapada, śnieg nie chce go nieść, nie chce mu pomóc — a tuż za nim biegnie człowiek! „Myśliwy” musi wrócić na jezioro, gdzie może szybciej przebierać łapami, z powrotem na duże, twarde ślady, którymi on i jego towarzysze sadzili już dzisiaj tak lekko i szybko.

„Myśliwy” wiele już w życiu polował, nieraz słyszał cudzy krzyk przerażenia. Ale teraz przerażenie jest jego przerażeniem, on wie, co to znaczy być ściganym i dogonionym, być rozdartym kłami napastnika, leżeć i krwawić... Tego się boi, tylko tego!

90

Widzi już przed sobą jezioro, widzi rozbłyskującą między pniami, zalaną światłem białą powierzchnię śniegu. Za sobą słyszy krótki, twardy odgłos, jak uderzenie drewna o drewno; odwraca głowę, ale nic nie widzi. Już dobiegł do jeziora, śnieg robi się twardszy, zwierzę może znów odbijać się od niego i sadzić w kierunku tych stojących rzędem małych krzaczków; widocznie w zimie i na śniegu wyrastają drzewa.

Po* chwili dostrzega na brzegu jeziora człowieka wyłaniającego się z lasu.

Lapończyk nie może już dotrzymać kroku towarzyszowi; odkąd znaleźli się na jeziorze, Nils posługuje się kijami, posuwa się za nimi, odbijając się na zmianę, to jedną, to drugą nogą. W ten sposób sunie równomiernie, nie biegnie na nartach, ślizga się, narty nie zatrzymują się ani na chwilę, nie ma martwego momentu w jego biegu. Lapończyk posługuje się tylko jednym kijem, zdaje się prawie wyłącznie na ruchy nóg, jak niemal wszyscy Lapończycy, w nich jest jego siła, nie w rękach.

Na jeziorze widoczność sięga najmniej pół mili na zachód, a wiązki świerkowych gałęzi, wytyczające drogę, podobne są do dwóch rzędów maszerujących, ciemno ubranych ludzi i sięgają aż do miejsca, w którym jezioro skręca.

Między tymi dwoma rzędami przesuwa się na zachód duży, szary punkt. Chwilami porusza się prędzej, potem zwalnia na chwilę i znów przyspiesza. Lapończyk widzi goniącego ten punkt Nilsa i zmniejszającą się odległość między nimi. Wilk i Nils są już na wyjeżdżonej drodze.

Nils nie jest pewny, czy dogania zwierzę, czy nie, sądzi jednak, że w każdym razie nie oddala się od niego, dzieli ich około trzystu metrów. I mógłby pomyśleć, że duży pies biegnie przed nim, gdyby nie wiedział, że to wilk.

Nie ulega wątpliwości, że zwierzę jest dość wyczerpane, inaczej, mając twardy grunt pod nogami, sadziłoby długimi skokami.

Ale dla myśliwego droga nie jest najlepsza. Chwilami narty wpadają w wyłobioną płozami sani wąską koleinę i utykają w niej, tak że Nils musi uważać, żeby biec środ-

91

kciem drogi, gdzie zostawiły ślad końskie kopyta. Mimo to utrzymuje dobre tempo, a żeby mu było lżej i swobodniej, ściąga kubrak i rzuca go na śnieg; nic mu nie grozi, wie na pewno, że dzisiejszego wieczora znajdzie się w ciepłej izbie, a poza tym ma na sobie jeszcze kurtkę. Jak mu to ulżyło i jak go ochłodziło!

Teraz biegnie już tak długo, że ogarnęło go owo osobliwe upojenie, które zna z biegów długodystansowych. Tylko jedno na świecie ma dla niego w tej chwili znaczenie: zbliżyć się do uciekającego przed nim wilka. Nawet jeśli krew mu tryśnie ze skóry, płuca pękną i serce się zatrzyma, tak że osunie się na śnieg — nic go to nie obchodzi! Dla niego istnieje w tej chwili tylko jeden cel, dla którego warto żyć: utrzymanie tempa, przyspieszenie go. Wyścig przejmuje go zachwytem, każde włókno rozgrzanego ciała żyje, żyje. To największa doczesna

radość... Z powierzchni jeziora tryskają białe iskry w jego oczy mokre od słonego potu, oczy, które nabrały od wysiłku jakiegoś gorączkowego, wilgotnego blasku.

A narty suną naprzód, kije odpychają się od lodu, powietrze wydobywa się z płuc...

Wreszcie jezioro skręca ku południowemu zachodowi i wilk znika za przylądkiem.

Kiedy jednak Nils mijają go i znów widzi uciekające zwierzę, wie już, że odległość między nimi zmalowała. Hej! To dobrze! Gdybyż tylko wilk znowu skręcił ku lasowi! Ale na to bestia jest zbyt chytra, jezioro ciągnie się z pewnością jeszcze milę i droga prowadzi prawdopodobnie aż do samego brzegu.

Kawałek za przylądkiem Nils dostrzega na południowym brzegu dom pomalowany na czerwono i obok parę budynków gospodarczych. Przez podwórze biegnie mężczyzna ciągnąc za sobą gniadego konia. Pośpiesznie zaprzęga go do pojazdu, wskakuje na niego i popuszczając cugli wyjeżdża na jezioro.

Wilki już go wyprzedziły, ale mężczyzna musi go jeszcze widzieć i z pewnością zamierza go gonić. „To się dobrze składa!” — myśli Nils.

92

— Czekaj! — woła, kiedy koń skręca na drogę, zanim Nils do niej dobiegł.

Ale mężczyzna albo go nie słyszał, albo też uważa, że nie ma czasu, aby się zatrzymać.

Siedzi na czymś w rodzaju sanek i Nils widzi, jak nimi rzuca, kiedy mężczyzna szarpie lejce i zmusza konia do szalonej jazdy drogą, za wilkiem.

Nils pędzi teraz ze wszystkich sił, jakie może wydobyć z nóg, i widzi, jak koń pochłania odległość między sobą a wilkiem. Wilk sady znów długimi susami, ale nic mu to nie pomaga, koń jest coraz bliżej. Żeby tylko temu człowiekowi udało się... Powinien był poczekać i zabrać ze sobą Nilsa!

Duży koń gna jak wichur przez jezioro, długa grzywa trzepocze, lekkie sanki chwieją się i podskakują, jadący w nich człowiek czasami na wprost staje, przechyla się w bok i patrzy przed siebie.

Teraz jest już niedaleko. W jaki sposób zaatakuje wilka? Czy ma coś, czym może go zabić?

Zniknął już prawie odstęp między koniem i wilkiem...

Człowiek w sankach wstaje, sięga ręką w tył — „pewno wyciągnie nóż” — myśli Nils. Ale zdaje się, że koń się przeląkł, chce stanąć; mężczyzna szarpiąc cugle zmusza go do dalszego biegu. I koń, z głową odrzuconą w tył, rzuca się ku wilkowi, który w porównaniu z nim wydaje się teraz mały — za chwilę koń go strąca...

Nagle wilk uskakuje w bok i kiedy sanki przelatują koło niego drogą, mężczyzna wychyla się z nich i uderza zwierzę nożem. Czy dosięgnął je? Chyba odległość była za duża...

A tam wilk sady po łodzi ku południowemu brzegowi jeziora, ale niezbyt szybko, nie ma już twardego gruntu pod łapami.

Mężczyzna usiłuje skierować sanki w tę stronę, ale koń nie chce skręcić, biegnie dalej drogą, zgoniony i przerażony. Nils widzi, jak mężczyzna ściąga cugle, aż koń musi pochylić głowę na pierś, mimo to jadą jeszcze spory kawałek drogą; wreszcie zwierzę ulega panu i łukiem zawraca ku

93

brzegowi, do którego zmierza wilk. Ale ten zyskał teraz dużą przewagę, dobiega do brzegu na długo przed koniem i znika w lesie.

— Dlaczego nie zaczekałeś na mnie? — pyta Nils, znalazłszy się po chwili przy sankach.

Koń gwałtownie robi bokami; to był szalony wyścig!

Mężczyzna nie może jeszcze złapać tchu z napięcia, wydaje się, że nie słyszy, co Nils mówi, chce jak najprędzej zacząć opowiadać: wszystko potoczyło się tak prędko, dużo za prędko, dlatego nie zdążył wbić noża, a poza tym był za daleko; ale niewiele brakowało, bardzo niewiele, koniec noża niemal dotykał futra...

— Nie goni się wilka z nożem! — mówi Nils gniewnie. — Ale teraz jedź dalej na zachód i uważaj, czy bestia nie zawróci znów na lód!

Po czym sam zagłębia się w las tropem wilka; wkrótce i Lapończyk znika w lesie, biegnąc śladami nart Nilsa.

Tam, gdzie wilk przedziera się teraz przez las, jest bezdroże, okolica górzysta, trudna do przebycia; niełatwo jest biec wilkowi, ale jeszcze trudniej biec Nilsowi na nartach. Może z pół godziny goni zwierzę, wprawdzie nie widzi go, ale wie, że jest ono tuż przed nim. Ciało Nilsa zaczyna mu powoli dawać do zrozumienia, że na dziś chyba dość się napracowało; ta szalona gonitwa na jeziorze kosztowała go dużo sił, ale zużywa ich jeszcze więcej na przedzieranie się po miękkim śniegu przez ten trudny teren. Ubranie przesiąkło mu potem, który przeniknął przez koszulę, kamizelkę i spodnią kurtkę, a na wierzchniej wełnianej kurcie ten wilgotny, ciepły opar zamienia się w szron. Pokrył on plecy, włosy i brodę Nilsa, na wąsach zawisły nawet grudki lodu. Mimo to jest mu gorąco, wydaje mu się, że wewnątrz płonie.

Po chwili orientuje się, że wilk zwalnia biegu, gdyż próbuje znowu dostać się na jezioro, zapewne zbyt trudno mu tutaj, na miękkim śniegu, utrzymać dystans między sobą i ścigającym go człowiekiem. A jeśli wilkowi nie uda się umknąć teraz, kiedy Nils, w tym trudnym terenie, mozolnie się porusza, to już przyjdzie na niego kreska. Wszyst-

94

ko zależy od tego, czy Nils potrafi przeszkodzić mu w powrocie na jezioro, a wtedy trudno sobie wyobrazić, żeby > wkrótce nie mógł znów użyć swego oszczepu.

I nagle dostrzega wilka na polanie, w odległości zaledwie pięćdziesięciu metrów! Zwierzę odwraca głowę i zezuje ku niemu. A potem znowu znika.

Teraz jednak Nils rusza całym pędem, aż wydaje mu się, że serce mu podskoczyło do gardła, że bije mu w krtani, a w" piersi czuje palenie, jakby mu ktoś nasypał do niej rozżarzonych węgli. Musi dogonić wilka, zanim ten umknie w dół, na jezioro!

Ale to mu się nie udaje.

Kiedy tropem zwierzęcia wjeżdża na lód, widzi, że wilk odsądził się już dobry kawał od brzegu. Wkrótce wpadnie na wyjeżdżoną drogę. Ale Nils widzi także, że bardziej na wschód człowiek w sankach gwałtownie popędza konia.

I znów rozgrywa się niemal dokładnie to samo, co przedtem: wyścig między koniem i wilkiem, beznadziejny dla wilka. Koń zbliża się coraz bardziej, szybko i pewnie. I Nils widzi, że mężczyzna uzbroił się teraz w długi drąg do zatłuczenia wilka.

Jezioro zwęża się tu, skręca na zachód, po chwili więc wilk i koń znikają z oczu Nilsowi, który długimi ślizgami jedzie za nimi. Tymczasem i Lapończyk wynurza się z lasu, dogania Nilsa, bo ten musiał całą drogę od brzegu pokonywać sam, Lapończyk zaś korzysta z wydeptanego przez Nilsa śladu.

Nils dysząc pędzi dalej.

Mężczyzna zatrzymał konia i czeka, aż Nils go dogoni. Wilk znowu umyka do lasu, tym razem na południowy brzeg; ale teraz zwierzę nie skręciło z drogi, kiedy koń był tuż, opowiada mężczyzna, nie był więc tak blisko, aby drąg mógł się przydać.

Nils czeka jeszcze chwilę na Lapończyka, po czym obaj jadą znów tropem wilka do lasu. Mają teraz łatwiejszy teren, zmieniają się w torowaniu drogi i dwukrotnie widzą z daleka uciekające zwierzę. — Teraz go zabijemy! — woła Lapończyk. — Teraz zabijemy tego biesa! — I kiedy zwie-

95

rzę jest już tak wyczerpane, że znowu próbuje dostać się na jezioro, Lapończyk prędko skręca; znajduje się teraz między jeziorem i wilkiem, wydaje parę okrzyków, wskutek czego zwierzę nie odważa się go wyminąć.

Potem Nils znów traci Lapończyka z oczu; chyba wiązanie u narty mu się rozluźniło.

Zaraz też narty Nilsa przecinają zamrznięty ślad innych nart, wiodący do jeziora, pośrodku zaś myśliwy dostrzega ślady pazurów wilka. Zwierzę trafiło na ten ślad i znów się uratowało, a kiedy Nils zjeżdża na jezioro, okazuje się, że jest ono w tym miejscu tak wąskie i zakręcone, że nie można dojrzeć na nim zwierzęcia, które zapewne jest już za przyładkiem. W każdym razie znalazło ślad prowadzący na zachód, do wyjeżdżonej drogi. Mężczyzny z sankami także nigdzie nie widać.

A narty suną, jedna mija drugą; długie, szerokie, dobrze nasmarowane narty. Nils jest już tak zmęczony, że nie ma siły odpychać się kijami, próbuje tylko możliwie prędko przestawiać nogi.

„Ale wilk nie czuje się lepiej niż ja — myśli. — Zobaczymy, kto z nas dłużej wytrzyma.” Jezioro zwęża się coraz bardziej, wygląda już raczej jak szeroka rzeka, wijąca się wśród lasów i pagórków, a Nils nie widzi nawet cienia szarego, kudłatego zwierzęcia, które stało się teraz jedynym celem jego egzystencji.

Ale niewyraźne ślady na drodze świadczą o uporze wilka; nie poddaje się! Czy nie jest drugim Nilsem Harre? Przecież i on nie ustępował, chociaż nieraz był już na wpół żywy, tak że trzymał się tylko siłą woli? I zwyciężał! Zna to dobrze z wielu biegów długodystansowych. Bo jeśli człowiek sam jest półżywy, zawsze jeszcze ma większe szanse niż ten, który jest w trzech czwartych martwy. I może tak właśnie jest teraz z nim i z wilkiem... Nie, Nils nie zrezygnuje!

Rzeka zamienia się znów w szerokie jezioro, a pośrodku niego leżą dwie duże wyspy porośnięte lasem, które rozdziela tylko wąska cieśnina. Trop wilka skręca z drogi i prowadzi prosto jak strzełił

96

ku większej wyspie. Nils w pewnej odległości objeżdża obie wyspy szerokim łukiem. Ale kiedy zakreślił pełne koło i staje tam, skąd wyruszył, okazuje się, że nie przeciął tropu. A więc wilk jest na jednej z wysp. Pewno na większej z nich.

„Aha! — myśli Nils i czuje, że jest górą. — To tak jest z tobą, przyjacielu!”

Kiedy wreszcie pokaże się Lapończyk? Teraz przydałby się Nilsovi. Do diabła, gdzie się podziwiał ten przeklęty Lapończyk?

Ale Nils nie czeka już długo na niego. Lapończykowi kąciki ust opadły, cała twarz się wydłużyła; jest niemal u kresu sił.

Mówi, że wiązania mu nawaliły. Nie powinno się jeździć z takimi wiązaniami; nie używał ich też nigdy aż do tej zimy. Gdzie jest ten przeklęty wilk?

Nils wskazuje tylko kierunek oszczepem. Potem tłumaczy Lapończykowi, jak muszą teraz postąpić.

Po chwili Nils skręca bardzo ostrożnie na cieśninę między wyspami, której szerokość wynosi zaledwie kilka metrów.

Nie dostrzega przecinających ją śladów. A więc wilk zapuścił się w gęsty las na dużej wyspie; chce się w nim ukryć.

Nils wyszukał sobie rozłożysty świerk na brzegu mniejszej wyspy; może stać schowany za nim, tu będzie czekał. Zdejmuje pochwę z grotu oszczepu i chowa ją do kieszeni.

Teraz wszystko zależy od tego, czy jego obliczenia są słuszne. Powiedział Lapończykowi, aby czekał tak długo, aż będzie pewny, że Nils znalazł się w obranym miejscu; wtedy ma ruszyć tropem wilka na dużej wyspie. Jeżeli Nils nie popełnia kardynalnego błędu, wilk będzie wtedy próbował umknąć przez cieśninę na mniejszą wyspę.

Nils wie, że będzie musiał czekać dość długo. Słońce już się chyli ku zachodowi; świerki na górach otaczających jezioro nabierają czerwonej barwy, zrobiło się zupełnie cicho.

Tylko szmer, który wydawały narty w ciągu długich go-

7 Wilki

97

dżin pościgu, dźwięczy jeszcze Nilsowi w uszach. Stopnio- : wo potęguje się dobrze mu znane sztywnienie nóg po wy- 1 tężonym biegu; odczuwa je teraz, stojąc dłuższy czas bez I ruchu, poza tym musi opanowywać ataki kaszlu. To również j objaw występujący po biegach długodystansowych, jakże j miałby go nie znać! Charakterystyczny kaszel, występujący po przebyciu długiej trasy na nartach, kiedy człowiek rozgrzany, biegnąc z otwartymi ustami, wciąga do rozsze- i rzonych płuc zimne powietrze. Kilka razy nie udaje się i Nilsowi powstrzymać tych ataków, ściąga więc z głowy czapkę i zatyka nią usta, żeby się wykaszleć. Bo niedaleko jest przecież ten, który nie powinien go usłyszeć.

Nie może jednak zapobiec gwałtownemu szczękaniu zębami z zimna; huczy mu ono w głowie i Nilsowi wydaje się, że słycać je po drugiej stronie cieśniny.

Trzeba będzie długo czekać... Co też robi Lapończyk?

Na przeciwległej wyspie rośnie gęsty rząd sosenek. Nils wpatruje się w nie.

Nagle ujmuje mocniej oszczep, nieświadomie kurczy się I i usiłuje przebić wzrokiem gałęzie sosen; oddycha ostroż- ! niej, wcale o tym nie myśląc — z jednej z karłowatych sosen opada śnieg.

Wilk wychodzi wprost na cieśninę. Jest oddalony od Nilsa zaledwie o dwadzieścia do trzydziestu metrów. Szary, niesamowicie rosły, kudłaty, pochylił pysk. Wietrzy ślady nart. Nils wypada zza drzew, wilk sady w kierunku jeziora, myśliwy za nim; wkrótce wilk przestaje sadyć, jest dość wyczerpany, zaczyna bieć truchtem i tak dochodzi do zmagania się sił, malejących w wilku i w człowieku. Nils jest już blisko, ale nie tak blisko, aby zadać cios oszczepem. Czy zwycięży? Czy ulegnie? Wilk odwraca się ku niemu, kładzie uszy po sobie, szczyrzy kły — „niebezpieczny jesteś” — myśli Nils z wściekłością. Ale po paru sekundach widzi, że nie dogoni wilka, ryzykuje więc wszystko: zatrzymuje się i rzuca oszczepem — „głupio postąpiłem — myśli już w następnej chwili. — Ale mam jeszcze kij, jeśli dojdzie do walki” — pociesza się zaraz.

98

Jednakże czystym przypadkiem oszczep trafił, drasnął udo zwierzęcia i utkwiał mu w brzuchu. Wilk uciekając ciągnie za sobą oszczep parę metrów; potem jednak oszczep pada na śnieg; Nils podnosi go i znów zaczyna się pościg przez jezioro.

— Nawet z oszczepem w brzuchu wymykasz mi się, ty przeklęty łotrze! — mruczy Nils' do siebie, zwalnia biegu i czeka na Lapończyka. Uważa, że teraz już nie ma się po co śpieszyć. Bo wilk musiał mocno odczuć cios.

Obaj mężczyźni kierują się teraz ku końcowi jeziora, gdzie zniknął wilk; lodowa droga przechodzi w leśną, wilk nią pobiegł, ale co jakiś czas się kładzie; odnajdują dwa takie legowiska i na obu są ślady farby.

— Zatluczemy go! — mówi Lapończyk.

— Robi wrażenie, jakby w ogóle nie chciał zdechnąć! Nawet z dziurą we flakach biegnie jak przedtem! — odpowiada Nils.

Po pół godzinie zawracają. Bez względu na to, co się stanie. Bo dzień przechodzi już w wieczór i późno się robi, zanim dotrą do najbliższego gospodarstwa, tego, z którego wyszedł człowiek z koniem, przyłączając się do pościgu. Ale jeżeli dzisiejszej nocy nie spadnie śnieg, a na pewno nie spadnie, to nie ma obawy, aby jutro rano nie wytropili wilka. Zwierzę nie opuściło drogi przez las.

Nils jest tak zmęczony, że nie może poruszać się dość prędko, aby się rozgrzać; ubranie ma przesiąknięte potem i jest bez kurty! Cud będzie, jeżeli tym razem nie złapie zapalenia płuc. Od rana też nic nie jadł; wprawdzie zabrał ze sobą żywność, ale jej nie tknął, tylko rzucił ją na śnieg razem z kurta.

Lapończyk jest zupełnie bez sił; Nils wkrótce traci go z oczu. Ale nie martwi się o niego, Lapończyk jest ciepło ubrany, nie zamrznie i dowlecze się na miejsce. Nils natomiast musi jak najprędzej znaleźć się w ciepłej izbie.

Zużywa na to dwie godziny; pod koniec drogi ma mięśnie zeszywniałe niemal do bólu, a jego mózg pracuje tak ospale, że Nils nie może uwolnić się od strofki lapońskiej piosenki o wilku; piosenki, którą kiedyś przetłumaczył na

7»

99

szwedzki: „Przez dziewięć dolin sadi w mrok. Woia, woia, nana, nana!” Strofka ta prześladowa go natrętnie. Nilsa to drażni, chciałby się od niej uwolnić, ale nie może. Przez dziewięć dolin sadi w mrok...

Kiedy dojeżdża do gospodarstwa, niebo stoi w płomieniach. To osobliwe, żeby pod koniec zimy widzieć tak intensywną zorzę polarną.

Wygląda to tak, jakby na północnym wschodzie ktoś stał poniżej horyzontu i oświetlał niebo reflektorami to w tym, to w innym miejscu, poszukując czegoś; na niebie tworzy się żywa tkanina wielobarwnych promieni świetlnych... Ale po chwili światło zmienia się, skupia w jednym punkcie, głęboko, tuż ponad północno-zachodnim horyzontem i wydaje się, że bucha stamtąd jak dym z komina. Powoli wzbija się ku górze, rozlewa po całej kopule niebieskiej, rozsuwa się jak cienki welon, od białego kresu gór na północnym zachodzie aż w dół, do ciemniejącego lasami horyzontu na wschodzie. Świetlisty welon, który trzepoce jak zasłona w otwartym oknie, błyskawicznie zmienia barwy od białej do żółtobiałej. I Nilsowi wydaje się, że słyszy przy tym lekki szmer... A jezioro i lasy leżą skapane w tym tajemniczym świetle, ni to dziennym, ni to księżycowym...

Nagle pożar nieba słabnie osobliwie prędko; gaśnie źródło światła na północnym zachodzie. Po kwadransie wszystko się kończy. Tylko jeszcze tu i ówdzie unosi się słaby blask ponad gwiazdami.

Z „myśliwym”, chciwym, groźnym „myśliwym”, dzieje się dziś nie najlepiej.

Skręcił z leśnej drogi, nie odważył się tam położyć, przez miękki śnieg poczłapał na mały pagórek, porośnięty rzadkim lasem, i ułożył się tam między dwoma dużymi kamieniami; tworzą one coś w rodzaju kryjówek, a jednocześnie zwierzę może z góry rozglądać się dokoła, może nasłuchiwać i chwytąć wiatr.

Zanim się ściemniło, zdołał jeszcze dojrzeć niewyraźne zarysy nagich, wysokich gór; stały przed nim jak ocalenie,

100

te wielkie, otwarte przestrzenie górskie, gdzie śnieg nie wsysa stawianych na nim łap. Ale „myśliwy” nie mógł już tam dojść, nogi odmawiały mu posłuszeństwa, a we wnętrzościach tkwiło kilka ostrych pazurów, które rozrywały go i zadawały ból; te pazury utkwiły w nim, kiedy odpadł kij człowieka.

Jest już ciemno, a ciemność daje zazwyczaj wilkowi poczucie bezpieczeństwa; ale dziś „myśliwy” nie czuje się bezpieczny, nieustannie obawia się, że ktoś nadejdzie, gdyż cały dzień uciekał, a jeżeli ścigający go zostawali w tyle, za każdym razem znowu go doganiali. „Myśliwy” nie może czuć się bezpieczny.

Wielki, obrośnięty szarymi kudłami wilk, któremu nigdy nie było dość mordowania, on, który przywoził krwawym napaściom w Savonie, Harre i Laite, gdzie pozostały padła trzydziestu dziewięciu owiec — dzisiejszej nocy leży i patrzy, jak tuż obok niego zając kica powoli i ufnie, nie podejrzewając nic złego. Do schwytania go wystarczyłoby zaledwie kilka skoków. Ale „myśliwy” się nie podnosi. Przestał być „myśliwym”.

Wieczór zamienia się w piekącą mroźną noc z księżycem w nowiu, stojącym nad lasem. Niedaleko przysiadł zając i szybko, gorliwie obgryza korę z gałęzi osiki. Chwilami przerywa to zajęcie, siedzi z podniesioną głową, nieruchomy, i nasłuchuje. Słyszy coś, cichy, niemal mlaszczący odgłos... Zając obgryza korę, nasłuchuje, obgryza. Ten dźwięk, który do niego dochodzi, jest taki spokojny, na pewno nie zwiastuje niebezpieczeństwa...

Ale to „myśliwy” liże swoją ranę.

Kiedy światło dnia zaczyna rzucać jasny blask na zwróconą ku porannemu brzaskowi stronę ośnieżonych drzew, „myśliwy” jest nieco zeszywniały. A pazury tkwiące w jego wnętrznościach rozdzierają je jeszcze boleśniej niż wczoraj.

Pojawia się słońce. Wędruje coraz wyżej. Rzuca promienie na wilka. Powinien on teraz spać wilczym zwyczajem; kiedy słońce otwiera oczy, wilk zamyka swoje. Ale dziś sen nie przychodzi; wilk nieustannie nasłuchuje i patrzy,

101

nasłuchuje i wietrzy, aby wiedzieć, kiedy będzie się zbliżał ten, przed którym nie czuje się bezpieczny.

I wreszcie słyszy go. Nie nadchodzi niespodziewanie: najpierw słycać słaby szelest w lesie u stóp pagórka. Wilk nastawia uszu, stają się one lejkami wciągającymi odgłosy, które zna tak dobrze od wczoraj; niesamowite odgłosy, podobne do kipienia, jakby woda wrzała pod śniegiem...

Nic jeszcze nie widzi ani nie chwyta wiatru. Ale podnosi się, powoli, okrutnie cierpiąc zaczyna iść, zapada się, jest dziwnie sztywny, jakby w ogóle nie miał stawów, a brzuch szarpia mu i rozdzierają te pazury... 'Powoli brnie na skos, obchodząc zbocze od tyłu.

Wtedy coś znów zaczyna wrzeć za nim, blisko, sucho, ostro, przypomina syk żmii. Wilk odwraca się. Człowiek jest za nim! „Myśliwy” zapomina o sztywności łap, nie zwraca uwagi” na ból we wnętrznościach, sady długimi susami...

Ale wkrótce zatrzymuje się na małym torfowisku, nie może biec dłużej. Odwraca się, obnaża zęby, grozi nimi bladej twarzy o potężnych wąsach, kijowi, który go wczoraj wieczorem ukąsił; teraz kij ten chwieje się w powietrzu, a jego koniec rozbłyskuje... I mimo przerażenia raz jeszcze budzi się w „myśliwym” dzikość, promień siły przesywa rary jeszcze potężne ciało wilka. I w chwili, kiedy Nils Harre zamierza wbić oszczep, zwierzę skacze ku niemu, rzuca się na pierś człowieka — ale oszczep spotyka go wpół drogi, przesywa; wilk ciężko opada w tył, jednak chwyta jedną z nart zębami i zaciska je mocno.

Nils Harre całym ciężarem ciała kładzie się na oszczepie, przybija nim do śniegu rzucające się zwierzę. Taki jest koniec „myśliwego”!

Na potężnym wale granicznych gór stoją dwa wilki, niezmordowani wędrowcy, piraci gór. Szukały żeru to po norweskiej, to znów po szwedzkiej stronie; mijaly przyzmy kamieni, znaki graniczne na szczytach, gdzie wicher gwiżdże między szarymi, zwietrzałymi skałami. Przemykały się przez brzozowy las, płonący w dolinach w jesiennej pożodze, robiły krótkie, ostrożne wypady w niebezpieczną ciemność lasów iglastych. Były złym losem, spadającym z nieznanych rejonów, grożącym dniem i nocą wszystkim żyjącym istotom, czteronogim i dwunogim, i skrzydlatym.

Ale tak było od niepamiętnych czasów. Ren węsząc wciągał powietrze, poznawał gorzki zapach wiatru, pardwa żałośnie wabiła swoje młode, które już nigdy nie miały jej odpowiedzieć słabym kwileniem, a niscy mężczyźni w butach z kudłatego futra musieli w zimne, burzliwe noce pilnować swoich stad i nasłuchiwać podnoszących się i opadających tonów wycia.

Wśród gradu ciężkich przekleństw Lapończyków żyły i konały wilki. Nieliczne ginęły z ręki Lapończyka lub nowego osadnika; większość góry zabierały z powrotem do siebie.

Po norweskiej stronie granicy Isengaeldajbkel, Lodowiec Isengaeldzki, unosił wielki garb w powietrze, błękitnawy, połyskujący srebrem, gród z lodu i śniegu.

Lodowiec wyciągał chciwe ramiona w różnych kierun-

103

kach ku ziemi wolnej od śniegu, gdzie kwiaty ufnie rozkwitały aż u stóp śmiertelnie zimnych zwałów lodowcowych, usiłujących zniszczyć życie prostodusznych roślinek; ale ciepło słoneczne wciąż powstrzymywało te zakusy.

W górze lodowca, o sześćset metrów bliżej nieba niż inne chmury sterczał szczyt Isengaeld. Mógł spoglądać daleko na zachód, ponad niezliczonymi ostrymi wierzchołkami, które wyglądały jak zęby przewróconej brony. A za tymi wierzchołkami ziemia stawała się płaska, był już tylko błękit, stapiający się na horyzoncie z niebem... Ale nigdy jeszcze człowiek nie stanął na szczycie Isengaeld i nie spojrział na daleką, płaską przestrzeń, którą było morze.

Lapończycy czuli, że coś niesamowitego zawisło nad tym potężnym lodowcem; nie lubili go, najchętniej trzymali się z daleka od niego. Opowiadali, że kiedyś karawana z renami pociągnęła w górę lodowca. I nikt już nie widział ani tych ludzi, ani ich renów.

Od strony wschodniej, tuż obok wierzchołka Isengaeld, wyrastał mniejszy szczyt, a do leżącej między nimi doliny sięgała jedna z macek lodowca. Pewnego dnia znalazło się na niej stadko renów, które wspięły się wyżej, uchodząc przed dręczącymi je w letniej spiekocie muchami i komarami. Nad torfowiskami powietrze wypełniało głośnie brzęczenie owadów.

Szare, rozleniwione latem zwierzęta leżały, mając pod sobą przyjemny chłód lodowca, nad sobą zaś żar lipcowego nieba. Tutaj dobrze było żyć renom, leżały z na wpół przymkniętymi oczami; tylko jeden ren stał, wprawdzie z nieco opuszczoną głową, melancholijny czy też na stojąco zapadający w sen; ale wszystkie jego zmysły były czujne.

Spokojne, chłodne godziny mijały. Słońce zaczynało powoli schodzić łukiem ku poszarpanym grzebieniom górskim na zachodzie. Ale słońce nie miało jeszcze zejść, nie miało dziś w nocy ułożyć się do snu.

Stadko renów na Lodowcu Isengaeldzkim zrywa się na nogi!

I już pędzą przez lodowiec, jakby je goniły wszystkie strachy świata. Mokry, a mimo to syпки śnieg na lodzie

104

szumi pod przeorującymi go kopytami, kiedy ren po każdym skoku na nim ląduje; ziarenka śniegu rozpryskują się dokoła w ostrym świetle jak błyszczące szklane perełki... Od prawego górnego skraju macki lodowca zbliża się wilczyca!

Reny uciekają na skos w lewo, ale tam, z drugiej strony lodowca, wyskakują inne dwa wilki. Wadera zastosowała stary podstęp: napędza reny na swoich towarzyszy. "Dwa wilki zbliżają się teraz do stada. Jednemu z nich udaje się oddzielić pojedynczego byka; biegnie on teraz w dół zbocza, co bardzo dogadza wilkowi, ponieważ jest on szybszy od rena i wkrótce chwyci kłami jego tylną nogę. Ale byk raz już spotkał się z wilkiem i nie zapomniał, co go wtedy uratowało. I kiedy orientuje się, że wilk jest tuż za nim, robi błyskawiczny zwrot — gdy tymczasem rozpedzony wilk sady dalej, bo, jak wszystkim wilkom, trudno mu nagle skrócić. I tak ren zyskuje jeszcze małą przewagę.

Wkrótce jednak wilk znów go dogania i ren jeszcze raz uskakuje w bok, ratując się powtórnie. Tak zbiegają w dół lodowca — śnieg chrzęści pod kopytami i łapami, dwa cienie zwierząt suną po lśniącym podłożu!

Nagle wydaje się, że przednie nogi rena załamują się pod nim, i spada głową naprzód, w tej samej chwili, kiedy wilk chwytą zębami jego tylną nogę i uwieszą się na niej. W następnej chwili oba zwierzęta pochłania lodowiec.

Rozpadlina jest tak szeroka, że nawet rozłożyste poroże rena nie zahacza o jej ściany; wilk puszcza rena, oba ześlizgują się, spadają i znów ześlizgują się — potem lecą jakiś czas w powietrzu i wreszcie trafiają do wody; wilk zanurza się, wypływa na powierzchnię, kręci się bezradnie.

Ren wpada w wodę jednocześnie z nim, ale on może stanąć, sięga nogami dna, ma głowę, szyję i grzbiet nad wodą.

Kiedy wilk nieco ochłonał, widzi sterczącą z wody skałę, wdrapuje się na nią, kładzie się i rozgląda zdziwiony.

Zwierzęta wpadły do jaskini lodowca, niezbyt głębokiej, ale o gładkich lodowych ścianach. Jaskinia ma długość

105

dziesięciu długości rena, ale jest wąska. Utworzyła się wewnątrz lodowca przy górskiej ścianie; jeden jej długi bok stanowi ściana skalna, drugi — lodowa.

Z otworu, przez który zwierzęta wpadły, sączy się nieco dziennego światła, załamującego się tak, że tu, w dole, panuje łagodny mrok. I w tym półświecie lód lśni niebiesko i zielono; duże i małe sople o spiczastych końcach zwisają z góry. Woda spływa z nich kroplami, tak jak ze ścian i lodowej pokrywy; bezustannie sieka powierzchnię jeziora na dnie jaskini.

Krople te padając wydają ciche dźwięki, stapiające się w jedną melodię, stłumioną i ponurą. Odbija się ona od obu ścian jaskini jak szloch istot, uwięzionych tu na wieczne czasy...

Koło skalnej ściany, gdzie woda jest nieco płytsza, sterczy wiele poroży renów, wybielone poroża tych, co tu wcześniej wpadły.

Ociekający wodą, słaby, wilk leży na skałce, na którą się wydostał; ledwo się na niej mieści.

Parę metrów od niego stoi w wodzie nieruchomo, zwrócony przodem ku niemu, ren. Patrzy.

Ale w wilku wygaśla już żądza napaści i mordy; nie widać jej już w oczach zwierzęcia, są

równie przerażone i bezradne jak oczy rena. Bo co to wszystko znaczy? Co się z nim stało?

Oba zwierzęta są uwięzione i widzą, że nie wydostaną się stąd już nigdy.

I tak jedno leży, drugie stoi długie godziny.

W miejscu, gdzie światło dzienne najsilniej pada przez dziurę, którą ren i wilk wyrwały w śnieżnej pokrywie jaskini, woda lśni zielonkawo. Zielone są też krople spadające przez ten zielony promień światła i zielono rozbłyskują kółeczka powstające na lodzie od spadających kropli.

Ale woda niedługo już zrobi się lodowato zimna dla rena, który stoi zanurzony w niej niemal po szyję, a ze szpar w obu końcach jaskini wpada mroźny powiew wiatru.

Byk nie rusza się, nie śmie odwrócić wzroku od tych oczu, wpatrzonych w niego z tak bliska; bo przecież siedzące na głazie zwierzę to wilk.

106

A woda z topniejącego lodu kapie. Kapie — kapie — kapie...

Wiele dni i nocy minęło.

Silny wiatr północny gna przez góry, uderza o strome skalne ściany, które odpychają go w bok, przebiega obok nich, swobodny już, pędzi dalej, ponad torfowiskami i długimi, nagimi zboczami, skręca w doliny, gwizdże w piargach, burzy wody górskich jezior, odwraca drżące liście w brzozowych lasach...

W lapońskich igloo wśród gór dym wpada przez górny otwór, kłębi się na ziemi, wypełnia wnętrze, bije w twarze kobiet o zażawionych oczach, aż płaczą i kaszlą.

Ale do dna jaskini w lodowcu wiatr nie sięga; tam jest cicho i spokojnie.

Padło rena pływa po jezioru, ociera się o głaz, na którym wciąż jeszcze leży wilk; nie ma przecież innego miejsca.

Poprzedniej nocy byk przewrócił się w wodzie, stanął jeszcze raz na nogi, znów się przewrócił, jakiś czas wierzgał nogami, potem zastygł w bezruchu. Wilk przyciągnął ciało rena do głazu, zżarł część uda i barku.

Kilka razy popłynął do obu końców jaskini, skąd szczelina lodowca ciągnie się jeszcze dalej; ale końce są za wąskie, wilk nie może się przez nie precisnąć ani wpełznąć na górę, wszędzie lód, gładki lód, którego łapy nie mogą się ucześcić. Więc wracał znów na swoją skałkę.

Dawno już nie dochodzą do niego żadne odgłosy ze świata tam, na górze. Nie ma już dla niego pożółkłych latem gór, szumiących strumyków, ani nieba, ani słońca. Tylko to przytłumione światło niebieskozielonego podziemnego świata z lodu. I wieczna cisza. I woda topniejącego lodu, która kapie i kapie...

Noce czerwone od słońca przepływają nad lodowcem. W dzień iskrzy się bielą, w nocy płonie purpurą.

107

W lodowcu dojrzyć można przykrytą śniegiem rozpadlinę jak wstęgę wijącą się przez jego mackę. Ale w jednym miejscu widać dziurę w pokrywie śnieżnej. Coś w tym miejscu wpadło w szczelinę...

U rząd celny! Słucham. — Aha, dzień dobry! — Tak, mówi celnik, tak. — Dziś rano? — To pewnie znów chodzi o tabakę, tak, właśnie tak myślę. Ale dziś nie wróci spokojnie tą samą drogą, nie, nawet gdybym musiał osobiście wyjść naprzeciw niego. — Do widzenia! I bardzo dziękuję!

Posiwały celnik odkłada słuchawkę na telefon, stary biurkowy aparat z poobtłukiwanym lakierem. Potem szybko wychodzi z pokoju i idzie na piętro, gdzie drugi, mlcd-szy od niego celnik, Sverre Holan, właśnie uczy najmłodszego synka, jak się siedzi na koniu. Żona prasuje bieliznę.

— Ze szwedzkiej strony telefonowali, że dziś pokazał się tam znowu Fingar. Chyba jeden z nas będzie musiał pójść w teren, Fingar spróbuje pewno wieczorem przejść granicę, przypuszczam, że pójdzie przez Fyllingen, tam najłatwiej się przedostać. Więc jeden z nas musi iść.

Sverre Holan wyruszył natychmiast; nadchodził już wieczór, trzeba było wykorzystać resztkę światła dziennego. Holan, założywszy długie, lekkie narty, skierował się od dużego, czerwonego budynku urzędu celnego na wschód.

Było to daleko, daleko na południe od Isengaeld; w pogranicznych górach i w kilka lat później. Słowa „Urząd celny” namalowane były wielkimi, czarnymi literami na czerwonej ścianie, a na szyldzie obok napisu widniał norweski niedźwiedź z siekierą podniesioną do ciosu. Droga do Szwecji, prowadząca przez góry Kjblen, przechodziła tuż koło budynku i była przegradzona grubym szlabanem, za-

109

mkniętym na kłódkę przy wbitym tam palu. Stać! W imieniu prawa!

W narożnym pokoju na parterze, tuż koło szlabanu, paliła się lampa naftowa, której nigdy nie gaszono, odkąd istniał tu urząd celny, chyba że w jasne letnie noce. Duże okno tego pokoju było oknem, którego nigdy nie przymykał sen, patrzącym nieprzerwanie i bacznie na drogę; nikt nie mógł się tędy przemknąć, nawet jeśli nie posługiwał się jakimś pojazdem i mógł na piechotę obejść szlaban.

Fyllingen było długim, wijącym się jeziorem, ciągnęło się z zachodu na wschód, poprzecinane licznymi małymi przesmykami. Hblan zatrzymał się na wschodnim końcu jeziora, tam, gdzie przebiegała granica kraju, szeroka, biała droga, wyrębana w brzozowym lesie. I tam odnalazł ślad nart, krzyżujący się z przygraniczną drogą, ślad przypuszczalnie dzisiejszy i przypuszczalnie pozostawiony przez tego Fin-gara. Hblan zapalił kieszonkową latarkę i zaczął badać ślady, wyciśnięte przez końce nart i pozostawione przez kije, zanim odcisnęły się ich krażki; mógł po nich rozpoznać, jaką drogę wybrał narciarz. Tak! Na drugą stronę, do Szwecji!

Ten Fingar, obcy, gdzieś z południowej części wschodnich terenów, był niskiego wzrostu i szczupły, ale zwinny jak gronostaj; można by powiedzieć, że wymykał się celnikom spod ręki; ale jeśli udałoby się im schwycić go raz w swoje szpony, potrafiliby go przytrzymać. Z góry wiedzieli, co znaleźliby w jego plecaku, jeśli nawet teraz nie mogli jeszcze udowodnić mu tego przed sądem: samogon, kiedy szedł do Szwecji, i szwedzką tabakę, kiedy wracał do Norwegii. Tabakę, taką tanią w Szwecji, którą sprzedawał w Norwegii z ogromnym zyskiem! Ale tylko raz, przed wielu laty, podczas wojny, dał się złapać i podobno rozgłaszał potem,

żeby celnicy, pilnowali się i nie podchodzili do niego za blisko, bo już on się postara, żeby „zaginęli bez śladu”, jak w takich wypadkach pisały gazety.

Sverre Hblan ukrył się za brzozowymi zaroślami, tak że mógł obserwować szeroką drogę graniczną w obu kierunkach. Spojrzał na zegarek. Było już zupełnie ciemno. Ale Fingar zwykle w nocy przekraczał granicę, więc może trze-

110

pa będzie jeszcze długo poczekać. Lepiej naciągnąć na siebie wiatrówkę przywiązaną do plecaka.

Jednakże Sverre Hblan nie musiał długo czekać. Fingar zjawił się w chwili, kiedy Hblan zdjął plecak. Szedł nie śladem pozostawionym rano, ale nieco bardziej na prawo, długim krokiem przecinając drogę. Hblan ruszył przez brzozowy las w kierunku jeziora i tam go spotkał. Fingar miał w ręku broń, a na plecach niósł dobrze wypchany worek. „Masz w nim dużo pudełek tabaki — pomyślał Hblan. — Ale będziesz je musiał wyładować!”

Stanęli naprzeciw siebie tak blisko, że Hblan mimo ciemności wyraźnie widział twarz Fingara; długie, zwisające wąsy nadawały jej wyraz ponury i groźny. Fingar był mały i słabowity, a Hblan bardzo silny, mimo to czuł się nieswojo, kiedy tak stali naprzeciw siebie w odległości pięciu czy sześciu kroków. Hblan pomyślał: „Teraz się na niego rzucę bez słowa! Jak będę go miał w rękach, już mi się nie wymknie!” Ale w tejże chwili Fingar zerwał strzelbę z ramienia i Hblan zdążył się tylko pochylić zanim huknął strzał. Poczuł piekący ból w prawym ramieniu, lewą ręką sięgnął do kieszeni po pistolet, wycelował w nogę Fingara — klik! Hblan chciał odciągnąć prawą ręką zamek pistoletu, założyć nowy nabój, ale nie miał siły, palce zeszywniały mu jak na mrozie, widocznie dostał postrzał w przedramię! Spróbował jeszcze trzymając pistolet w lewej ręce odciągnąć zamek swoimi mocnymi zębami... Tymczasem Fingar otworzył zamek swojej jednolufowej strzelby śrutowej i szukał w kieszeni naboju, myśląc tylko o tym, żeby nabić broń...

Wpatrywali się przy tym nawzajem w siebie, wiedzieli o tym obaj, chociaż nie widzieli wyraźnie swoich oczu. Hblanowi wydało się, że przed nim stoi ucieleśniona śmierć z obrzydliwymi, zwisającymi wąsami... Już prawie otworzył zamek, prawie, ale niezupełnie. A Fingar znalazł nabój, wsunął go do lufy — zaginiony bez śladu! — coś zdawało się głośno ostrzegać Holana. Błyskawicznie odwrócił narty i zniknął między brzozami, myśląc cały czas: „Teraa dostanę w plecy!” Ale strzał nie padł i Hblan nie zauważył za sobą nikogo, kiedy wspinając się na porośnięte brzozami

111

wzgórze na wszelki wypadek oglądał się za siebie od czasu do czasu.

No, teraz Fingar na dłuższy czas będzie musiał wyrzec się swojego rzemiosła! Tym razem będzie miał do czynienia z kratami i wysokimi murami, to pewne.

Hblan nie mógł poruszać prawą ręką. Ładunek śrutu rozdarł rękaw kurtki i nieco poniżej łokcia utkwiał w ciele; nie była to głęboka rana i na pewno niegroźna, ale bolesna i obezładniająca rękę.

Kiedy Hblan przeszedł na drugą stronę grzbietu górskiego i ostrożnie zaczął schodzić w dolinę, w której znajdował się urząd celny, dostrzegł z oddali światło w oknie. Miał przed sobą z pół mili drogi. Ale zdąży jeszcze dojechać i zatelefonować do lensmana w miasteczku, żeby poczekał w izbie Fingara i powitał go jak należy, kiedy teraz wróci ze swojej wycieczki. Na dole, w brzozowym lesie, Hblan trzymał się własnego śladu nart z tego wieczora. Chociaż gwiazdy nie świeciły, nie było jeszcze tak ciemno, żeby nie widział śladu; widocznie gdzieś za chmurami stał księżyc w nowiu, chociaż Hblan nie pamiętał, czy jego obliczenie się zgadza.

Przejeżdżając przez torfowisko dostrzegł na lewo od swego śladu trop, którego, jak mu się zdawało, nie było tu po południu. Zboczył więc, żeby mu się przyjrzeć.

Stara wilczyca!

O tak, Sverre Hblan znał ten trop. A więc wadera znów wędruje na południe, do Riklet, gdzie od dawna ma swoje gniazdo. O tej porze nie ma tu w górach innych wilków; Lapończycy prowadzili z nimi nieubłaganą walkę przy pomocy trucizny, aż wreszcie oba inne wilki wykończyli. Ale starej wilczycy nikt nie umiał wetknąć między zęby zatrutej przynęty. Dużo czasu minęło, odkąd Hblan podczas swoich inspekcji wzdłuż granicy widział ślady starej wilczycy. Zwykle wędrowała w dalszych okolicach. Ale teraz Lapończycy właśnie zgnali swoje stada na zimowe pastwiska, do lasów położonych niżej na zboczach Riklet, i o tej porze wadera ciągnęła za nimi.

112

Sverre Hblan był już dość wyczerpany. Ból w ramieniu wzmagał się i coraz trudniej mu było posługiwać się kijem.

Na szczęście dojrzał już małą halę z połamanym płotem i na wpół zapadniętą szopą, w której przechowywano siano z bagnisk. Jeszcze paręset metrów i przyjaźnie powita go światło z urzędu celnego. I nie minęła jeszcze ósma; zdąży zatelefonować do lensmana, urząd telefoniczny czynny jest do wpół do dziewiątej.

Kiedy stara wilczyca w swoich wędrowkach do Riklet i z powrotem musiała przecinać drogę prowadzącą do Szwecji, robiła to zawsze mniej więcej w tym samym miejscu, o parę kilometrów na zachód od urzędu celnego, gdzie z obu stron las brzoźowy sięgał do samej drogi.

I dziś wieczorem pobiegła w to miejsce. I wedle starego zwyczaju po znalezieniu się tam, jednym parometrowym susem przebyła szerokość drogi; nigdy nie odważała się wchodzić na ścieżki udeptane twardo, jak zajęczy przesmyk po okresie mrozu. Bo od takich ścieżek szedł zawsze wiatr stworzeń, których nienawidziła, i wydawało jej się, że tu ktoś na nią czyha.

Teraz minęła już brzoźowy las i wspięła się na nagi Riklet, potężny masyw górski, ciągnący się na przestrzeni paru mil ku południowi.

Tu, na górze, wichry tak hulały, że z występów skalnych do czysta zmiotły śnieg, pozostał na nich tylko zamrożony mech; tu i ówdzie zaś przebłyskiwał goły lód. Przed wilczycą wznosił się szczyt Riklet, jednostajny, skierowany ku niebu stożek, tak pokryty śniegiem, że nie było na nim ani jednej ciemniejszej plamy ziemi czy kamienia; sterczał w ciemności mglisty, upiorny, połyskujący bielą, ale o wyraźnych zarysach.

Niemal jak upiór prześlizgiwała się stara wilczyca po twardym, nawianym śniegu między górami, wznosiła się i opadała wraz z falowaniem terenu, długonoga, chuda, samotny rozbójnik zimowych wysokich gór.

8 Wilki

113

Była już stara, ale zachowała jeszcze swój wyciągnięty wilczy chód, który pozwalał jej w ciągu jednej nocy przebywać wiele mil. Co prawda nie mogła już robić tak długich skoków jak dawniej, kiedy była matką-wilczycą i w lasach lapońskich razem z „myśliwym” i innymi wilkami zbiegała w dół za stadami renów.

Jednej zimy w górach na północy było tak niewiele swobodnie pasących się rfnów, a ludzie pociągnęli tak daleko na wschód w lasy, że wilczyca nie odważyła się ich gonić, aby zdobyć żer.

Wtedy zdecydowała się powędrować wzdłuż południowych stoków gór Kjblen, ale niewiele tam miała żeru i głód gnał ją coraz dalej; opuściła rejony, do których od dawna przywykła, dobrze znane góry nie przyciągały jej już z taką siłą, wiążącą z czymś swojskim, własnym. Wilczyca wędrowała teraz, trzymając się jednak wciąż nagich grzbietów Kjblen.

Latem żyła spokojniej, łatwiej jej też było o żer; ale następna zima wygnała ją znów na wędrowkę.

Pewnej nocy doszła do jakichś osobliwych schodów, których nigdy przedtem nie widziała; znajdowały się one w porośniętej lasem górskiej kotlinie. Schody były szerokie i przez

otwartą przesiekę wgrzyzały się w las. Tamtędy zaś biegły dwie czarne wstęgi, w pewnej odległości od siebie, ale wciąż z tym samym odstępem. Przypominały one dwa wążuteńkie strumyczki czarnej, płynącej wody. Nieco dalej schody prowadziły w głąb góry, do olbrzymiej, czarnej dziury. To było najbardziej zadziwiające! W powietrzu unosił się niemal gorzki smród, przypominający wilczycy zapach, który nieraz wzbijał się ponad obóz człowieka; ale nie był to zupełnie ten sam zapach.

Ostrożnie, z wahaniem podeszła bliżej. Po obu stronach schodów znajdowało się coś, co zamykało przejście; w równych odstępach stały jakby pnie drzew pozbawione gałęzi, a między nimi przeciągnięte były liczne nici, jedna nad drugą, jak niesamowicie gruba, błyszcząca pajęczyna. Wilczyca wciągnęła wiatr, nie poczuła prawie żadnego zapachu; z pewnością mogłaby się tamtędy przemknąć, ale nie miała

114

odwagi; te pajęczyny mogły ją schwytać i zatrzymać. Zawróciła więc.

Ale nad ranem znalazła się znów na górskim grzbiecie, wznoszącym się nieco powyżej owego osobliwego miejsca, obchodząc je szerokim łukiem doszła do rosnącej tam sosny, udeptała trochę śniegu pod nią i położyła się; było to dobre legowisko na dzień. Miała otwarty widok dokoła, także na schody z dwiema wstęgami i górę, w której ginęły schody. " Stara wilczyca ułożyła się i zapadła w codzienną drzemkę, która nigdy nie obezwładniała całkowicie jej zmysłów; przez sen słyszała, a nawet do pewnego stopnia czuła zapach, kiedy jakieś żywe stworzenie przebiegało koło jej nosa; i natychmiast zupełnie przytomniała. Usłyszała też jakiś odgłos dochodzący od góry z wielką dziurą, do której jak gdyby noc wpadła i teraz z niej wyglądała. Wilczycy zdawało się, że wewnątrz góry zaczął huczeć potężny wodospad albo że sama góra wydaje głuche pomruki...

Zerwała się z legowiska i stała gotowa do skoku. Bo z wnętrza góry, wzdłuż schodów, sunęło jakieś nieprawdopodobnie wielkie zwierzę, potężne, kruczoczarne i tak zadyszane, że jego oddech brzmiał jak dalekie grzmoty, unosił się w mroźnym powietrzu jak biały opar; dziura w górze cała była wypełniona oddechem zwierzęcia... Wilczyca nie zobaczyła już nic więcej. Pognała jak szalona.

Jeszcze dwa czy trzy razy natrafiała na owe dziwne schody, do których zbliżało się czarne, dyszące, olbrzymie zwierzę; oglądała schody z rozmaitych miejsc, ale wyglądały zawsze tak samo i wilczyca nie odważała się ich nigdzie przekroczyć. Chciała dostać się w góry bardziej na południu, ale zagadkowe schody wszędzie zastępowały jej drogę.

Aż wreszcie pewnego wieczora doszła do świeżo wydeptanej drogi renów. Pobiegnęła nią truchtem z opuszczoną głową, owiana ciepłym zapachem, płonącą żądzą rozdzierania, gryzienia. Miała puste kiszki i wydawało jej się, że brzuch styka się z grzbietem jak przysnurowany.

Nagle zobaczyła, że droga renów zbiega się ze schodami, po których poruszał się czarny potwór. Po chwili uprzytom-

B*

115

niła sobie, że droga przemyka pod schodami przez szeroki otwór. Widać było przez niego brzozy las po drugiej stronie schodów. Tamtędy więc przeszły reny, tamtędy też musi przejść wilczyca, a skoro reny przedostały się przez otwór, widać nie było to bardzo niebezpieczne. Poszła więc za nimi i rzeczywiście nic jej się nie stało.

W ten sposób wilczyca przecięła linię kolejową i nigdy już nie powróciła ani przez tor, ani przez któreś z wiodących pod nim przejść.

Ale w górach, na południe od tego miejsca, znalazła to, co jej było potrzebne do życia. I tu krążyła dokoła i zapuszczała się na południe tak daleko, jak daleko wiodły ślady lapońskich butów i kopyt renów, ale odtąd trzymała się znów pewnej wybranej przez siebie górskiej okolicy.

I teraz właśnie szła na południe od Riklet. Bywała tu już zimą i biegła teraz w znanym sobie kierunku, prosto jak strzełił do jeziora Herat, gdzie, jak dobrze wiedziała, na zalesionych zboczach, pod nagim stożkiem góry, pasły się teraz reny.

Gerrat Geitvik ocknął się. Czy to nie Druh drapie do drzwi szałasu?

W chwili, kiedy się ocknął, zdawało mu się, że wyraźnie słyszał drapanie, pewno nawet ono wyrwało go ze snu. „Dziękuję ci, Druhu, że wróciłeś do mnie tej nocy! Zaraz ci otworzę!”

Gerrat odrzuca skórę rena, którą się przykrył na noc, wstaje, przechodzi kilka kroków, nieco pochylony, aby nie uderzyć głową o dach. W maleńkim szałasie jest ciemno choć oko wykol, ale przez szybkę w drzwiach lśni biel śniegu.

Gerrat uchyła skośnie umieszczone drzwi i spodziewa się, że zobaczy stojącego przed nimi psa. Ale psa nie ma. Czyżby mu się przyśniło? Wieczorem myślał o tym, że pragnąłby, aby Druh zaczął dzisiejszej nocy drapać do drzwi, a człowiek często śni o tym, czego pragnął przed zaśnięciem...

Noc jest ciemna i pochmurna. Gerrat ledwo może dojrzeć

116

kamienną wieżę strażniczą na górze nad jeziorem Jerv, sterczącą na tle nieba jak olbrzymia, ciemna postać ludzka.

— Druh! — woła w noc.

Ale pies nie przybiega.

Gerrat zapala lampę, zawieszoną na drucie u sufitu szałas; jest wpół do szóstej. Zagotuje trochę kawy i zrobi coś do zjedzenia, a później, jak tylko nadejdzie dzień, wyruszy w drogę do oddalonego o milę Oset, leżącego u końca jeziora. Jest to najbliższe miejsce, w którym mieszkają ludzie, on i Druh byli tam wczoraj. Ale kiedy wracając znaleźli się już dalej niż w połowie drogi do swojej niedźwiedziej nory, Druh nagle zniknął. Pewno wrócił do Oset, do suki Snaltre, która właśnie teraz jest w okresie ciecarki.

Gerrat prosił jednak ludzi w Oset, żeby przepędzili Druha, jeśli wróci do suki, i to nie cackali się z nim. Było więc właściwie dziwne, że Druh jeszcze nie wrócił do domu.

Gerrat rozgrzebuje żar w malutkim piecyku, stojącym pośrodku szałas, z rurą wpuszczoną w wierzchołek dachu. Zdejmuje z piecyka płaską kamienną płytkę, na której piecze chleb i placki, a nawet z okazji uroczystości coś, co ma przypominać świąteczne ciasto. Potem bierze kociołek do kawy i napełnia go wodą ze źródła przepływającego tuż koło drzwi, tak że nie trzeba nawet wychodzić na dwór, aby zaczerpnąć wody.

Jest to bardzo wygodne i praktyczne; poza tym jednak nie ma szczególnych wygod w tej niedźwiedziej norze z rozszczepionych pni, pokrytych brzoźową korą i faszyną i ustawionych tak, że tworzą coś w rodzaju namiotu. Teraz, w zimie, szałas jest tak zasypany śniegiem, że z zewnątrz wygląda jak mały, biały kopczyk. I Gerrat może tylko w samym środku szałas stanąć wyprostowany; niedźwiedzia nora nie została zbudowana tak, żeby można było się w niej gimnastykować, ma tylko służyć Gerratowi i Druhowi za schronienie.

Pod ścianą, na legowisku z suchej trawy i wrzosu, leżą trzy skóry renów; Gerrat mawia, że jest to legowisko niedźwiedzia. U stóp legowiska stoi skrzynka z półkami z desek — to szafa kuchenna Gerrata. Pod przeciwległą ścianą

117

leży garść przyodziewku, para butów i karabin z odłamaną kolbą, naprawiony kawałkiem rury.

Po ugotowaniu kawy Gerrat musi iść do spiżarni po chleb. Spiżarnia umocowana jest na świerku, dość wysoko nad ziemią, składa się ze skrzynki z wieczkiem, ale zabezpiecza przed myszami, a żaden przechodzący ubogi pracownik leśny nie okradnie jeszcze uboższego Gerrata, który nie ma wrogów.

Właśnie dzień wstaje, kiedy Gerrat opuszcza na nartach swoją niedźwiedzią norę w brzoźowym lesie nad jeziorem Jerv. Idzie własnym wczorajszym śladem. Kiedy dochodzi do

miejsca, w którym wczoraj zauważył zniknięcie Druha, jest już zupełnie jasno i od razu spostrzega odciski łap między śladami nart, skręcające z powrotem do Oset. „Właśnie tak, jak myślałem” — mówi sobie w duchu. Miłość nigdy nie przestaje sprawiać kłopotu człowiekowi! Gerrat za młodych lat miał z nią także trochę do czynienia i nigdy nie dawała mu nic oprócz trudności i zmartwień. Jego zdaniem kobiety są zwierzyną, dla której należałoby ogłosić nie-ustannny czas ochronny.

Gerrat ma teraz przeszło sześćdziesiąt lat, jest mężczyzną ogromnego wzrostu i tak silny, że może wziąć na plecy łódź i przenieść ją z jednego jeziora na drugie. Często to robił, kiedy latem chodził z tymi zabawnymi ludźmi, których nazywają turystami. Właśnie od jednego z nich dostał brązową, trochę za ciasną sportową kurtkę, w której teraz chodzi. Nie bardzo pasuje ona do jego spodni ze skóry łosia, la-pońskich butów i wydrowej czapki.

Ale w tej chwili Gerrat dostrzegł coś, co mu daje do myślenia: pies zboczył ze śladu nart i wspiął się na zbocze porośnięte świerkami. Jest już zupełnie jasno i Gerrat rozpoznaje ślady łap Druha, który biegł tędy trzykrotnie. Pierwszy raz towarzysząc mu z Oset w drodze powrotnej do domu, drugi raz, kiedy niepostrzeżenie zawrócił — ale i trzeci raz, kiedy znów pobiegł ku domowi ubiegłej nocy; pewno ludzie z Oset go przepędzili; jednakże, kiedy pies dobiegł do tego świerkowego lasu, skręcił ku północy. Co było przyczyną tego? Lis, a może wydra...?

118

Podąża śladami psa; prowadzą one na polanę w gęstym lesie. Gerrat zatrzymuje się i nie musi już zastanawiać się, co skłoniło Druha do zbiegania z drogi.

0 Boże, Druhu! Gdzie cię teraz odnajdę? Jak mogło ci to przyjść do głowy, Druhu?

1 Gerratowi robi się bardzo ciężko na sercu. Domyśla się już, dlaczego Druh nie wrócił tej nocy do niedźwiedziej nory!

Właśnie nazwał go Druhem i pies był nim rzeczywiście, Gerrat wiedział o tym i wiedział, że teraz będzie się czuł bardzo osamotniony w swojej niedźwiedziej norze. Z dachu szałasów zwiisało na sznurze ucho psa; był to jedyny odnaleziony szczątek Druha. Wilczyca musiała być tej nocy bardzo głodna.

Nie po raz pierwszy Druh, ogarnięty prostodusznym zapałem myśliwskim, pobiegł tropem wilczycy; było tak już dwa razy, ale wtedy Gerrat widział to i zabierał psa do szałasów. Bo nawet duży pies nie może dać sobie rady z wilczycą; Gerrat dobrze o tym wie.

Po zgonie Druha wiele dni przeleżał samotnie w szałasie.

Robił to zresztą często, jeśli miał przynajmniej tyle jedzenia, że nie musiał głodować. Lubił czasem naprawdę po-próżnować. Wtedy przynosił zapas drewna, tak że wystarczyło sięgnąć nie wstając z legowiska, aby włożyć nową szczapę do piecyka. Woda była też niedaleko, zaraz za drzwiami szałasów — w ciągu dnia nie musiał przejść więcej niż dwadzieścia kroków, żeby ugotować sobie posiłek. Często wiele dni prawie nie wychodził z szałasów.

Ale teraz wylegiwanie i próżnowanie w niedźwiedziej norze nie sprawiało mu przyjemności. Pod przeciwległą ścianą szałasów, po drugiej stronie piecyka, leżała jeszcze skóra rena, na której Druh sypiał; Gerrat patrzył z daleka na wyciśnięte w niej zagłębienie, gdyż pod skórą nie było warstwy trawy i leśnego podszycia; wydawało się, że to zagłębienie czeka na powrót psa i wtulenie się w legowisko...

120

Gerrat wciąż spoglądał na wiszące na sznurku ucho i o-garniało go dziwne uczucie na myśl, jak to ucho podnosiło się i nasłuchiwało, kiedy dochodził je odgłos kroków Gerra-ta; bo pies czasem cały dzień leżał i czekał tu cierpliwie na jego powrót.

Gerrat przypominał też sobie, jak pies kładł mu często pysk na kolanie, nie ruszał się z miejsca i wpatrywał się w niego pełnymi oddania brązowymi oczami. Wtedy Gerrat drapał go za uchem, a Druh przymykał oczy, co jakiś czas spoglądał na niego i znów przymykał oczy. Przeżyli tu razem prawie dziesięć lat. Ciężko było rozstać się.

I z pożywieniem Gerrata będzie teraz zapewne krucho. Druhowi zawdzięczał chyba większość upolowanych lisów, wyder i innych leśnych zwierząt; bo Druh polował na wszystko, od wiewiórki do wydry. I był tak silny, że Gerrat zimą, na zamrzniętym jeziorze pokrytym śniegiem, umocowywał rzemień do obroży i kazał psu, aby go ciągnął na nartach, tak że tylko od czasu do czasu odpychał się kijkami.

Nie, tym razem naprawdę zachowałaś się po łajdacku, stara wilczyco!

Bo nikt inny tego nie zrobił; Gerrat wiedział, że w okolicy nie ma innego zwierzęcia o wydłużonym pysku i zimnym głosie, odzywającym się po nocy. Poznałby jej trop, większy niż trop innych wilków. Stara wilczyca wyła też inaczej, jej głos słabł zawsze pod koniec wycia.

Dawniej, kiedy Gerrat odnajdywał jej trop, czuł coś w rodzaju pokrewieństwa między nimi, dobroci dla starej wilczycy. Bo w gruncie rzeczy byli do siebie trochę podobni: para krążących po okolicy włóczęgów, pozostawiających w górach samotny trop. Dość często oboje cierpieli głód, a czasem znów dobrze im się wiodło. Oboje też panowali tu, daleko, nad czworonożnymi i skrzydlatymi zwierzętami; wszystkie drżały przed nimi. Kiedyś Gerrat widział starą wilczycę, jak siedziała na górze nad jeziorem Jarv i spoglądała ku niedźwiedziej norze; tak jakby się zastanawiała, czy nie powinna by zejść na dół i pozdrowić swego dwunożnego kuzyna.

121

A kiedy Gerrat dowiadywał się, że wactetra napadła stado renów, myślał: „Niech ci pójdzie na zdrowie, na pewno dobrze ci zrobiło, że mogłaś zapełnić swój zapadnięty brzuch ciepłą, krwistą strawą! Nie żałuję ci jej! Lapończycy mają jeszcze dużo renów!”

Trochę bardziej miał jej za złe, kiedy zakradała się do kryjówek pardw i raczyła się upolowanymi ptakami. Gerrat nie był zdania, że biedak powinien udawać szlachetnego i zostawiać innym część łupu. Ale, ostatecznie, zdarzało się to nie tak często, żeby obudzić w nim trwały gniew.

Często bawiły go opowiadania o tym, co stara znów zbroiła.

Na przykład wtedy, kiedy w gospodarstwie w górach na północy stara babka odprawiała nad kozami zaklęcia, które miały je ochronić od napaści wadery.

O tej starej babce mówiono, że zna czary, które zawiązują pyski drapieżnikom, tak że nie mogą one otworzyć paszczy

Kiedyś, bardzo dawno temu, jeszcze za młodu, dowiodła podobno, ile jest warta. Wtedy to przyszedł wilk i rzucił się na jedną z jej owiec; zwierzę leżało zmartwiałe ze strachu, nie próbowało się nawet poruszyć. Nad owcą stał wilk i właśnie zamierzał chwycić ją zębami, ale nie mógł otwo-crzyć paszczy; stał nad ofiarą i pienił się, i ślina płynęła mu z pyska tak obficie, że kiedy pastuszkowi udało się wreszcie go przepędzić, owca była zupełnie zmoczona wilczą śliną, ale jej futra nie zadrasnął kiel wilka. A to dlatego, że kobieta wypowiedziała swoje zaklęcia.

Teraz więc stojąca już nad grobem babka miała znowu dowieść swojej siły czarnoksięskiej, by uchronić owce siostrzenicy; bo stara wilczyca krążyła w pobliżu.

Kobieta wzięła tutkę z solą i poszła na chwilę do swojej izby; pewno tam wypowiedziała nad solą swoje zaklęcia. Potem drżącą ręką dała każdej owcy odrobinę soli do zjedzenia i powiedziała, że odtąd zwierzęta można wypuszczać do lasu bez pasterza, bo będzie towarzyszyć im coś, co je ochroni lepiej niż najlepszy pasterz. Żaden drapieżnik nie skosztuje ich krwi.

122

Siedem owiec poszło w las, tylko dwie z nich wróciły.

Ubiegłego lata pewien człowiek w jasny dzień spotkał starą wilczycę po szwedzkiej stronie; stała w dolinie, porośniętej karłowatymi brzozami i jałowcem. Mężczyzna tak się przeraził

tęgo wielkiego, szarego upiora, który nagle stanął przed nim, że przypomniał sobie o nabitej broni na plecach wtedy, kiedy już było za późno.

Takie historyjki zawsze bawiły Gerrata. Ale teraz nie widział w nich już nic wesołego i myślał, dlaczego, do diabła, stara wilczyca musiała spotkać po szwedzkiej stronie właśnie takiego niezdare, nie mającego pojęcia o strzelaniu.

Nie, zabraniam mu Druha wilczyca przekreśliła ich starą znajomość i dobre stosunki sąsiedzkie tu, pod górą Riklet. A w tej okolicy dni krwawej zemsty jeszcze nie minęły. Gerrat z pewnością nie zapomni, że ma na plecach nabitą broń, jeśli dożyje spotkania z szarą, skośnooką wiedźmą.

Ale na to Gerrat nie mógł liczyć. Nigdy nie zadawał sobie zbytniego trudu, aby odnaleźć trop starej wadery, bo wiedział, że o tym decyduje przypadek; stara wilczyca prawie nigdy nie układała się na dzień do snu na dole w lesie, obojętne, czy śnieg był zamarznięty, czy miękki. A jednak taki wypadek się zdarzył; co prawda niezupełnie tak, jak go sobie Gerrat wyobrażał. I nie zakończył się tak, jak to sobie wymarzył, rozmyślając o zemście w swojej niedźwiedziej norze i patrząc na ucho Druha.

Od zgonu psa minęło nie więcej niż trzy tygodnie, kiedy sprawy potoczyły się innym torem. Gerrat Geitvik postanowił wyruszyć przez góry na szwedzką stronę, gdzie mieszkał znajomy gospodarz. Wybrał drogę prosto na północny wschód, przez Riklet.

W dole, nad niedźwiedzią norą, powietrze było tego dnia spokojne, ale im wyżej wspinał się Gerrat, tym bardziej czuł, że wiatr przybiera na sile i jego porywy są coraz gwałtowniejsze. Gerrat widział, jak ostatnia cienka warstewka świeżego śniegu znika ze zmarzliny. W blasku słonecznym wyglądało to tak, jakby krople wody spływały z nagich skał... To wiatr zmiatał z nich świeży śnieg.

A wicher był coraz mocniejszy. Gerrat widział z miejsca,

123

przez które szedł teraz, poniżej małego, stromego wzniesienia, jak wiatr zmiata miękki śnieg, który unosi się i zamienia w białe postacie i trzepocząc ulatuje ku niebu...

Gerrat wiedział, że tam, na najwyższym szczycie, tysiąc sześćset metrów ponad powierzchnią morza, ta zawierucha może być dość nieprzyjemna. Widział to nawet, bo wydawało mu się, że wierzchołek góry jest otulony błyszczącą mgłą; ale nie była to mgła, lecz śnieg wirujący w promieniach słońca.

Gerrat był już nieco za stary, aby odważyć się na wyprawę uważaną za niebezpieczną wspinaczkę. Wiedział, że taka odwaga często bywa tylko głupotą, brakiem doświadczenia. I wcale nie po to wyruszył w góry, aby dokonać wielkiego wyczynu; chciał tylko przejść na szwedzką stronę, aby odwiedzić znajomego gospodarza. Dlatego też zrezygnował z przejścia najkrótszą drogą przez najwyższą górę pasma Riklet i trzymał się niższych wzniesień, gdzie wiatr nie atakował tak gwałtownie.

Wreszcie przekroczył granicę obu państw, ale okazało się, że pogoda w szwedzkich górach nie jest lepsza niż w norweskich. Kiedy doszedł do górskiego siodła, dojrzał niewyraźny, granatowy pas daleko na wschodzie, były to szwedzkie puszcze.

Niedaleko od granicy stała niewielka chata, w której nocowali czasem strażnicy graniczni, Lapończycy i inni wędrowcy. Nazywano ją „plebanią”, podobno już od czasów, kiedy ciągnęły tędy pielgrzymki do Nidaros.

„Plebania” znajdowała się w małej dolinie, a od tej strony, z której przyszedł Gerrat miała przed sobą długie, ale niezbyt strome zbocze schodzące ku dolinie. Gerrat zjechał szusem, była to przyjemna jazda, a w końcu aż niesamowicie szybka. Ale tutaj wiatr nie przeorał śniegu, nie groził więc upadek.

A jednak właśnie tutaj Gerrat potknął się na skalnym progu, z którego wiatr zdmuchnął śnieg, tak że gładki lód pokrywał powierzchnię. Narty rozjechały się i Gerrat przewrócił się głową

naprzód — ale stało się to już za owym progiem i w chwili upadku Gerrat miał pod sobą miętki

124

śnieg, tak że się nie uderzył. Ale koniec lewej narty wbił się w śnieg. Gerrat poczuł gwałtowne szarpnięcie, wiązanie pękło i coś ostro zabolowało w nodze, w kolanie czy koło niego, nie wiedział jeszcze dokładnie, gdzie. „Ładna historia!” — pomyślał.

Usiadł i obmacał nogę. Nie, nie sądził, aby kość goleniowa czy strzałka były złamane. Spróbował zgiąć kolano i poszło mu to nawet niezłe. Widocznie wyszedł z upadku bez większej szkody.

Kiedy się jednak podniósł, kolano tak go zabolowało, że nie mógł ustać na lewej nodze. Nagle też poczuł osłabienie i zaczął drżeć.

Narta nie była złamana, Gerrat wyciągnął ją ze śniegu, połączył obie narty wiązaniami, usiadł na nich i zjechał ze zbocza w dolinę; stąd miał już do chaty tylko paręset metrów płaskiej drogi. Przebył ją z trudem, mocno kulejąc.

Drzwi pomalowanej na czerwono chaty z belek były zamknięte, ale klucz wisiał z zewnątrz na gwoździu.

Tutaj każdy musiał mieć dostęp, bo wśród surowych gór, z dala od lasów i ludzi, cztery ściany z belek mogły stanowić o życiu. Mieszkańcy gór, którzy nocowali w chacie, pozostawiali w niej zwykle trochę żywności na wypadek, gdyby przyszedł tu ktoś w szczególnie złym stanie.

Ale Gerrat znalazł na stole tylko trochę sucharów tak spleśniałych, że nie nadawały się do jedzenia. A przez pękniętą szybę w oknie śnieg zawiał nawet stół, tak że trzeba go było przede wszystkim zmieść. Na szczęście obok paleniska leżał stos grubych suchych gałęzi wierzbowych na opał, a cztery małe prycze pokryte były gałązkami o bladych, zwiędniętych liściach. Na każdej pryczy leżały dwie skóry renów; Gerratowi nie groziło więc zamrznięcie, nawet jeśliby drewna nie wystarczyło na długo.

Właściwie Gerrat mógł dziękować Bogu za to, że wypadek zdarzył się tak blisko „plebanii”; i to, mimo że nie należała mu się szczególna opieka boska, bo często okropnie kłął. Ale nie mógł zdobyć się w tej chwili na skruchę; chciał

125

poczekać i zobaczyć, co będzie dalej, zanim poważnie zajmie się sprawami religii.

Przeleżał w chacie cztery dni i cztery noce. Stan kolana nie pogarszał się wprawdzie, było ono jednak nadal bardzo spuchnięte i sztywniejsze niż z początku, tak że Gerrat prawie nie mógł zgiąć nogi; pod kolanem utworzyła się duża twarda kula, a kiedy palcami poruszał staw, wydawało mu się, że słyszy chrzęst, którego drugie kolano nie wydawało. Bez przerwy robił sobie okłady ze śniegu, ale opuchlizna nie schodziła, tak że, jeśli nawet mógł kulejąc poruszać się po izbie i na dworze, byłoby śmieszną lekkomyślnością wyruszać w góry, mimo że wydostanie się z tej męczącej monotonii i oczekiwania bardzo go nęciło. Głód znosił jeszcze jako tako, nie było to czymś nowym i nie mogło odebrać Gerratowi spokoju ducha.

Trzy kromki chleba, które zabrał na drogę, podzielił na skąpe porcje. Pozostała mu już tylko trzecia część ostatniej kromki, którą zawinął w papier i schował do worka ze skóry rena; nosił go zwykle na plecach, na rzemieniach, tak jak to czynili Lapończycy.

Worek leżał na pryczy i był dręczącą, ssącą od wewnątrz pokusą; bo dziś, piątego dnia, Gerrat nie miał jeszcze ani kęsa jedzenia w ustach. W ciągu poprzednich dni zjadał trochę więcej niż pół bramki, licząc na to, że najdalej za trzy dni kolano wydobreje i będzie mógł dojść do chłopów. Ale skoro stan kolana po czterech dniach nie uległ najmniejszej poprawie, czy można było spodziewać się, że po dalszych czterech dniach coś się zmieni na lepsze? Nie, Gerrat musiał zacisnąć zęby i zapomnieć o pokusie ukrytej w worku, o tej trzeciej części kromki, która go szeptem nęciła. Ten jeden kęs chleba musiał zachować do chwili, kiedy

będzie z nim już tak źle, że właśnie ten kęs pozwoli rozdmuchać w jego ciele ostatni płomyček życia — jeżeli naprawdę miałyby dojść do tego.

Ale jeszcze ciężej niż głód trapiła go niepewność. Kiedy będzie mógł znowu chodzić? Albo kiedy można się spodziewać nadejścia ludzi?

Nikt nie zauważył jego zniknięcia, nawet gospodarze

126

w Oset przywykli do tego, że czasem parę tygodni nie pokazywał się u nich.

Jedynym człowiekiem, który dość regularnie przychodził do „plebanii” był strażnik graniczny. Ale nie zdarzało się to zbyt często i kto wie, może był tu niedawno i nieprędko przyjdzie znowu.

Pozostawali jeszcze Lapończycy, którzy w każdej chwili mogli tędy przeciągać; ale i na to nie można było liczyć. Lapończycy znad jeziora Herat byli niedawno tu, w Szwecji, po swoje stado renów; Gerrat wiedział o tym i widać było jeszcze w pobliżu chaty drogę, którą szły reny.

Nie byłoby więc tak zupełnie bez sensu, gdyby pomału zaczął zaprzyjaźniać się trochę z Panem Bogiem. Miał pod tym względem coś niecoś do wyrównania.

Gerrat zatknął w śnieg przed chatą jedną z nart i powiesił na niej czapkę. Gdyby przypadkiem ludzie tędy przechodzili, zwróciliby to ich uwagę i zajrzeliby do chaty, nawet jeśli nie mieli zamiaru zatrzymać się w niej.

Minął szósty i siódmy dzień. Nadszedł ósmy dzień, odkąd Gerrat Geitvik leżał bezsilny w „plebanii”.

Wprawdzie kolano mniej go już bolało, jednak opuchlizna nie schodziła. Gerrat próbował pochodzić trochę na nartach i nawet nieźle mu to szło. „Ale miałbyś źle w głowie, gdybyś wyruszył gdzieś dalej z takim kolaniem — pomyślał. — Jeszcze przez jakiś czas musisz pohamować niecierpliwość!”

Uczucie głodu minęło już zupełnie. Gerrat od czterech dni nie miał nic w ustach i nie dręczyła go już myśl o tej trzeciej części kromki w worku. Czuł się tylko osłabiony i z trudem władał kończynami.

Koło okna wisiały na sznurku notes i ołówki. Na okładce napisał ktoś niezbyt wprawnie: „Księga gości w plebanii. Wszyscy odwiedzający plebanię proszeni są uprzejmie o wpisywanie nazwisk do tej księgi”.

Gerrat wiele razy przeczytał księgę od początku do końca. Mnóstwo ludzi, przeważnie pasterzy pędzących reny, bazgrało uwagi i podpisy, byli między nimi także turyści.

Większość pisała parę słów o pogodzie, prawie zawsze

дшвщщщщщщ

były tu wzmianki o mgle, wietrze i deszczu. Ktoś spróbował nawet nadać temu formę melancholijnej prozy poetyckiej: „Siedzę tu samotny na samotnej wyspie, ręce i nogi skuł mi łańcuch rozpacz, rozmyślam, jak mógłby człowiek wypędzony z kraju znaleźć nową ojczyznę, skoro nie jest džentelmenem. Skoro cały świat nim pogardza. Włóczęga z STcaanór”.

„Nie powinienes być tak wzdychać, drogi, niemrawy włóczęga z Skaanbr — myślał Gerrat. — Nie byłeś znów w takiej opłakanej sytuacji, mogłeś powędrować dalej przez góry, mogłeś skakać, jeżeli miałeś na to ochotę, miałeś takie mocne i elastyczne kolana. Mogłeś na swoich zdrowych nogach przemierzać cały świat. Ze wszystkich uzdolnień ciała żadne nie jest tak cenne jak możliwość chodzenia”.

Przez cały czas spędzony przez Gerrata w „plebanii” dni i noce były mroźne i ciche. Rankiem słońce wesoło zaglądało przez małe okienko, a w nocy Gerrat leżał i przyglądał się, jak gwiazdy powoli suną za szybą; jedne odchodziły, inne nadciągały...

Ale dziewiątej nocy Gerrata obudziły odgłosy huraganu, spadające na szałas jak kipiący wodospad; przy każdym porywie wichru z otworu w dachu szałas wydobywało się wycie jak z paszczy wilka.

Gerrat wstał, wyrzwał przez drzwi i pomyślał, że dobrze byłoby wnieść narty, żeby ich wichura nie zmiotła. Na dworze pieniał się śnieg, ziemia i niebo zniknęły. Ale od niewidocznych gór niosła się w noc zimową ponura, głucha pieśń; był to głos huraganu. Gerrat wniósł narty do szałas i wpełznął pod skóry renów; ciepło było pod nimi, ale od otworu kominowego wiał okrutny chłód. W tych ostatnich dniach Gerrat nie zużywał dużej ilości drewna; nie miał przecież nic do ugotowania, a poza tym prawie cały czas leżał przykryty skórą, więc nie marzył. Niełatwo nadchodziła teraz senność, bo miał aż za dużo czasu na spanie i nie odczuwał już jego potrzeby.

W każdym razie przyjemnie było dla odmiany przysłu-

128
chiwać się, jak wichur gniewnie atakuje cfiatę. Czasem wydawało się, że wychodzi z siebie z wściekłości, bo nie udaje mu się jej przewrócić; wtedy zabierał się do niej, jakby porwany wściekłością olbrzym chciał jednym chwytem podnieść chatę z podmurówki i jak strzęp mchu cisnąć ją za góry. Ściany jęczały pod tymi atakami, ale mała, uparta chata mocno wgrzyła się w ziemię; nie ustępowała.

Godzinę, a może i dwie, leżał Gerrat w półśnie, te odgłosy z zewnątrz były przecież pewną odmianą i przyjemnie mu było leżeć tak w solidnej chacie wśród dzikich gór, podczas kiedy bóg pogody, uniesiony gniewem, pędził nad ziemią, aby wszystko z niej zmieść. Sprawiało mu nawet trochę złośliwej satysfakcji, że on może wygodnie i bezpiecznie leżeć i nie sprzeciwiać się, kiedy tamten na próżno szalał.

Huragan uspokajał się, coraz rzadziej dochodziły świszczące odgłosy jego porywów, słychać było tylko jeszcze szum, jakby coś z łagodnym, jednostajnym szmerem przesuwało się pod ścianami.

Gerrat był już bliski zaśnięcia, kiedy nagle usłyszał inny odgłos, wydawany nie przez wiatr. Słuch mu się bardzo wyczulił przez te dni i noce, podczas których leżąc nasłuchiwał czyjś nadejścia. Było to silne dudnienie, niemal podziemny grzmot, jakby dochodzący z wnętrza góry, na której stała chata...

Gerrat szybko i gorączkowo wygrzebywał się spod skór, pokuśtykał do drzwi i otworzył je; zdawało mu się, że zna ten odgłos.

Śnieg wciąż jeszcze smagał w twarz, ale już nie tak gwałtownie; było ciemno i tylko w pobliżu chaty mógł widzieć wyraźniej. Ale poprzez jednostajnie wirujące płatki śniegu dojrzał coś jeszcze ciemniejszego, coś żywego, co sunęło szybko przez śnieżycę, jak szeroki, długi cień, i ono właśnie wydawało owo głuche dudnienie.

I kiedy tak stał na dworze, usłyszał coś jeszcze, niezliczone, ciche dźwięki, stapiające się w jeden i odzywające się ostrymi trzaskami w głuchym dudnieniu... Było więc tak, jak przypuszczał: koło „plebanii” przebiegało pędem stado renów.

9 Wilki

129

Stado zniknęło. Zostali znów sami, Gerrat, wichur i zamieć śnieana) waląca w ściany z belek. Ale -y, chwilę później Gerrat dojrzał jeszcze coś w miejscu, przez które przebiegły reny. Zjawilo się jeszcze jedno zwierzę, pojedyncze, może trochę mniejsze od rena, które wyciągniętymi susami sadiło w tym samym kierunku, wyraźnie trzymając się śladów renów. Gerrat mie mógł dokładnie określić wyglądu zwierzęcia, ale pomyślał: „Tej nocy stara bardzo się śpieszy!”

°d razu zrozumiał, że wilk ściga reny.
Stara wilczyca zniknęła w ciemności.

Światło dzienne mozolnie się przebijało, śnieżycy słabła; ale wyżej wiatr dał jeszcze na pewno z całą mocą, chmury szybko sunęły po niebie.

Gerrat siedział na kłocu leżącym przy drzwiach, dobrze okryty skórą renów; obserwował okolicę. Teraz może znajdzie się jakaś rada, bo w ciągu najbliższych dni Lapończycy na pewno pójdą śladem stada.

Nawet niedługo czekał. Najpierw zobaczył człowieka i psa na górze w kierunku północnym; przez chwilę sylwetki ich rysowały się na tle nieba, potem Lapończyk zjechał szusem. I jeszcze jeden człowiek z psem zjawił się na poszarpanym grzbiecie.

Byli to Lapończycy znad jeziora Herat. Gerrat dobrze ich znał. Opowiedzieli mu, że właśnie to stado przyprowadzili niedawno ze szwedzkiej strony. Nocą, podczas zamieci stara Wilczyca podkraǳła się do renów na zboczu po wschodniej stronie jeziora Herat. Wtedy stado zaczęło uciekać ku granicy tą samą drogą, którą Lapończycy pędzili je przed tygodniem. Tu w wysokich górach, gdzie śnieg niedługo leżał, trop był jeszcze widoczny. O ile wiedzieli, wilczyca nie dopadła jeszcze ani jednego rena. Ale czy nie jest ona wcielonym diabłem, żeby przyjść aż w tak odległe okolice?

Nazajutrz Gerrat siedział na sankach z nart, ciągniętych przez jednego z Lapończyków i Szweda przez góry, w kierunku jeziora Herat.

130

Lapończyk opowiadał o starej wilczycy i wielu renach straconych w ostatnich latach.

Wczorajszej nocy stara musiała spuścić z tonu. Ach, jak bardzo by chciał mieć ją przed sobą związaną i otworzyć jej paszczę tak szeroko, jak weterynarze otwierają pyski koniom. Wtedy obciąłby jej język, wyłupił oczy i puścił ją wolno. Po tej robocie dobrze by spał, zakończył Lapończyk.

„A ja życzę starej wilczycy wszystkiego dobrego i tyle "mięsa renów, ile go jest nad jeziorem Herat — pomyślał Gerrat. — Bo kto wie, czy nie ocalałaś mi życia, stara, i chyba muszę ci przebaczyć, że ra^ zachowałaś się po łajdacku i zabrałaś mi Druha.”

Ale Lapończykom odpowiedział:

— Tak, tak, ta bestia z piekła rodem nie zasłużyła na nic lepszego!

INJ astępnej zimy Lapończycy stracili tylko kilka renów; od wielu lat to się nie zdarzało.

Ale stara wilczyca wciąż jeszcze gnieździła się w tych okolicach; tylko że nie była już taka sprawna jak dawniej. Może działo się z nią to samo co z psami; kiedy zaczynają się starzeć, nie zauważa się, że tracą siły, aż nagle padają. Następuje to szybko i nieoczekiwanie.

Wśród Lapończyków zachował się stary przesąd, że raz na miesiąc wilki nie są zdolne do zarzynania zwierząt, tak jakby żądza mordy na krótki czas je opuszczała. Zdarzało się ludziom widzieć wilki, które kręcąc się w pobliżu stada nie rozdzierały ani jednego rena.

Jednakże stara wilczyca była już, jak się wydaje, nie ta sama nie tylko w pewne określone dni miesiąca, w ogóle coraz rzadziej napadała na zwierzęta, chociaż czasem próbowała coś upolować.

Ostatniej jesieni łania przybiegła aż na podwórze w Oset, tak wyczerpana, że pozwoliła do siebie podejść jak krowa. Ale tuż za płotem odnaleźli ludzie na miękkim śniegu trop starej wilczycy; aż do samej osady ścigała łanię.

Stara wilczyca stawiała się nieostrożna, odkąd coraz trudniej jej było znaleźć żer.

Wystarczy przypomnieć sobie, co było owej nocy, kiedy Lapończyk Predagsf jeld jechał sankami przez góry do Rog-gsjobygda, położonego na północ od jeziora Herat. Lapończyk Fredagsf jeld, człowiek bogaty, spekulant, który w ciągu zimy handlował tysiącami renów i w Roggsjobygda miał sklep prowadzony przez syna, Lapończyk Fredagsf jeld,

132

o którym mówiono, że jego głos słychać w siedmiu parafiach, Fredagsfjeld miał na sobie kozuch z wilczej skóry i jechał sankami.

Owej nocy, kiedy zaprzężony do sanek ren pociągowy wioził go do Roggsjbbberg, Lapończyk nie siedział widać tak pewnie jak zwykle, bo — mech to diabli! — sanki się wywróciły. Fredagsfjeld podniósł je i usadowił się z powrotem, _ale sanki nie mogły utrzymać równowagi i wciąż zrzucały z siebie człowieka. W końcu Lapończyk poczuł się bardzo zmęczony i senny i pomyślał sobie, że dobrze byłoby się przespać.

Wyprzągnął więc rena, chwiejnie doszedł do najbliższej sosny i przywiązał do niej zwierzę. Potem wlaź pod sanki i zasnął na środku drogi.

Nie było bardzo zimno, zresztą miał na sobie gruby kozuch, inaczej zasnąłby może na dłużej, niż mogłoby mu to wyjść na dobre. Spał jednak długo i mocno, bo kiedy się ocknął, nie zerwał się na równe nogi, o nie, wstał z trudem i musiał jakiś czas mocno wywijać rękami i nogami, żeby zupełnie oprzytomnieć. A potem chciał z powrotem zaprząć rena do sanek. Kiedy jednak doszedł do sosny, nie znalazł przy niej rena! W jaki sposób zwierzę się oswobodziło?

Znalazł je trochę dalej, martwe i poszarpane, naokoło widoczny był wilczy trop.

Ale Lapończyk śmiał się opowiadając o tej przygodzie. Co znaczył dla spekulanta Fredagsfjelda jeden ren!

Wtedy więc stara wilczyca odważyła się napaść na uwięzane rena, co wilki robią rzadko. Widocznie starej źle się powodzi, nie można żałować jej tych paru kęsów strawy, mówił Fredagsfjeld.

Ale jeszcze ktoś był już nie ten sam: Gerrat Gietvik.

Coś w jego potężnym ciele zaczęło źle funkcjonować. Nie mógł prawie nic jeść, żył niemal powietrzem. Zapewne zdobyłby się jeszcze na przejechanie na nartach tych czterech mil do najbliższego doktora. Ale myśl ta nawet mu nie przyszła do głowy.

Teraz często leżał cały dzień w niedźwiedziej norze

133

i w ogóle a niej nie wychodził. Nie tylko dlatego, że się lenił, ale dlatego, że nie miał sił. Co jakiś czas zwlekał się z legowiska i próbował coś zjeść albo wypuszczał na dwór psa, którego kupił, małego lapońskiego psa o długiej sierści. Nazwał go Małym Druhem.

Jeśli nie miał już nic do jedzenia, szedł do Oset. A potem gospodarz z Oset zwykle mówił, że Gerrat nie powinien już wracać do siebie. Ludziom z Oset wcale nie było przyjemnie, kiedy tygodniami nie wiedzieli, czy Gerrat jeszcze żyje. Może zgodzi się osiąść teraz; u nich? Mógłby dostać na wyłączny użytek małą izbę na mansardzie, w której już tak wiele razy sypiał.

Wtedy Gerrat dziękował i odpowiadał, że owszem, chętnie przyjmie zaproszenie. Nie jest już tak zdrowy, aby jak niedźwiedź żyć samotnie u stóp góry Jerv.

I tak mijał tydzień albo i dwa, które Gerrat i Mały Druh spędzali spokojnie i rozsądnie na mansardzie w Oset.

Ale zdarzało się, że któregoś ranka mieszkańcy Oset nie znajdowali już długich nart Gerrata, opartych o ścianę domu.

A wtedy okazywało się, że również Gerrata i jego małego psa nie ma w izbie na mansardzie. Ale później odnajdywano na wschód od jeziora Herat ślad jego nart; a obok biegły ślady pieska.

No, i synowi gospodarza w Oset nie pozostawało nic innego, jak od czasu do czasu zanosić żywność do niedźwiedziej nory. Gerrat przyjmował ją, ale tylko pod tym warunkiem, że w zamian pozwolą mu ścinać drzewa w Oset, jak tylko poczuje się lepiej; ścinać drzewa jako odpłatę za żywność i gościnę w Oset. Geirrat głęboko wierzył, że to osłabienie mu przejdzie. Kiedy mu dawniej coś dolegało, zawsze czekał tylko, aż mu minie.

Zbliżało się lato, nadszedł wieczór świętojański, ale brzozy dokoła niedźwiedziej nory wciąż jeszcze nie zazieleniły się; tegoroczny początek lata był wyjątkowo paskudny. Gerrat chodził

czasem na ryby. Ale jego twarz, brunatna od wiatru i słońca, wydawała się jakby zwiędła. Tego lata Gerrat nie towarzyszył tym zabawnym ludziom zwanym tu-
134

rystami, nie przenosił im też na plecach odwróconych dnem do góry łodzi z jednego jeziora na drugie.

Jednakże wielu z nich odwiedzało go w niedźwiedziej norze; byU starymi znajomymi. I tego lata Gerrat był zaopatrzony w najrozmaitszą żywność jak jeszcze nigdy w życiu. Tylko że prawie nie mógł jeść, czasem przełykał odrobinę suchych płatków owsianych. I tak przesiadywał wśród nadmiaru żywności, często klnąc, że nie może jeść tych smakołyków; czasem wydawało mu się, że wszystko to śmieje się z niego złośliwie prosto w oczy.

Żona gospodarza z Oset napomknęła ostrożnie o raku...

Tam, do diabła, Gerrat nie wierzył w raka! Niedomaganie kiedyś minie.

«Jednego wieczora, późną jesienią, stara wilczyca leży na szczycie góry nad jeziorem Jerv. Ma przyjemne uczucie sytości; upolowała dziś giią ze złamanym skrzydłem i pożarła go na miejscu. Teraz leż tu na górze i przetrawia pokarm.

Kładzie się, by wypocząć, po zżarcu jednego głus^f Dawniej taki ptak pobudziłby tylko jej żądzę polowa[^] całą noc biegałaby czyhając na nowy łup, na upolowa[^] grubszego zwierza; biegłaby z wywieszonym językiem, Q[^] czuwając wysiłek swego żyłastego ciała jak upojenie. A t ~ raz kładzie się na wypoczynek, rozkoszuje się swoim i nistwem.

A kiedy w nocy włóczy się po okolicy, wydaje jej się że wszystko dokoła zamarło. Rozmaite zapachy nie leck* już jej nozdry, najróżniejsze drobne odgłosy nie sze[^] jej już nic do ucha. Przerazone zwierzęta uciekają prv , nią, ptaki ulatują, dawniej tego nie zauważała. Teraz -ця cze się przed siebie i płoszy wszystko, oo mogłoby stać jej pokarmem. Węch i słuch już ją zawodzą.

Wilczyca całe lato odżywiała się niemal jak zwykły iv śliwy polujący na lemingi.

y~

Jeżeli teraz, rzadko zresztą, może skosztować mięsa reha to zdobywa je w ten sposób, że kładzie się na ziemi i iuuJ*' martwą. Jeśli ją wtedy zobaczy jakiś ren, to czasem z c<l_ kawości tak się zbliża, że wilczyca może go napaść. To uy wanie martwej jest kruczkiem, którego ją nauczyła potry, ba. Ale nie wyżera już kawałów mięsa, lecz w y i* €~ w a je z ciała ofiary. Niewiele zębów jej pozostało.

136

A kiedyś była słynną waderą z lapońskich gór i lasów!

Kiedyś był „myśliwy", było tylu innych... Stara wilczyca nie jest stworzona do chodzenia samopas, musi czuć za sobą zgraję, słyszeć podczas polowania gorączkowy oddech towarzyszy. Kiedy w tym roku nadchodziła śnieżna zima, wilczyca często wyła do gór, do lasów, do gwiazd i księżyca. Wyła z tęsknoty do samca, do małych, długonogich szczeniąt... Ale lasy i góry nie miały dla niej odpowiedzi i jej samotne wycie zamierało między ciemną ziemią i usianym gwiazdami niebem.

Wilczyca leży i patrzy na płaską, szeroką dolinę u stóp góry. Często, będąc w tej okolicy, szukała tu w górach legowiska na dzień, bo miała otwarty widok, mogła patrzeć i chwycić wiatr. I nawet jeśli zwietrzyła ludzi, nie czuła się zagrożona; bo z tego legowiska nigdy jej nikt nie wypłoszył, tu nigdy jej nikt nie ścigał.

Stąd mogła leżąc obserwować, jak człowiek tam na dole pływa po jeziorze, jak siedzi w czymś przypommającym krótki, gruby pień i płynie w nim przez jezioro. A w zimie chodzi wyprostowany po lodzie.

Czasem w takie ciemne wieczory jak dzisiaj widywała także światło w brzozyowym lesie nad jeziorem; zjawiało się i znikało po chwili, jak gdyby mały księżyc wyglądał przez szparę między chmurami.

Dziś wieczorem nic nie widzi, nie ma już takiego wzroku jak dawniej.

Po pewnym czasie jednak zauważyła światło. I światło to rośnie, staje się największe, jakie kiedykolwiek widziała. Ostro i przejrzyście rysuje się w jej zmęczonych źrenicach. Robi się potężne, żyje, trzepoce i bije ogromnymi, czerwonymi skrzydłami aż ponad brzozowy las. Stara wilczyca podnosi pysk ku niebu i zaczyna wyc przeciągle, smutno.

Kiedy w tydzień później przyszedł gospodarz z Oset, zobaczył, że niedźwiedzia nora spłonęła. Na brzegu jeziora Jerv znalazł zwłoki Gerrata. Udało

137

mu się jeszcze dowlec do jeziora, zanurzyć w wodzie jedną rękę; odzież miał już prawie zupełnie spaloną.

A w zgłiszczach, w miejscu gdzie znajdowała się niedźwiedzia nora, znalazł spalone kości Małego Druha.

W parę lat później pewien Lapończyk natknął się w dużym kamienistym żlebie Rikletu na szkielet zwierzęcia. Był on większy od szkieletu lisa, większy od szkieletu rosomaka.

Zwierzę wpełzło głęboko między dwa bloki skalne. Chciało się zapewne dobrze ukryć, zanim skona.

Redaktor ADELA SKRENTNA

Redaktor techniczny MIŁOSZ GŁOWACKI

Korektorzy

ELŻBIETA KUBASZCZYK

IWONA WEGNER-MARUSZEWSKA

Printed In Poland

WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

POZNAŃ, 1972

Wydanie I. Nakład 10 000 + 260 egz. Ark. wyd. 7; Ark. druk. 8,75. Oddano do produkcji 4.2.1972. Podpisano do druku 19.6.1972. Druk ukończono w październiku 1972.

Papier druk. mat. ki. III, 65 g, 82 X 104 Zamówienie nr 23/72

Cena zł

18,—

POZNAŃSKIE ZAKŁ. GRAFICZNE IM. M. KASPRZAKA

Poznań, ul. Wawrzyniaka 39 K-3/226 Zlecenie nr 1192/72